M. 90 — I/II.

Stefan Kotarski
№ 531

# UPIORY

## POWIEŚĆ Z ROKU 1863

PRZEZ AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT"

(Szymborowska)

CZĘŚĆ I

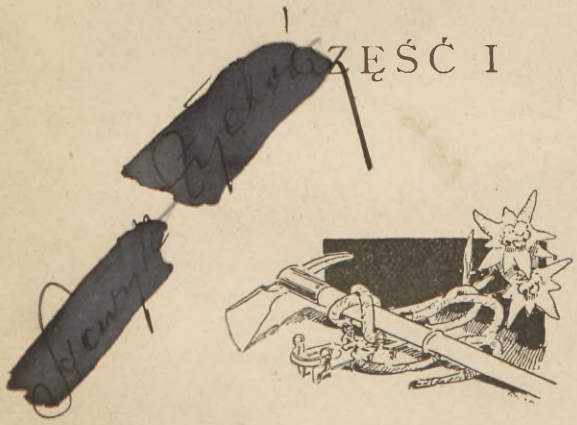

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1902.

122515

DRUKARNIA »CZASU« W KRAKOWIE.

# UPIORY

powieść na tle epoki 1863 roku

## Słówko od autora.

Powieść niniejsza pierwotnie zaczęła się drukować w jednem z pism warszawskich, gdzie jednak z przyczyn zgoła niezależnych od autora, nie mogła być ukończoną. Autor nie chce poruszać tej sprawy ani też zastanawiać się nad powodami, które położyły tamę dalszej publikacyi jego pracy, pragnie tylko zaznaczyć, że według niego, było to przekroczeniem przepisów obowiązujących. Nie uskarża się on na to, bo wie, że skarga słabych jest głosem wołającego na puszczy, i że zwyciężeni nigdy nie mają racyi. Uważając jednak, iż powieść ta może przynieść pewien pożytek czytelnikom polskim, uciekł się do jedynego pozostałego mu środka, i *Upiory* postanowił wydać w całości w Krakowie. Owocem tego postanowienia jest obecna książka. Pisana ona jest krwią i łzami, które budziły dawne wspomnienia, młodość chmurna i burzliwa, zawód wszelkich niestety nadziei. Dzisiejsze pokolenia może nie pojmą tego rozpaczliwego stanu duszy, przez jaki my wtedy, w zaraniu naszego życia, przeszliśmy. Może ta książka choć w części, w słabym odblasku, da im odbicie tych chwil brzemiennych tylu złudzeniami, błyszczących wielką jutrznią odrodzenia świata, a zakończonych tragedyą jakiej historya nie przedstawia przykładu.

Pisałem w Krakowie dnia 11. maja 1901 r.

# Od wydawców.

Autor *Upiorów*, pisząc tę powieść dla jednego z pism warszawskich, musiał ze względów cenzuralnych — użyć w miejsce nazw polskich fikcyjne, hiszpańskie.

Jakkolwiek tłumaczenie lub przekręcenie jest dość przejrzyste dla obznajomionych dokładnie ze stosunkami i ludźmi tej epoki, to jednak dla wygody czytelników podajemy komentarz. — I tak

| | znaczy: |
|---|---|
| Santa-Cruz . . . . . | Góry Świętokrzyskie. |
| Don Sigismundo . . . . | Zygmunt Chmieleński. |
| Don Carlos . . . . . | (osoba fikcyjna). |
| Valery . . . . . | Walery. |
| Fernando . . . . . | Władysław. |
| Huan . . . . . | Jan. |
| Casobi . . . . . | Bosak. |
| Hiszpania . . . . . | Polska. |
| Bilbao . . . . . | Warszawa. |
| Vopert . . . . . | Trepow. |
| Pots-ycin . . . . . | Stopnica. |
| Wilcze Doły . . . . . | Wilczedoły. |
| Vola . . . . . | Wola. |
| Don Diego Orosco . . . . | Wojciech Rzepecki. |
| Don Carlos Negro . . . . | Janek Czarny (Mason). |
| San Pietro . . . . . | Piotrków. |
| Rosotemplo . . . . . | Rottkirch. |
| Gazeta di Espana . . . . | »Gazeta polska«. |
| Di Smola . . . . . | ulica Smolna. |
| Rocric . . . . . | Helena Kirkor. |

| | znaczy: |
|---|---|
| Tuan Merinos | Tuhaj Bej Baranowski. |
| Fidebona | Traugutt. |
| Sumini | Zygmunt Sumiński. |
| Miguel Zezowaty | Władek Zezowaty. |
| Filip Biały | Janek Biały Karłowicz |
| Dora | Złota. |
| Di Mareschalchi | ulica Marszałkowska. |
| De Industria ulica | ulica Przemysłowa. |
| Ulica Negro | ulica Biała. |
| Di Monti | hrabia Berg. |
| Alonzo Okularnik | Ludwik Lembke-Okularnik. |
| Ulica di Rana | ulica Żabia. |
| Gazeta Universale | »Dziennik powszechny«. |
| Gazeta Independenzia | »Gazeta niepodległości«. |
| Madryckie przedmieście | Krakowskie przedmieście. |
| Ulica Regia | ulica Królewska. |
| Ulica Sozam | ulica Mazowiecka. |
| Bardo | wieś Bardo. |
| Edwardo Stronini | Edward Stroński. |
| Don Ci-Jac | kupiec Kijas. |
| Ricardo Vnento | Ryszard Wnętruski. |
| Ulica Nuova America | Nowy Świat. |
| OO. Hierominici | OO. Kapucyni. |
| Crykowe lasy | Lasy Świętokrzyskie. |
| Hrabia Transponti | hrabia Zamoyski. |
| Ulica Parów | ulica Pańska. |
| Ulica di Trompetti | ulica Trębacka. |
| Plac Portugalski | Plac Saski. |
| Don Vasco | Kaczkowski. |
| Don Adalbert Rogalino | Wojciech Rogaliński. |
| Don Juan Narimo | Józef Narzymski. |
| Nychrat | miasto Tarczyn. |
| Major Marco | major Markowski. |

Reszta imion własnych jest fikcyjna.

# I.

Pod jesień się miało, gdy po licznych przygodach i bojach stanęliśmy obozowiskiem w wielkiej puszczy w górach Santa-Cruz. Mieliśmy tu odpoczywać kilka dni, a potrzebowaliśmy tego bardzo, bo ludzie i konie pomęczone były straszliwie. Uklecono nędzne szałasy z gałęzi, a dowódca, nasz dzielny Don Sigismundo, zajął chatkę leśnika, jedyny budynek w tej głuchej i posępnej puszczy. Co do mnie, cieszyłem się mocno ze spoczynku. Te nieustanne marsze i boje poczynały wyczerpywać moją młodą energię. Byłem znużony śmiertelnie, choć nie wątpiłem, że parudniowy spokój wróci mi dawną rzeźkość, ale byłem smutny, bardzo smutny. Nie widziałem żadnej nadziei w tym boju rozpaczliwym, a przytem tam, w stolicy miałem osamotnione jedno serce, które czekało na mnie. Czy wrócę tam kiedy, czy ją jeszcze obaczę?...

Położyłem się na rozesłanem mi przez mego ordynansa sianie i ćmiąc fajeczkę, patrzałem, jak kłęby dymu błękitnego unosiły się wśród szałasu i porywane wiatrem, który aż tu się dostawał, nikły i rozwiewały się zupełnie. Tak nasze i Don Carlosa nadzieje rozwieją się! mówiłem sobie i wsłuchiwałem się w posępne wycie wichru, który zerwał się pod wieczór. W obozie panowała względna cisza. Wszyscy byli nadzwyczaj znużeni i każdy rad był chwilowemu spoczynkowi. Konie rzędem ustawione, nieopodal mego szałasu, chrupały tylko owies, i czasem rozległ się czyjś głos, brzęk ostróg lub szabli, albo krótka urywana rozmowa. Zresztą milczenie, jedynie wiatr w górach wył i tłukł się po lesie głucho.

Nagle uderzył mię dobrze mi znany, dyszkantowy głosik adjutanta pułkowego, który dzwoniąc szabelką, pytał kogoś rozkazującym i nadętym tonem:

— Gdzie jest porucznik Valery? Gdzie porucznik Valery?

Nie wiem, co mu tam odpowiedziano, gdyż tknięty jakiemś przeczuciem, zerwałem się na równe nogi i stanąłem przed szałasem.

— Jestem, czego pan sobie życzysz?

— Pułkownik pana wzywa.

— Czy zaraz?

— Natychmiast! — odrzekł piskliwie, poprawiając szabelkę u boku.

— Czy nie wiesz pan, po co mnie pułkownik wzywa? — spytałem mocno zaciekawiony, jakkolwiek osobiście nie lubiłem pana adjutanta i rzadko się z nim w rozmowę wdawałem.

— Nie wiem, skądże mam wiedzieć? Domyślam się tylko, że coś ważnego musiało zajść, bo jakiś zakurzony i zabłocony mocno szlachcic przywiózł depesze i pułkownik, po ich przeczytaniu, kazał mi pana zaraz wezwać. Czy przyjdziesz pan? Co mam powiedzieć pułkownikowi?

Stał i patrzał na mnie swemi aroganckiemi i głupiemi oczami fanfarona, co mię zawsze mocno irytowało.

— Przyjdę zaraz.

I odwróciłem się, począłem zapinać mój mundur ułański i szablę przypasywać do boku. Niespokojny byłem trochę i ręce mi drżały.

— Z pewnością mię znów gdzieś wyślą — mówiłem sobie. — Przepadł mój spoczynek, z którego sobie tyle słodyczy obiecywałem. Ręczę za to, że każą mi spełnić jakieś karkołomne zadanie, jakie zwykle mnie się dostają. Niech to wszyscy djabli porwą!

Byłem już gotów. Mundur miałem zapięty na wszystkie guziki, szabla brzęczała u boku, ułanka na bakier zadziana, chwiała się na głowie i tak szedłem do chatki leśnika, gdzie

rezydował pan pułkownik Sigismundo. Wieczór już zapadał szybko, w obozie było na pół ciemno, tylko gdzieś za lasem, na zachodzie, poza wielkiemi sosnami i jodłami, niebo gorzało purpurą i złotem. Wicher wył po dawnemu, jak potępieniec, i napędzał gromady ołowianych, mętnych chmur, zapowiadających słotę. Było mi bardzo smutno na duszy.

W pierwszej izbie chaty leśnika zastałem sztabowców, usadowionych w najrozmaitszych pozach, koło dużego, z desek zbitego stołu; zapijali oni gorącą herbatę, a wśród nich siedział jakiś cywilus, z głową krótko ostrzyżoną, z wielkimi sumiastymi wąsami, ubrany w czamarkę, który przyciszonym głosem szeptał coś do ucha majorowi jazdy naszej. Wielu po kątach drzemało, a na jednem łóżku leśnika, natłoczyło się kilku oficerów i chrapało głośno. Izba była słabo oświecona gorejącym ogniem na kominie, koło którego stała jakaś kobieta, zapewne żona leśnika, i zakrywając zapaską swe zbyt wydatne piersi, wzrokiem smutnym i pokornym patrzała na zgromadzonych w jej izbie panów.

Adjutant, który właśnie z uśmiechem zdobywcy serc niewieścich szeptał coś do żony leśnika, kobiety jeszcze młodej, ale niełądnej i zabiedzonej, spostrzegł mnie wchodzącego i zawołał:

— A! pan porucznik. Natychmiast pana zamelduję pułkownikowi.

To rzekłszy ruszył, chwiejąc się na swych cienkich nóżkach do zamkniętych drzwi, pomieszczonych w głębi i prowadzących zapewne do tak zwanego alkierza, i znikł w nich. Za chwilę wrócił i rzekł:

— Pułkownik czeka na pana.

Wszedłem do alkierza. Przy maleńkim stoliczku, na którym błyszczała tęskliwie cienka łojowa świeczka, wsadzona w szyjkę od butelki po likierze maraskino, siedział pułkownik przed mapą rozłożoną, a obok niego stał major Rembalino i szeptem coś ze sobą rozmawiali. Spostrzegłszy mnie, pułkownik podniósł głowę i z trudnością odszukując mnie

wśród panujących w tym małym i dusznym alkierzu ciemności, spytał:

— Czy porucznik Valery?

— Tak, pułkowniku.

— Zostaw nas majorze. Pogadamy później o tej sprawie. A weźże sobie cygaro.

Podsunął mu otwarte pudełko z cygarami, major wybrał jedno i wyszedł, a pułkownik zwrócił się do mnie i rzekł:

— Siadaj poruczniku.

Usiadłem na prostym zydlu wprost pułkownika i wpatrzyłem się w jego twarz chudą, opaloną, nerwową, z jasnymi, jak konopie, wąsami. Podniósł swe małe, głęboko osadzone, zielonawe oczy, spłowiałe od wichrów i słońca, od trosk i kłopotów tej rozpaczliwej wojny, i swym śpiewnym akcentem rzekł do mnie:

— Weźmiesz poruczniku dwudziestu ludzi ze swego plutonu i wyruszysz z nimi nad rzekę. Misya, którą ci powierzam, jest pierwszorzędnego znaczenia i wagi, ale zarazem bardzo niebezpieczna. Ufam twej dzielności i roztropności, i dlatego ciebie wybrałem do jej spełnienia. Uprzedzam cię, że junta narodowa, będzie wiedziała o twym czynie.

Skłoniłem się w milczeniu i słuchałem dalej:

— Wybierz z twego plutonu ludzi najodważniejszych i najwytrwalszych. Opatrz dobrze broń i konie, i najpóźniej za dwie godziny musisz wyruszyć. Jak powiadam, masz się udać nad rzekę, gdzie pojutrze, a raczej jutrzejszej nocy nad świtaniem, przeprawi się generał Casobi, a z nim znaczny transport broni i efektów wojskowych. Od twojej przytomności umysłu, energii i dzielności zależeć będzie życie generała i pomyślne uskutecznienie przeprawy.

Chciałem zwrócić uwagę pułkownika, że dla wykonania tak poważnego zadania, dwudziestu ludzi jest za mało, ale mi przerwał, mówiąc:

— Czekaj... nie wszystko jeszcze powiedziałem. Wiem, co myślisz. Chciałbyś mieć więcej ludzi, ale nie mogę ci ich

dać tylu, byś mógł w razie ataku nieprzyjaciela stawić zwycięskie czoło jego przeważnym siłom; mniej także niepodobna wziąć, bo zdarzyć się może, że zetkniesz się z jakim podjazdem lekkiej kawaleryi nieprzyjacielskiej lub strażników granicznych i będziesz musiał z nimi stoczyć walkę. Zdecydowałem się więc na dwudziestu ludzi, w ostateczności, jeżeli uważasz... jeżeli ci się to wyda potrzebnem... weź cały twój pluton. Byłoby najlepiej, gdyby można udać się nad rzekę w kilku zaledwie ludzi, gdyż niepodobna przypuścić, aby twój marsz, przez kraj płaski i bezleśny, nie został dostrzeżony. Ale mam doniesienia, że nieprzyjaciel przez czyjąś zdradę, czy też nasze zwyczajne, babskie gadulstwo, wie o bliskiej przeprawie generała i broni, nie wie tylko miejsca i czasu, kiedy to nastąpi. Jednak ma się na baczności. Wzdłuż całej rzeki rozstawił liczne posterunki lekkiej kawaleryi i straży pogranicznej, a nocą gęste patrole przebiegają od jednej placówki do drugiej. Patrole te liczą zwykle dziesięć do piętnastu koni, idzie więc o to, byś taki patrol napotkany mógł zrąbać i generała i transport osłonić. Mniej więc nad dwudziestu ludzi wziąć nie możesz. Czy mię rozumiesz poruczniku!

— Rozumiem doskonale, wszakże...

— Nie skończyłem jeszcze, później mi powiesz swe uwagi, a jeżeli uznam je za dobre, zmienię instrukcyę.

Pułkownik siedział wyprostowany, wlepiwszy swe małe, bystre i przenikliwe oczy we mnie, z ręką ściśniętą w kułak i położoną na mapie, a po jego wychudłej i zawiędłej twarzy ślizgały się nikłe blaski nędznej łojówki.

— Instrukcya moja jest taka. Uważaj poruczniku dobrze, bo dać ci ją mogę tylko ustnie, gdyż idzie o to, aby w razie wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela, co jest bardzo możliwe, nie znaleziono przy tobie żadnego dowodu, żadnej wskazówki o mającej nastąpić przeprawie generała Casobi. Otóż wyszedłszy stąd cichaczem, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, zawiadomisz swych ludzi, by byli gotowi do wymarszu. Zalecisz im jak najsurowiej milczenie i zachowywanie się

ostrożne. Czy możesz pod tym względem liczyć na swych ludzi?...

— Mogę.

— Więc dobrze. Porobiwszy wszystkie przygotowania, każesz o godzinie drugiej po północy, gdy cały obóz pogrąży się we śnie...

W tej chwili z zewnątrz rozległ się ponury odgłos grzmotu i wycie wzmagającego się nieustannie wichru. Pułkownik zatrzymał się i słuchał tego posępnego ryku zbliżającej się burzy i rzekł:

— Zanosi się na deszcz, tem lepiej. Będziesz mógł niepostrzeżenie wymknąć się z obozu. O godz. 2-ej, jakem powiedział, każesz zebrać się swym ludziom za obozem, koło rzeczki... zalecam jak największe milczenie i jak najbaczniejszą ostrożność, bo w obozie są szpiegi... wiem o tem...

Umilkł na chwilę, szarpnął wąsa i ciągnął dalej:

— Każesz ludziom siąść na koń i wyruszysz zachowując ciszę, wylotem na południe. Maszerować będziesz, jak można najszybcej całą noc i o samym świcie dotrzesz do lasów Rytiańskich... spójrz na mapę... one tu są.

— Wiem gdzie są, znam je dobrze.

— Tem lepiej, w każdym razie weźmiesz ze sobą tę kartę. Jest to mapa sztabu generalnego naszych nieprzyjaciół, na niej nieomal każda ścieżka jest oznaczona. Badaj ją pilnie. W lasach tych pójdziesz oto tą drogą...

Tu pułkownik począł mi palcem wskazywać na mapie drogę.

— Idąc nią dotrzesz do leśnictwa, odosobnionej chaty z zabudowaniami gospodarskiemi i otoczonej dokoła mocnym parkanem. Leśnik, stary Fernando, uprzedzony jest o twojem przybyciu i będzie miał przygotowaną żywność dla twych ludzi i paszę dla koni. Winieneś tam stanąć o świcie, ukryć cichutko ludzi i koni w obejściu leśnictwa i czekać nocy, drzemiąc na jedno oko. Wieczorem zaś ludzi twoich przebierzesz w suknie chłopskie, których ci leśnik Fernando dostarczy, ko-

nie zostawisz u niego, ludzie broń, to jest szable i pistolety ukryją pod sukmany, lance zostaną na leśnictwie, i pojedynczo, najwyżej po dwóch udadzą się różnemi drogami, które Fernando wskaże, do wsi Comoro... Oto tutaj...

Znałem tę wieś. Leżała ona niedaleko rzeki, na wielkiej, bezleśnej płaszczyźnie.

— Winni tam stanąć przed świtem. Zbiorą się w małym lasku brzozowym, łączącym się z gęstą wikliną nadbrzeżną. Wśród tej wikliny jest parę chat wiejskich. W jednej z nich mieszka szwarcownik Huan, mruk zawołany, ale nasz przyjaciel. Do niego się udasz, pukając trzykrotnie w okienko. On ci dopomoże w ukryciu ludzi przez cały dzień, a w nocy, w której ma nastąpić przeprawa, wskaże co i jak robić należy. Oto wszystko. Jeszcze raz zwracam uwagę twoją poruczniku, że wyprawa, którą ci powierzam, jest wielkiej doniosłości i zaważy na losach naszych i całej Hiszpanii. Pewny jestem, że zrobisz wszystko, co w ludzkiej leży mocy, by ją pomyślnie doprowadzić do końca. Czy masz mi co do powiedzenia? Czy chcesz zrobić jaką uwagę?

— Żadnej, pułkowniku! Rzecz prosta, że chciałbym mieć więcej ludzi, ale widzę, że im mniej nas będzie, tem łatwiej się prześlizgniemy.

— Oczywista rzecz! Oto tu kartka do wszystkich miejscowych władz, by ci w razie potrzeby dawały pomoc, ale wiem sam, że tu pomoc prawie zawsze na nic się nie przyda. Z powrotem pójdziesz tą samą drogą i przy zachowywaniu tych samych ostrożności. O generała dbać więcej niż o życie własne i o życie wszystkich twych ludzi. Za pięć dni najdalej czekać tu będę twego powrotu. Czy wszystko zrozumiałeś poruczniku? Czy zapamiętasz wszystko?

— Zapamiętam, pułkowniku.

— A więc niech cię Bóg prowadzi!

Wstał, wysunął się z poza stołu i wyciągając do mnie rękę, powtórzył z widocznym wzruszeniem:

— Niech cię Bóg prowadzi!

Te słowa i to wzruszenie, odbijające się na surowej twarzy pułkownika, wstrząsnęły mną do głębi. Schyliłem się i ucałowałem go w ramię, a on wziął moją głowę w obie swe ręce, przycisnął do piersi, pocałował w czoło i szepnął jeszcze raz:

— Niech cię Bóg prowadzi, mój chłopcze!

Było to coś tak niezwykłego w postępowaniu pułkownika, którego znałem, jako człowieka surowego, niedostępnego wszelkim miększym uczuciom, że dopiero teraz zrozumiałem całą doniosłość i wagę powierzonej mi wyprawy. Obtarłem ukradkiem cisnące mi się łzy do oczów i ruszyłem ku drzwiom, gdy pułkownik zawołał:

— Ale... ale... dobrze, żem sobie przypomniał. Policya narodowa ze stolicy, z Bilbao, donosi mi, że rząd najezdniczy, mając wiadomość o zamierzonej przeprawie generała Casobi, do pomocy posterunkom lekkiej kawaleryi i straży pogranicznej wysłał oficera żandarmskiego z kilkunastu ludźmi, któremu oddano komendę nad wybrzeżem. Nic by to nie znaczyło, gdyby nie to, że przy oficerze znajduje się niejaki Wiktor, niegdyś członek naszej organizacyi, znający dobrze generała, a teraz szpieg... na służbie policyi nieprzyjacielskiej. Jest to człowiek nizki, krępy, z głową łysą jak kolano, z twarzą starannie wygoloną i wielkiemi, czarnemi, przenikliwemi oczami. Włóczy się podobno po wybrzeżu, przebrany za kolportera. Gdybyś go przypadkiem spotkał, masz go natychmiast rozstrzelać... albo lepiej powiesić. Na takich łajdaków szkoda kuli. Przytem strzały mogłyby cię zdradzić. Powiesisz go więc. Czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem pułkowniku.

— A więc to wszystko. Życzę ci szczęśliwej drogi, poruczniku.

Odwrócił się, wziął w rękę jakiś papier leżący na stole i począł go czytać.

Wyszedłem z alkowy wzruszony do głębi. W pierwszej izbie trzy czwarte sztabowców spało snem sprawiedliwego,

tylko adjutant dreptał na swych cieńkich nóżkach koło stojącej wciąż przy kominie żonie gospodarza. Nie zmieniła ona w niczem swej pozycyi i oczami pełnemi smutku patrzała przed siebie i fartuchem zakrywała swe wielkie piersi, tak samo, jak przedtem.

Adjutant zobaczywszy mnie, podskoczył i spytał półszeptem:

— Cóż? Czego chciał od pana pułkownik?

— Nic... drobnostka... kazał mi jutro rano wyjechać na podjazd do klasztoru Santa-Cruz.

Klasztor Santa-Cruz leżał w zupełnie przeciwnej stronie, niż ta, w którą miałem się udać. Dla większego omylenia niewczesnej ciekawości adjutanta, dodałem:

— Deszcz podobno pada?

— A pada.

— Jeżeli potrwa do rana ładną będę miał podróż!

— Ba! w jakim dworze po drodze zjesz przynajmniej dobre śniadanie, panie poruczniku, podczas kiedy my tutaj w tej pustce żywić się musimy sucharami i wódką. Zazdroszczę ci, poruczniku.

— Niema czego. W tych borach dwory są rzadkie i nie wiem czy na jaki natrafię, a przytem zmęczony jestem mocno i nie uśmiecha mi się wcale wycieczka po deszczu. Ale trudno, rozkaz jest wyraźny. Dobranoc!

— Dobranoc!

Wyszedłem nareszcie z chaty i spojrzałem na niebo. Czarne było jak atrament i deszcz gęsty począł padać.

## II.

Noc ciemna, monotonny plusk deszczu i szum wichru po borze, sprawiły to, że cały obóz spał, jak zabity. Kilka ognisk dogasało przed szałasami i czerwony ich blask odbijał się w kałużach wody, które tu i owdzie w zagłębieniach zdołały się już potworzyć. Skierowałem się w stronę, w której

rozłożył się mój pluton. Przed największym szałasem, koło ogniska osłoniętego jako tako od deszczu, siedziała i leżała gromadka moich wiarusów, a wśród nich stary wachmistrz mego plutonu, Ignacy, owinięty w płaszcz starannie i rozpowiadający coś szeroko zebranym, bo przy migotliwym blasku ogniska widziałem jego oczy zaczerwienione i groźnie przed siebie patrzące, jego wielkie siwiejące wąsy i ruchy rąk gwałtowne.

— Do krocset djabłów rogatych, smyki, co wy tam wiecie mopanku! — prawił wachmistrz Ignacy, gdym się zbliżył do szałasu tak, że mogłem rozróżnić słowa, wygłaszane tonem groźnym i chrapliwym — kiedy ja już wojowałem i byłem wachmistrzem trzeciego szwadronu drugiego pułku ułanów, wyście, mopanku, jeszcze koszule w zębach nosili. Pamiętam, mopanku, taki sam był psi czas, gdyśmy z naszym pułkownikiem wpadli na ich strzelców. Dwanaście armat stało na wzgórzu i kropiło nas, aż się wszyscy djabli śmieli. He, he, he! mopanku, co spojrzę po szwadronie, a tu któryś stęknie i bęc z konia. Kulki nas całowały lepiej od twojej Marysi, rekrucie Karolu.

Rekrut Karol, do którego zwrócona była powyższa apostrofa, był to chłopak, który służył w moim plutonie od początku naszej szalonej zawieruchy i właściwie nie mógł być nazwany rekrutem, ale starym żołnierzem. Ale wachmistrz wszystkich swych podwładnych tak nazywał, z uwagi, że sam był wojakiem, który już przed trzydziestu laty wywijał lancą w różnych potrzebach i bojach. Rekrut Karol, chłopak wysoki i cienki, jak tyczka, zwany z tego powodu w plutonie »Laskonogim«, wychylił gdzieś z ciemności swą wązką głowę, osadzoną na długiej szyi i rzekł tonem piskliwym:

— A skądże wachmistrz wie, jak Marysia całuje?

— Skąd, smyku zatracony? stąd, że widziałem, a może sam byłem przez nią całowany...

— Ha, ha, ha! zabrzmiał wśród zebranych wesoły śmiech i głosy:

— Zdradza cię, Karolu, twoja Marysia! nie wierz nigdy kobiecie.

— Hm! — ozwał się po chwili Karol — wiem ja, że każda kobieta jest płochą. Nawet w teatrze, w stolicy, śpiewają jakąś piosnkę: kobieta zmienną jest. Ale co do Marysi...

— Milczeć tam w szeregu! — zawołał wachmistrz — co nas tam do stu siarczystych kartaczy obchodzi twoja Marysia i wszystkie Marysie na świecie! Dla żołnierza, mopanku, każda kobieta jest żoną i do jednej nie powinien się przywiązywać, bo zginie. Ja wam to powiadam smyki, ja, Ignacy, wachmistrz pierwszego plutonu ułanów i skoro ja powiadam, to...

Przerwałem tę interesującą dyskusyę o kobietach, stając przed szałasem w kręgu światła i rzekłem:

— Wachmistrz Ignacy jest mi potrzebny!

Wszystkie głowy się podniosły i wszystkie oczy we mnie się wpatrzyły. Wachmistrz zerwał się na równe nogi i przykładając rękę po wojskowemu do czapki, rzekł:

— Wedle rozkazania pana porucznika.

— Chodź za mną!

Ruszyłem ku mojemu szałasowi, a gdym się przy nim znalazł, obszedłem go dokoła, czy kto w pobliżu się nie znajduje i tak rzekłem do starego Burczymuchy, bo tak nazywaliśmy Ignacego, z uwagi, że wiecznie był niezadowolony, zawsze krzyczał, że z takimi skurczybutami i cywilusami, jacy znajdują się w oddziale, nic nie będzie można zrobić i wszystko psu na buty się nie przyda.

— Słuchaj, Ignacy — mówiłem szeptem — to, co ci powiem, masz zachować w jak największym sekrecie. Sprawa publiczna!

Wachmistrz stał wyprostowany jak struna, z ręką u czapki i oczami wytrzeszczonemi, z wąsiskami ruszającymi się, jak u chrabąszcza:

— Wedle rozkazania, mopanku. Kiedy gębę stulić, to stulić!

— Pójdziesz mi zaraz i jak najciszej, nie zwracając niczyjej na siebie uwagi, pojedynczo każdego żołnierza plutonu uwiadomisz, by się miał do drogi. Za godzinę najdalej wyruszamy na wyprawę.

— Wedle rozkazania...

— Niech każdy konia okulbaczy i cichutko, ukradkiem, pojedynczo wyprowadzi na łączkę... tam... nad rzeczką. Tam niech się zbierze cały pluton i czeka na mnie. Ale jeszcze raz powtarzam, wszystko ma się zrobić jak najciszej, tak, żeby nikt o tem nie wiedział w obozie, że pluton z niego wysunął się. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem... co nie miałem zrozumieć.

— Konie nakarmione?

— Nakarmione, panie poruczniku.

— Nad rzeczką można je będzie jeszcze raz napoić. Więc ruszaj i spraw się dobrze!

— Wedle rozkazania!

Ostro, po żołniersku, zrobił na lewo w tył zwrot i znikł w ciemnościach.

Obudziłem mojego ordynansa, chłopaka może dwadzieścia lat liczącego, Marcinka, z tej samej co i ja wsi pochodzącego, straszliwego paliwodę i oczajduszę, ale przywiązanego do mnie mocno. Z zaleceniem tych samych ostrożności kazałem mu konie nasze okulbaczyć, sam zaś okryłem się płaszczem starannie, obejrzałem moją szablę i pistolety, i gdy Marcinek ziewając straszliwie i mrucząc coś pod nosem o psim czasie, wyprowadził ostrożnie konie na miejsce schadzki nad rzeczką, sam tam w końcu wyruszyłem.

Padający dotąd deszcz ulewny zamienił się w nieznośny, drobny kapuśniaczek, który zapowiadał, że słota potrwa długo. Grzmoty ucichły, tylko po lesie szumiał posępnie wicher, swym przeciągłym jękiem przygnębiająco działający na duszę. Było tak ciemno, że z trudnością rozróżniałem drzewa boru. Szedłem, brodząc po rozmokłej ziemi, wpadając w kałuże wody, smutny nieskończenie, ale spokojny. Odczuwałem

całą ważność powierzonego mi zadania. Wiedziałem, że junta narodowa, że wszyscy wielkie nadzieje pokładali na generale Casobi, który miał być dzielnym, wytrawnym i doświadczonym żołnierzem. Liczono, że on jeden zdoła podnieść nasze powstanie upadające już z wycieńczenia i wchodzące w ten stan omdlenia, który jest zapowiedzią blizkiego końca. Misya więc moja była pierwszorzędnej wagi, zależało od niej nieomal wszystko, przyszłość kraju całego. To też nie wątpiłem ani na chwilę, że ją wykonam, że zrobię wszystko, co będzie w mocy ludzkiej, by ją pomyślnie doprowadzić do końca, ale byłem smutny, znużony bardzo i potrzebowałem spoczynku. Ta nadzieja spoczynku zawiodła mnie, ale z drugiej strony myśl, że z pomiędzy wielu ja zostałem wybrany do wykonania tak doniosłego zadania, napełniała mnie pociechą i dumą. Wiedziałem, że w tej szalonej wyprawie mogę głowę położyć, ale wszystko mi już było jedno. Takie życie, jakie od ośmiu miesięcy pędziliśmy, życie widm i upiorów, nie miało dla mnie żadnej wartości.

Pluton mój składał się z trzydziestu sześciu zuchów i straceńców, na czele których stałem od pięciu miesięcy, których znałem doskonale i wiedziałem do czego są zdolni. Między mną a nimi wytworzyła się nić wzajemnego zaufania i przywiązania. Oni wiedzieli, że nigdy ich źle nie poprowadzę, ja, że w razie potrzeby położą się pokotem na pobojowisku, a nie ustąpią, gdy potrzeba będzie nie ustąpić. Byli karni, posłuszni, wytrwali i obojętni na niebezpieczeństwo.

Teraz stali jak cienie jakieś zagrobowe, na niewielkiej polance, nad rzeczką, która wskutek ulewy wezbrała trochę i z szumem a pluskiem płynęła, migocąc blaskiem fosforycznym swych fal w tej ciemnej nocy. Niekiedy ten blask tajemniczy, gdzieś z głębi czarnej przestrzeni wystrzelający, wieszał się na szablach, na orłach czapek, na ostrzach lanc, których trójbarwiste chorągiewki wiatr miotał rozgłośnie. Twarzy, ani postaci rozróżnić nie można było, przedemną szarzała tylko jakaś czarna, niekształtna, rozpływająca się w ciemno-

ściach masa. Panowało wśród niej głębokie milczenie, czasem tylko brzęknęła szabla, koń zagrzebał kopytem, zadźwięczały ostrogi. Wicher wył po dawnemu w boru, z którego przyniósł jakieś dziwne, nieokreślone, pełne dreszczów tajemniczości odgłosy. Z liści buków, z igieł odwiecznych jodeł i świerków, spadały na nas z głuchym szelestem gęste, grube krople deszczu. Było zimno, wietrzno i smutno.

— Wachmistrz Ignacy! — zawołałem, stanąwszy przed szeregiem mej gromadki wiarusów.

— Jestem — odezwał się głos Burczymuchy, głos dobrze mi znany, chrapliwy, gruby, świadczący, że jego właściciel lubiał często, zbyt często niestety! zaglądać do manierki.

— Czy wszyscy są?

— Wszyscy, wedle rozkazu, co do jednego.

— Nikt was nie zauważył wychodzących?

— Nikt.

— To dobrze. A teraz, chłopcy, słuchajcie mnie!

Podniosłem nieco głos, gdyż z powodu dość znacznego oddalenia od obozu nie było obawy, bym tam mógł być słyszanym. Przytem wiatr dął w stronę przeciwną.

— Mamy się udać — mówiłem — na wyprawę bardzo niebezpieczną, ale bardzo ważną dla sprawy. Nie możemy liczyć na żadną pomoc, na niczyje poparcie, tylko na samych siebie i na nasze lance. Rozkazów, wydanych mnie przez pułkownika, dokonać musimy, choćby przyszło nam zginąć do nogi. Poprowadzę was w okolice nagie, bezleśne, pełne nieprzyjaciół. Musimy się wśród nich przesunąć jak widma, jak cienie, jak upiory, a przeszkody przełamać. Kto nam stanie w drodze, stratujemy go, kto porwie się na nas z bronią, lancą go roztrącimy. Musicie być odważni, wytrwali, nieustraszeni, karni i posłuszni. Kto z was nie chce wziąć udziału w tej wyprawie, z której żaden z nas może nie wyjdzie cało, niech wystąpi i wróci do obozu.

Umilkłem i czekałem. Nikt nie wystąpił, lecz po chwili ozwały się głosy, zrazu pojedyńcze, a potem chóralne:

— Pójdziemy wszyscy, gdzie nas pan porucznik poprowadzisz!

— Trzeba zginąć, to zginiemy!

— Raz matka rodziła, raz kozie śmierć!

— Pójdziemy wszyscy!

— Jak trzeba, to trzeba!

Przyznaję się, że serce przepełniła mi duma i żal głęboki. Tych trzydziestu sześciu, w ogromnej większości młodzieńców w kwiecie wieku, miałem poprowadzić na niechybną zgubę, bo rozum mi powiadał, że wyprawa ta ma bardzo niewiele szans powodzenia. Z drugiej strony mieć pod sobą trzydzieści kilka dzielnych lanc, gotowych rzucić się w ogień i wodę, czuć, że ta sforna gromada na jedno moje skinienie pójdzie wszędzie, wszystko wykona, położy się w razie potrzeby jak zżęte kłosy na polu, było dla mnie czemś, co unosiło moją duszę, napełniało ją zapałem, nadzieją tryumfu.

A tryumf ten, nie ukrywałem tego przed sobą, był bardzo wątpliwy. Nieprzyjaciel uprzedzony był o mającem nastąpić przybyciu generała Casobi, podwoił czujność, rozstawił straże, przerzynał okolicę licznemi patrolami, ze stolicy nawet wysłał żandarmów i szpiegów. To wszystko pokonać, uniknąć baczności wroga w kraju płaskim, bezleśnym, pełnym wsi i miasteczek, było rzeczą prawie niepodobną.

Wszystkie te myśli przebiegły mi jak błyskawica przez głowę, gdym stał przed mym, czerniejącym w ciemnościach plutonem i słuchał jego entuzyastycznych oświadczeń, że pójdzie wszędzie za mną.

— To dobrze — rzekłem — wiecie, czego się macie trzymać. A teraz na koń! Szablę założyć na haczyki u pendentów, żeby nie dzwoniły! Fajek i papierosów palić nie wolno. W szeregach milczeć i uszy dobrze nadstawiać. Zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy!

Pluton siadł już na koń. Ordynans podał mi mego kasztanka, na którym od pięciu miesięcy zdeptałem tyle kraju

i tyle walk stoczyłem, który wiele razy ocalił mi życie, którego kochałem jak brata, jak przyjaciela. Dosiadłem konia, otuliłem się w płaszcz, osadziłem się dobrze na kulbace i w strzemionach, i zakomenderowałem:

— Dwójkami od prawego, marsz za mną!

W milczeniu złamały się szeregi i ruszyliśmy znaną mi dobrze leśną drożyną, wylotem na południe. Dzięki tylko tej dokładnej znajomości borów Świętokrzyskich, mogłem wśród tej nieprzejrzanie ciemnej nocy prowadzić należycie mych ludzi. Maszerowaliśmy wyciągniętym stępem, bo las kończył się o milę dalej i zaczynały się okolice płaskie i bezleśne, które chciałem koniecznie przebyć nocą, by nad świtaniem zagłębić się znowu w wielkie kompleksy lasów, należących do majątku Rytiani i tam u wskazanego mi leśnika Fernanda dzień cały w ukryciu przepędzić. Posuwaliśmy się w posępnem milczeniu, otuleni w płaszcze, w większej części drzemiąc na koniach, których kopyta grzęzły w rozmokłym gliniastym gruncie.

Po dobrej godzinie takiego marszu, czarny, ponury las, otaczający nas dotąd, począł się przerzedzać i wkrótce znaleźliśmy się na nagiej płaszczyźnie. Było tu trochę widniej, a stąd raźniej, a nawet na zachodzie niebo poczęło się wyjaśniać i zapowiadać się zdawało, że nieznośny deszcz, który nam do żywego dokuczył, który zdążył nas już przemoczyć dotkliwie, ustanie wkrótce. Przyspieszyłem nieco pochodu i tak tłukąc się całą noc, nie spotkawszy na drodze ani jednej żywej duszy, nad samem świtaniem dobiłem do lasów Rytiańskich. Stąd miałem jeszcze około siedmiu kilometrów drogi bocznej i leśnej do zagrody gajowego Fernanda. Znałem tę zagrodę i mniej więcej wiedziałem gdzie leży, gdyż kilkakrotnie tam przebywaliśmy.

Deszcz na szczęście ustał, choć nad ranem wiatr przenikliwy i zimny wzmógł się potężnie. Przeziębliśmy do kości i każdy pragnął jak najprędzej dostać się pod dach. Pospieszaliśmy więc jak można było i dzień już był dobry, gdy uj-

rzeliśmy leśniczówkę Fernanda. Na szczęście nikt nas dotąd nie widział i nikogo nie spotkaliśmy. Otucha wstąpiła w moje serce. Pierwsza część zadania została dobrze i raźno wykonana — i ufałem swej gwiaździe, że i druga, najważniejsza i najniebezpieczniejsza, tak samo się powiedzie.

## III.

Leśnictwo, do którego zbliżaliśmy się o szarym i zimnym świcie jesiennego dnia, znużeni nadzwyczajnie, przeziębli i głodni, mieściło się w najgłębszem i najdzikszem miejscu wielkich Rytiańskich lasów. Droga tędy żadna nie szła, bór był dokoła gęsty, a samo leśnictwo składało się z domku gajowego o trzech izbach, przedzielonych sienią, stajni, obory i wielkiej stodoły, teraz do połowy napełnionej zbożem. Na dziedzińcu była studnia, a całe to obejście otoczone było wysokim, mocnym parkanem, mającym dwa wyjścia: jedno przez bramę frontową, drugie od tyłu przez wierzeje stodoły. Miejsce było ciche, głuche, zagrzebane w głębi lasów i obronne. W razie nagłego napadu można było tu zamknąć się i bronić długo.

Psy, których leśniczy Fernando trzymał kilku, wielkich kudłatych owczarskich psów i legawców, poczuły nas zdaleka i w ciszy poranku ujadały zawzięcie. Zapewne to ich szczekanie wywiodło leśniczego Fernanda na wązką drożynę, prowadzącą do jego zagrody. Spotkaliśmy go na zakręcie, jak stał, na pół ukryty za krzakami, chudy, zawiędły na deszczu i słońcu, z ogromnymi wąsiskami, ubrany w kapelusz słomiany, kurtkę myśliwską i wysokie do kolan buty. Przez ramię miał zarzuconą torbę borsuczą i dwururkę.

Gdy go spostrzegłem, zatrzymałem natychmiast pluton i podjechałem sam do stojącego, nie byłem bowiem pewny kto to jest, a w każdym razie wypadało mi z nim wprzód rozmówić się:

— Kto waćpan jesteś? — spytałem.

Nie odpowiedział odrazu na moje pytanie, ale obrzucił mię badawczym wzrokiem i nawzajem spytał:

— Czy to z oddziału pułkownika Sigismundo?

— Tak.

— A więc wszystko dobrze. Ja jestem Fernando. Czekam na panów.

— Skoro tak, to wiesz pan o co idzie — rzekłem.

— Pewnikiem, że wiem.

— Czy będziemy mogli na leśnictwie bezpiecznie przepędzić dzień cały?

— Wszystko jest w ręku Bożem, panie poruczniku — odparł poważnie. — To co człek mógł zrobić, to się zrobiło. Ale nie marudźmy tutaj na drodze. Licho nie śpi, akuratnie może jaki hycel chłop przejeżdżać ze skradzionem drzewem i nas zobaczyć. Każ, panie poruczniku, plutonowi swemu maszerować za mną.

Ruszyliśmy więc za leśnikiem i wkrótce znaleźliśmy się w obejściu domku Fernanda. Zamknięto zaraz bramę. Ciasno tu było dla 36 ludzi i koni, ale na to już nie było rady. Konie pomieszczono w stajni, oborze i stodole. W jednej z izb gotowała się w ogromnym garnku strawa dla nas, kasza na baraninie, co ożywiło moich wiarusów i w lepszy wprawiło ich humor. Dla koni również podostatkiem było obroku.

Sam zająłem alkierz, gdzie znajdowało się ogromne łoże, poduszkami i pierzynami wysłane, z obrazem na ścianie, przedstawiającym Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku. Usiadłem zmęczony na prostej ławie pod ścianą, a żona leśniczego zaraz przyniosła mi ogromną szklankę gorącej kawy, pół bochenka chleba i masło na miseczce. Zabrałem się do jedzenia, bo byłem głodny, a Fernando wsunął się przez drzwi, zamknął je za sobą starannie i rzekł:

— Panie poruczniku, ja bo sobie tak umyśliłem, że na wszelki wypadek trzeba rozstawić pikiety, bo chociaż pewny jestem, że nikt tu panów nie zobaczy i nie wie o was, jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nie w smak mi to było, bo ludzie byli bardzo zmęczeni i przed czekającą ich ciężką wyprawą potrzebowali koniecznie spoczynku, ale uznałem zupełną słuszność rady Fernanda, więc rzekłem:

— Myślałem, że się bez tego obejdzie, ludzie są strasznie znużeni, ale skoro waćpan tak mówisz...

— Ale tu nikt nie myśli o tem — odparł — żeby pańscy żołnierze chodzili na pikiety. Widzę ja dobrze, jak niebożęta są pomęczeni. Mam, panie poruczniku, czterech chłopaków, synów moich, smarkate to jeszcze, ale czują jak trawa rośnie. Wszystkich czterech wyślę w cztery strony i możecie panowie spać spokojnie, bo mysz się nie przemknie po boru, żeby jej niedostrzegli. A choćby tam ich kto spotkał wałęsających się po lesie, to nie będzie nic w tem dziwnego, bo oni po całych dniach nic innego nie robią i wszyscy o tem wiedzą. Jabym to zaraz był uczynił, ale pan tu jesteś dowódcą i rozkazujesz, a ja znam co to żołnierka i wiem, że bez rozkazu nic robić nie wolno. Mam więc wysłać mych smyków?

— Ale ma się rozumieć, panie Fernando — zaoszczędzisz sił moich ludzi. Dziękuję ci bardzo zato.

— Niema pan porucznik za co dziękować. Ja jestem stary żołnierz, kapral czwartego pułku piechoty i wiem co służba. Idę więc, a pan porucznik niech się prześpi spokojnie.

Jakoż najadłszy się do syta, spałem jak zabity na miękkiem, pierzynami i piernatami wysłanem łóżku w alkierzu, i tak mocno, że ledwie mnie na obiad dobudzić się można było. Ludzie też i konie wypoczęli sobie dobrze i przez cały dzień nikt i nic nie zakłóciło naszego spoczynku. Jednem słowem, jak dotąt karkołomna moja wyprawa zapowiadała się jak nalepiej.

Pod wieczór, wywczasowany dostatecznie, obudziłem się. Okno w alkierzu było na pół otwarte i wpadał przez nie rzeźwy aromat sosen i boru. Niebo było czyste, powietrze ciche, a poza szczyty starych świerków i dach stodoły, który z mego łóżka widziałem, słońce kryło swą tarczę złocistą.

Senna cisza panowała wokoło, tylko pod oknem mojem siedział widać wachmistrz Burczymucha i stłumionym głosem coś opowiadał:

— Tedy mopanku — prawił — przypadł do nas nasz pułkownik. Hej! — peda — dzieci, dokądże te psie syny będą nas tu zabijali. Formuj się półszwadronami na lewo, dyrekcya na prawo i marsz za mną. He, he! mopanku, myślę sobie, będzie tu łaźnia. Łyknąłem sobie dla kurażu z manierki, a tu już pułk, panie, czesze, aż się wszyscy djabli śmieją, a białe rabaty błyszczą jak srebro. Puknęli jeszcze raz do nas kartaczami ze wszystkich dwunastu armat, ale my już mopanku, wsiedliśmy na nich. Dopieroż rąbanina, Matko Przenajświętsza! Żywa dusza nie uszła i armaty były nasze. Aż tu kiedy my się jeszcze poramy z armatami, od flanku zajeżdżają nas jegry. Pedam wam, smyki, chłopy jak się patrzy, w kaskach złocistych na głowach, a pędzą, aż ziemia dudni. Ale już pułkownik to dostrzegł, przypadł z gołą szablą w garści i krzyczy: Formuj się, pierwszy i drugi szwadron na lewo! A właśnie ja, jak mnie tu rekruci widzicie, byłem w pierwszym szwadronie. Więc w mig sformowaliśmy się i lancami w jegrów. Trochę pobzdykali nam pod nosem szablami i w nogi. Armaty były nasze, a pułkownik jedzie na swej białej kobyle, pokręca mopanku wąsa i peda: spisaliście się dobrze chłopcy. Kontent jestem z was! Tak to, smyki jakieś, bywało, a wy co? umiecie wy lancami robić? he? cywilusy jesteście, jeno do dziewek, a też miski, to zuchy!

Widocznie stary Burczymucha miał, jak zwykle, liczne koło siebie audytoryum, bo się, zawsze stłumione, ale gęste protesty odezwały, a między nimi piskliwy głosik Karola Laskonogi:

— Ej, wachmistrz zawsze na nas wygaduje. A pamięta wachmistrz jakeśmy roztrącili lancami strzelców konnych pod Jeziorkiem!

— Mopanku, wielka mi sztuka! przytrafiło wam się to, jak ślepej kurze ziarnko, bo...

Nie słyszałem więcej, bo do alkierza wsunął się na palcach gajowy i spostrzegłszy mnie, że nie śpię, stanął wyprostowany jak struna przy drzwiach i rzekł:

— Z przeproszeniem pana porucznika, ale słonko ma się już ku zachodowi, a do Comoro jest dwie tęgie mile. Czas się wybierać. Nim ludzie zmienią ubranie, pochowają broń, będzie noc, a nad świtaniem trzeba być nad rzeką.

— Masz waćpan racyę. Sukmany chłopskie są?

— Są!

— A więc do roboty!

Wyskoczyłem z łóżka, wybiegłem na dziedziniec, zwołałem cały pluton i gdy leśnik przyniósł suknie chłopskie, kazałem się swym zuchom przebierać. Nie bardzo chętnie to czynili, żal im było zrzucać piękne mundury ułańskie z amarantowemi rabatami, ale rozkaz wypełnili. Lance zostały zagrzebane w stogu siana na dziedzińcu, a szable i rewolwery żołnierze ukryli starannie pod sukmanami. Gdy to wszystko zostało wykonane, stanąłem przed plutonem i rzekłem:

— Chłopcy, teraz pojedynczo lub po dwóch macie się cichaczem stąd wymknąć i różnemi drogami maszerować do wsi Comoro. Wiecie gdzie jest ta wieś? Kto nie wie niech się przepyta tutaj, bo po drodze należy zachować wszelkie ostrożności i unikać spotkań z ludźmi. Macie się przesunąć jak cienie, nieznacznie i cicho. W Comoro każdy z was winien stanąć przed świtem i ukryć się w gęstych wiklinach nad rzeką. Ja tam przybędę razem z wachmistrzem, a gdy on zakracze jak wrona, macie się zebrać w miejscu skąd głos dochodził. Wachmistrz Burczymucha zakracze, żeby głos ten poznali.

Burczymucha wystąpił i nadąwszy się począł krakać z takim talentem, że potrzeba dobrze wsłuchać się, by w tem krakaniu zauważyć pewną modulacyę, odróżniającą je od prawdziwego wroniego głosu. Próba ta wywołała ogólny śmiech, któremu jednak zaraz nakazałem milczenie.

— Mrok się już robi, więc ruszajcie w drogę; pamiętajcie, że od waszego zachowania się i zręczności zależy los

sprawy. Niech was Bóg prowadzi. Wachmistrz Burczymucha i szeregowiec Karol Laskonogi przy mnie zostaną.

W kwadrans potem już nie było ani jednego z moich wiarusów na leśnictwie. Noc tymczasem zapadła, noc ciemna i wietrzna, ale pogodna. Stary leśnik zaprzągł do wózka i wyruszyliśmy w drogę, t. j. ja, wachmistrz, żołnierz Karol i mój ordynans Michałek. Konie nasze zamknięte w stodole, stajni i oborze, oddane zostały pod opiekę żony leśnika i jego synów, którzy na surowe zalecenia ojca, by ich strzegli jak oka w głowie i nikogo obcego do obejścia leśnictwa nie puszczali, gadali, skrobiąc się po jasnych jak len i kudłatych głowach:

— Niech się tatuś nie boją, pies tu nie zajrzy, a też całą noc stróżować będziewa po boru.

Tak więc puściliśmy się w drogę, rozpoczynając drugi, najniebezpieczniejszy akt naszej wyprawy. Leśnik wsiadając na kozioł zrobił biczyskiem znak krzyża przed końmi i sam się przeżegnał nabożnie. Posuwaliśmy się dość wolno, nie drogą główną, lecz bocznemi ścieżynkami, po których kierować się mógł tylko człowiek doskonale znający ten wielki las. Na szczęście nikogo nie spotkaliśmy i cali, niepostrzeżeni dotarliśmy nad świtaniem do wsi Comoro. Wieś ominęliśmy, i niebo już na wschodzie poczęło się różowić, gdy znaleźliśmy się w małym lasku brzozowym, w pobliżu rzeki, przed chatą przemytnika Huana.

## IV.

Chata Huana ukryta była w gąszczu wikliny nadbrzeżnej i nie wiedząc o niej, chyba przypadkiem tylko można ją było znaleźć. Stary leśnik zatrzymał wózek zdaleka od niej i rzekł, obracając się do mnie:

— Huan, proszę pana porucznika, znany tu jest w całej okolicy jako szwarcownik, i strażnicy często do jego chaty zaglądają. Dlatego, widzi mi się, lepiej będzie pieszo do niej dojść. Niech więc pan porucznik zsiądzie i z wachmistrzem

i ludźmi tam idą, a ja tu w wiklinie wózek ukryję i koniom dam wytchnąć.

Rada wydała mi się dobrę, ale nie zamierzałem jej wykonać w zupełności. Zsiadłszy z wózka kazałem wachmistrzowi i Karolowi ruszyć w wiklinę i ludzi zwołać i odszukać, sam zaś z ordynansem Michałkiem puściłem się ku samotnej chacie. Zrazu widziałem tylko jej dach i dym unoszący się z komina, co świadczyło, że ludzie w niej czuwają, ale zbliżywszy się, zobaczyłem czerwony, migotliwy blask ognia w jedynem okienku. Ostrożnie, skradając się na palcach, z ręką na cynglu naszych rewolwerów, zbliżyliśmy się z Michałkiem do okienka i zajrzeliśmy w nie. Przy stole pod oknem ujrzałem dwóch mężczyzn w ubraniu na pół miejskim a na pół chłopskiem, zresztą nikogo więcej. Przytem nie można było zbyt długo patrzeć w okno, bo nagle rozległo się w izbie zajadłe szczekanie psa i jeden z mężczyzn zerwał się na równe nogi.

Nie było czego czekać, zapukałem trzykrotnie w okno, a zaraz też mężczyzna, który powstał, schwycił jakieś narzędzie z kąta i wybiegł z chaty. Na dworze robiło się coraz widniej i przy blasku mętnego jeszcze świtu, ujrzałem przed sobą postać niską, o szerokich barkach, potężnych nogach i karku, jak u byka. Na karku tym spoczywała wielka, energiczna głowa, z włosem kędzierzawym, dość długim i niedbale uczesanym, nakrytym zwyczajną czapką z daszkiem. Oczy duże, ciemne, patrzały ponuro z pod krzaczastych brwi; twarz była starannie wygolona. Mężczyzna ubrany był w kusy, niewiadomo jakiej barwy kubrak i w długie buty z cholewami. Szedł, chwiejąc się na swych potężnych nogach, a jedną rękę, w której coś trzymał, miał ukrytą poza sobą:

— Kto tu? — spytał szorstko.

— Czy Huan? — zapytałem nawzajem.

— Tak.

— Zapukałem trzykrotnie, musisz wiedzieć, co to znaczy.

— Z obozu pułkownika Sigismundo?

— Tak.

— To dobrze. Tylko...

Zawahał się, podrapał po kędzierzawej głowie i począł mówić szeptem:

— Widzi pan porucznik, licho nadało jakiegoś jegomościa. Zna on nasze hasło i puściłem go do środka. Djabli wiedzą, kto to taki! Powiada, że także należy do tych, co mają dopomódz do przeprawy generała — czy ja wiem! Źle mu patrzy z oczu, nic nie gada, wzdycha tylko.

— Czy sam jest?

— Zdaje mi się, że sam. Przepatrzyłem okolicę i kobietę moją nieznacznie na zwiady wysłałem; niema nikogo w pobliżu. Patrol strażników przejeżdżał tędy przed godziną i nie pokaże się prędko.

— Dawno ten jegomość siedzi u ciebie?

— O! dawno... kole północka się zjawił.

Huan mówił to wszystko szybko, szeptem i swemi niespokojnemi, ruchliwemi i złemi oczami strzelał dokoła, nie patrząc na mnie, chyba ukradkiem, a wtedy bardzo badawczo mi się przyglądał. Nie podobał mi się ten człowiek, ale to już było wyłącznie moje osobiste zapatrywanie się i w niczem nie mogło zmienić poleceń mi danych.

— Skoro jest sam — rzekłem — nie mamy się czego lękać: chodźmy do izby. Ty, Michałku, zostań tu, ukryj się gdzie, bacznie obserwuj wszystko i w razie gdybym cię zawołał, spiesz mi na pomoc natychmiast.

— Dobrze, panie!

Wszedłem do izby, a w tej chwili rozległ się krzyk wrony. To Burczymucha zwoływał mych zuchów. Blask świtu nie przedostał się jeszcze przez maleńkie okienko izby i wielkie cienie włóczyły się po kątach, słabo rozświetlane przez ognisko gorejące na kominie. Obok tego komina na prostej ławce drewnianej, oparta głową i plecami o ogromny piec, siedziała, drzemiąc widocznie, kobieta młoda i niepospolicie ładna. Była ubrana z miejska, w czarną spódnicę, z pod której wysuwały się nogi maleńkie i zgrabne, obute w prunelowe trzewiki nieco

zabłocone. Na sobie miała bluzkę ciemno-granatową, oddającą wybornie jej wciętą figurę i ładnie zaokrąglone piersi. Z głowy wspartej o piec, z wyrazem niewysłowionego znużenia, spadła chustka i ukazywała włosy jasne jak złoto, uczesane modnie i z wdziękiem okalające twarz świeżą, ale bladą i zmęczoną, o cieńkich, ślicznie zarysowanych i ciemnych brwiach, o nosie prostym i ustach pełnych uroku. Była młoda, ładna, hoża i w całej postaci, w układzie zaniedbanym pozornie miała jakiś wdzięk, jakąś szlachetność, dziwnie odbijającą od całego pospolitego i dość ubogiego otoczenia tej chaty, zbudowanej na pustkowiu. Obok niej na ławce stała latarnia o białych i czerwonych szkłach. Gdym wchodził do izby, kobieta podniosła przymknięte dotąd oczy, wielkie, w pysznej oprawie, czarne i ogniste oczy, tworzące uderzający kontrast swym kolorem z jasnym, złocistym jej włosem na głowie — i wpatrzyła się we mnie i w idącego za mną przemytnika Huana z niemym wyrazem trwogi i śmiertelnego znużenia. Potem powoli podniosła się i ruchem cichym, miękkim, ale pełnym szykowności, zbliżyła się do komina, poprawiła ognisko, tak, że buchnął z niego jasny płomień i oświecił całą izbę. Uczyniwszy to, stanęła twarzą do nas, z rękami w bezsilnem znużeniu opuszczonemi wzdłuż ciała i milcząc przypatrywała się swemi palącemi oczyma mnie i całej scenie, która tu się rozgrywać zaczęła.

W tem życiu pełnem burz i przygód, grożących zawsze śmiercią i gorszą od śmierci niewolą, w tym stanie mego umysłu, zajętego wyłącznie wielką ideą, która mi kazała rzucić cichą przystań domową i puścić się na falę całego szeregu nadzwyczajnych wypadków, rzadko widywałem kobiety tak piękne, a nadewszystko całym swym układem i wzięciem zdradzające przynależność do wyższych sfer społecznych; to też wchodząc do izby przez chwilę zapomniałem o celu mego przybycia, a wpatrzyłem się z niemem osłupieniem w tą świetlaną postać, ni stąd ni zowąd pojawiającą się w chacie prostego przemytnika. I ona spojrzała na mnie swemi czarnemi

oczami, w których palił się jakiś mistyczny żar zmysłowych uniesień, połączony z głuchą trwogą, ale zaraz je spuściła, a po jej bladej, zmęczonej twarzyczce, przebiegł przelotny rumieniec, zaróżowił czoło i znikł zaraz.

Moje zapatrzenie się w milczącą postać niewieścią przerwał łoskot odsuwanej gwałtownie ławki, i tajemniczy mężczyzna, o którym mówił mi Huan, i który dotąd siedział w postawie głębokiego zamyślenia, tyłem do drzwi, nagle podniósł się, wyprostował swą niską, ale krępą i silnie zbudowaną postać i zwrócił twarzą do mnie. Zauważyłem, że miał na sobie szeroki płaszcz ciemny z peleryną, którym starannie się otulał, a na nogach wysokie buty lakierowane, bo w nich przeglądały się czerwone blaski ognia. Na twarz jego padł promień roznieconego w tej chwili przez piękną kobietę ognia, i ujrzałem głowę łysą zupełnie, twarz ponurą, nerwową, zmęczoną, starannie wygoloną i wielkie, czarne, pełne potężnego blasku oczy. Oczy te, tę twarz, tę postać znałem gdzieś, widziałem i przez chwilę stałem, grzebiąc w pamięci, wreszcie przypomniałem sobie wszystko i z uczuciem radości i wielkiej ulgi, zawołałem:

— Sylwester? tak to ty!... poznaję cię dobrze!

— Tak, to ja! — odrzekł tenże.

Niegdyś, przed dwoma laty, przed rokiem nawet, tam w stolicy, w tym wielkim kotle namiętności ludzkich, należałem ze stojącym teraz tu przedemną Sylwestrem do tajnych spisków przeciw rządowi, do wielu działań skrytych i niebezpiecznych. Był to wtedy człowiek nadzwyczajnej energii, ponurego usposobienia, ale imponującej nam, młodym, wyższości umysłowej. Pociągał też do siebie urokiem tej niepospolitej wyższości, tajemniczością swej osoby, posępnym smutkiem, stanowiącym tło jego charkteru. Kochaliśmy go wszyscy i szanowali bardzo, a on coraz wyżej podnosił się w hierarchii spisku. Później, gdy zerwała się wielka burza, która i mnie uniosła, opuściłem stolicę, straciłem Sylwestra z oczów i zapomniałem o nim zupełnie wśród biwaków nocnych, szalonych

wypraw, krwawych bojów, świstu kul i szczęku szabel. O czem to się wtedy nie zapominało w tej zawierusze szalonej, porywającej w swym pędzie i ludzi, i rzeczy, i idee i wspomnienia!

A teraz, w brudnej chacie przemytnika, na tle migocącego blasku ogniska, ujrzałem znów Sylwestra, i wydało mi się, że wieki całe już go nie widziałem, tak to gorączkowe życie mięło i zacierało w sobie wszelkie spokojne pojęcia o istnieniu i czasie.

— Co za szczególne spotkanie! — zawołałem.

Istotnie, szczególne to było spotkanie. Tego wysokiego urzędnika w hierarchii sprzysiężenia, tego wytrawnego spiskowca, obracającego się na łonie wielkiego miasta, jak wśród przyrodzonego sobie żywiołu, ujrzeć nagle wśród posępnego poranku dnia jesiennego, w nędznej chacie przemytnika, wśród najpoważniejszego niebezpieczeństwa, lada chwila grożącego, było w rzeczy samej czemś niezwykłem i zadziwiającem.

— Bój się Boga! — rzekłem — co ty tu robisz?

— Co robię? — odparł — to samo co i ty, poruczniku Valery, czekam na przybycie generała Casobi.

— A skądże ty wiesz o tem przybyciu?

— My wszystko wiemy w stolicy — odparł i zawróciwszy się, usiadł na dawnem miejscu, na ławie.

— Więc ty jesteś tu z ramienia junty narodowej? — ciągnąłem dalej, siadając także naprzeciwko Sylwestra.

Spojrzał na mnie swemi przenikliwemi oczami i rzekł chmurno:

— Dlaczego mnie pytasz o to? Może jestem tu z ramienia junty narodowej, a może i nie. Wiesz dobrze, że nie należy o takich rzeczach mówić głośno.

Obejrzałem się dokoła, bo ostatecznie Sylwester miał racyę; zbyt głośno mówiłem. Ale nie było obawy. Przemytnik Huan wyniósł się z izby i wśród ciszy poranku słyszałem jak rozmawiał za oknem z Michałkiem. Oprócz mnie i Sylwestra, znajdowała się w mieszkaniu tylko owa dziwna, piękna kobieta, która stała wciąż przy kominie z rękami opuszczo-

nemi, na pół oświetlona purpurowem światłem ogniska i szarym blaskiem budzącego się dnia.

— Co to za kobieta? — spytałem szeptem Sylwestra.

Ruszył ramionami na znak, że nie wie, ale moje pytanie usłyszała ona sama i opuszczając owym ruchem cichym, miękkim i zręcznym swe stanowisko przy kominie, zbliżyła się do mnie i cała oblana palącym rumieńcem, rzekła:

— Ja jestem żoną Huana i niech pan będzie spokojny... dobrą Hiszpanką.

Tyle było godności w tych słowach, wypowiedzianych najsłodszym, jaki mógł być głosem, tyle powagi w postaci kobiety, że zerwałem się na równe nogi i kłaniając się, rzekłem:

— Przepraszam panią... nie wiedziałem... ale pani rozumie, w mojem położeniu należy być ostrożnym, nadzwyczaj ostrożnym...

Mówiłem to wpatrując się w stojącą przedemną kobietę, coraz bardziej zdziwiony, jakim sposobem ta piękna, zręczna, zdradzająca językiem i obejściem należenie do wyższych sfer, kobieta, może być żoną takiego prostego szwarcownika, jakim był Huan. Stała ona wciąż i swemi ognistemi, pełnemi niezgłębionego smutku oczami, patrzała na mnie i mego dawnego przyjaciela. Zapanowało między nami kłopotliwe milczenie; ja szukałem rozwiązania zagadki wcielonej w tę śliczną postać, ona... nie wiem o czem myślała, bo przenosiła co chwila wzrok ze mnie na Sylwestra i z Sylwestra na mnie. Wreszcie otworzyła ona swe różowe usta i wskazując wzrokiem na mego towarzysza, tonem surowym, wręcz przeciwnym temu, jakim do mnie przemawiała, rzekła:

— Ten pan nie nazywa się Sylwester.

— Jakto! nie nazywa się Sylwester — zawołałem zdziwiony — jakże się więc nazywa?

— Wiktor! — odrzekła.

Spojrzałem na mego dawnego kolegę. Siedział spokojnie, otulony w płaszcz szeroki, w wielkim, bandyckim kapeluszu, naciśniętym na oczy, błyszczące w cieniu jak dwa płomienie.

— Nic nie rozumiem! — rzekłem.

— A cóż tu rozumieć! — zawołał z wyraźną niechęcią w głosie Sylwester — czyż nie wiesz o tem, że w akcyi jak nasza, trzeba często zmieniać nazwiska? Wiktor, to mój obecny pseudonim, tak jak nim w swoim czasie było imię Sylwester, jak dawniej przezywano mnie Okularnikiem, gdym nosił okulary, jak jeszcze dawniej Czarnym... Co tu rozumieć!

Miał zupełną racyę. W spisku takim jak nasz, dla uniknienia, a co ważniejsza zmylenia poszukiwań policyi rządowej, trzeba było często zmieniać nazwiska. Było takich wielu, o których nikt nie wiedział, jak się właściwie nazywają. Do ich rzędu należał właśnie Sylwester, który skończywszy swą odpowiedź, wsparł głowę na dłoniach obu rąk i w jakieś smutne pogrążył się dumania.

— Więc teraz nazywasz się Wiktor? — zapytałem.

— Tak! — odrzekł, nie podnosząc głowy.

Zrazu ten nowy pseudonim nic mi nie przypominał, wydał mi się tak dobrym, jak Sylwester, jak Okularnik i tysiące innych; znałem przytem mego towarzysza z dawnych lat, miałem wielki szacunek dla jego inteligencyi, odwagi i patryotyzmu, wiedziałem o jego wysokiem stanowisku w juncie narodowej i w ogólności nie miałem żadnego podejrzenia. Przytem w tej chwili wszedł do izby Huan i zwracając się do swej żony, rzekł głosem szorstkim i rozkazującym:

— Idź, przejrzyj wiklinę!

Milcząc zawróciła się, podeszła do ławy pod piecem, gdzie leżała duża chustka, wzięła ją, z wdziękiem zadziała na głowę, zręcznie ujęła w rękę fałdy swej czarnej sukni, ukazując maleńkie nóżki, rzuciła przelotnem spojrzeniem na mnie i Sylwestra i wyszła.

Huan ścigał ją swym złośliwym i podejrzliwym wzrokiem, a gdy nakoniec drzwi za sobą zamknęła, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Może pan porucznik napije się przepalanki? Mam dobrą, szwarcowaną.

Byłem oburzony na tego człowieka, za jego szorstkie obejście się z żoną, godną zaiste lepszego losu, i nie odpowiadając na jego propozycyę, zapytałem:

— Dlaczego wysyłasz żonę? dlaczego sam nie idziesz?

Łysnął ślepiami i odparł mrukliwie:

— Dlatego, że ona rzecz tę lepiej i bezpieczniej zrobi odemnie.

Powiedziawszy to, zawrócił i znikł w ciemnym kącie izby. Miałem szczerą ochotę zwołać moich ludzi i kazać związać tego człowieka, bo budził we mnie podejrzenia, ale przypomniałem sobie zalecenia pułkownika i umilkłem. Ale jednocześnie przypomniał mi się rozkaz pułkownika, ażebym człowieka, noszącego nazwisko Wiktora, jeżeli go spotkam, ukarał śmiercią, jako szpiega. Rysopis, jaki mi dał pułkownik, zgadzał się zupełnie z postacią Sylwestra, który także nosił pseudonim Wiktora, przyznał się do tego i siedział teraz ciągle w tej samej zamyślonej postawie, jak przedtem, obojętnej i jakby nie słyszący sceny, która się przed chwilą w izbie rozegrała. Przyznaję się, że mnie dreszcz przeszedł na myśl, że Sylwester może być szpiegiem. Zwróciłem się do niego i zapytałem:

— Więc ty nazywasz się teraz Wiktor?

— Tak! — odparł, nie zmieniając postawy.

— I znasz jenerała Casobi osobiście?

— Znam.

— A wiesz ty o tem — zawołałem — że ja cię muszę aresztować?

Podniósł powoli głowę i wpatrzył się we mnie swym palącym wzrokiem i spytał chłodno:

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam wyraźny rozkaz aresztować szpiega noszącego miano Wiktora, i nietylko aresztować, ale powiesić.

— Ha! — rzekł — cóż? wieszaj!

Jego spokój, zimna krew, obojętność z jaką wyrzekł te słowa, zrobiły na mnie silne wrażenie. Wszak znałem tego

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA W Kielcach

człowieka dotąd z jak najlepszej strony, jako najgorliwszego, najinteligentniejszego i najodważniejszego spiskowca, a jednak wszystko przemawiało za tem, że on jest tym niebezpiecznym szpiegiem, którego wysłano ze stolicy, by dopomógł do schwytania przeprawiającego się generała Casobi. Cóż miałem robić? jak sobie postąpić? Lękałem się strasznej pomyłki, pragnąłem, by się Sylwester-Wiktor wytłumaczył, usprawiedliwił, więc rzekłem:

— Bój się Boga! więc przyznajesz się, że jesteś szpiegiem rządowym? tym samym, którego mi kazano powiesić!

— Tak, przyznaję się!

— I chciałeś oddać generała w ręce naszych wrogów?

— Nie! tego nie przyznaję — przeciwnie, chcę ocalić go, dopomódz mu do szczęśliwego przedostania się do kraju.

— A jednak wszystko przemawia przeciw tobie.

— Masz zupełną słuszność.

Dotąd siedział, teraz powstał i rzekł:

— Czegoż czekasz? Każ mnie powiesić! Masz przecie wyraźny na to rozkaz.

— Niewątpliwie tak zrobię! — zawołałem zdumiony tym nadzwyczajnym spokojem Sylwestra czyli Wiktora; mimowoli czując szacunek dla jego niepospolitej odwagi.

— A więc kończmy prędko! — dodał z lekkiem, ledwie dostrzegalnem westchnieniem. Oczy jego, te przenikliwe, płomieniste oczy czarne, gdzieś zapatrzyły się w dal, jakby ścigały jakiś przedmiot, jakieś widmo przeszłości. Co do mnie, zdumiony jego spokojem, prawie fatalistycznem zachowaniem się, rzekłem:

— Tak, musimy to skończyć, ale wprzódy obowiązkiem moim jest wybadać pana. Wskazówki, jakie dasz, mogą być dla nas i dla sprawy pożyteczne. Nie ruszaj się pan! — zawołałem groźnie, widząc, że postąpił parę kroków — bo ci w łeb wypalę!

Zatrzymał się, wyprostował dumnie, roztworzył płaszcz i ukazał wiszący mu u pasa rewolwer.

— Czy myślisz — rzekł — że mi idzie o życie? Z radością powitam jego koniec... Gdybym się chciał bronić, dawnobyś już nieżył, albo leżał skrępowany u mych stóp. Dosyćby mi było gwizdnąć, strzelić, by nadbiegła tutaj straż, lub cały pluton żandarmeryi. Ale tego nie uczynię, oddaję ci się, wieszaj mnie, zabijaj, wszystko mi jedno...

Usiadł znów przy stole i oparł głowę na obu rękach. Z nieokreślonem uczuciem smutku i mimowolnej czci dla tej tęgiej natury, zbliżyłem się do niego i rzekłem:

— Sylwestrze, wytłumacz się, usprawiedliw się! Wszak widzisz, jak mi ciężko na sercu, na myśl, że będę musiał cię powiesić. Czyż nie wzdragasz się na śmierć tak hańbiącą?

— Niema śmierci hańbiącej — odrzekł ponuro — śmierć jest zawsze pełną majestatu. A zresztą, wszystko jedno, jak umrzeć, byle raz umrzeć.

— Powiedzże mi przynajmniej, czy w rzeczywistości jesteś szpiegiem?

— Tak, jestem szpiegiem, prawą ręką naczelnika policyi Voperta. Słyszałeś przecie o nim.

— I masz tu swych ludzi ze sobą?

— Mam. Ale bądź spokojny, nie ruszą cię oni, bez dania im znaku, a ja im tego znaku nie dam.

— Więc chcesz umrzeć z wieczną plamą zdrajcy na swem imieniu?

Milczał przez chwilę, podniósł głowę i znów wzrokiem ścigał nieuchwytne jakieś mary, wreszcie rzekł głosem stłumionym.

— Cóż to znaczy? Ta, dla której pragnąłbym zachować czyste imię, nie żyje... cóż mi więc na tem zależeć może, co o mnie będą mówili? Tak, poruczniku Valery, chcę umrzeć i... o jedno cię tylko proszę, pospiesz się!...

— Ha! niech się więc tak stanie.

Postąpiłem parę kroków ku drzwiom, by zawołać Michałka i wysłać go po moich ludzi, gdy rozległy się kroki i w otwartych drzwiach ukazał się wachmistrz Burczymucha.

Wszedł, spojrzał po izbie i spostrzegłszy mnie, przyłożył po wojskowemu rękę do swego chłopskiego kapelusza i rzekł:

— Panie poruczniku, wszyscy nasi rekruci, mopanku, są już w wiklinie.

— To dobrze, sprowadź mi tu zaraz czterech ludzi i niech przygotują stryczek.

— Hm... mopanku... czy ma kto jechać tam?

Tu zrobił koło szyi znak, jak gdyby kogo wieszano i ręką wskazał ku niebu i stał z miną pytającą:

— Od jakiegoż czasu, wachmistrzu — zawołałem gniewnie, bom był mocno podrażniony sceną z Sylwestrem — ośmielasz się żądać odemnie tłumaczeń? Czy słyszałeś com rozkazał?

— Słyszałem i będzie wedle rozkazania pana porucznika.

To rzekłszy, raźnie zrobił na lewo w tył zwrot i wyszedł z izby.

Przez całą tę rozmowę Sylwester czyli Wiktor siedział nieruchomy, z głową ukrytą w dłoniach, ze swym wielkim kapeluszem, naciśniętym na oczy. Gdy wachmistrz wyszedł, skazaniec podniósł się nagle, rozpiął płaszcz, sięgnął do kieszeni i wyjmując z niej całą paczkę banknotów, szepnął głosem stłumionym:

— Nim umrę, chcę cię prosić, poruczniku, o jedną przysługę. Tu, w tej paczce, jest dwa tysiące realów. Weź te pieniądze i jeżeli kiedy powrócisz do stolicy, proszę cię, kupuj za nie pierwszego dnia każdego miesiąca wiązankę fiołków, w zimie będziesz musiał je z daleka sprowadzać, i kładź ją na grobie, na cmentarzu, w kwaterze czternastej... Na grobie tym stoi kamienny posąg anioła i napis: »Tu leży Aniela«, nic więcej. Znajdziesz go łatwo... Czy zrobisz mi tę przysługę, tę ostatnią przysługę?...

Stał przy mnie i patrzał mi w twarz swemi przenikliwemi oczami z niemym, rozpaczliwym wyrazem prośby gorącej. Żal serdeczny mi było tego człowieka, ale pieniędzy przyjąć nie mogłem i misyi tej podjąć się także nie mogłem.

— Wiesz dobrze — odrzekłem — że życie moje każdej chwili jest narażone na śmierć; mogę do stolicy nie wrócić nigdy i prośby twej nie spełnić. Nie! pieniędzy tych nie wezmę. Jeżeli żyć będę i jeżeli kiedy zobaczę jeszcze nasze ukochane miasto, chętnie spełniać będę twe życzenie, ale pieniędzy nie wezmę.

Pomyślał chwilkę i rzekł smutno:

— Tak, masz racyę, ale w każdym razie przeżyjesz mnie i dlatego błagam cię, weź te pieniądze. Nie wrócisz do stolicy, to postaraj się przesłać je tam, do generała Voperta, z wyłuszczeniem mej prośby. Vopert jest człowiek dziki, ma formy szorstkie i gwałtowne, ale przekonany jestem, że prośbie mej zadość uczyni. Weź więc pieniądze. Błagam cię, nie odmawiaj mi! Gdy będę wiedział, że to zrobisz, lżej mi będzie umierać. Ona... tak lubiła fiołki!... — dodał szeptem, jakby do siebie i znów twarz zakrył rękami.

Cóż miałem zrobić? czy mogłem mu odmówić? czyż mogłem nie spełnić prośby człowieka umierającego, prośby wypowiedzianej tak błagalnie i tak gorąco? Wziąłem więc pieniądze i przyrzekłem, że jeżeli wyjdę cało z obecnej imprezy, w pierwszem lepszem miasteczku odeślę je do naczelnika policyi Voperta, z wyszczególnieniem celu, na jaki przeznaczył je Sylwester, czyli Wiktor.

Wśród tego drzwi się otworzyły i wszedł wachmistrz Burczymucha na czele czterech moich ludzi, z których jeden trzymał w ręku gruby, konopny stryczek.

## V.

Scena poczynała być straszną, najstraszniejszą może ze wszystkich obecnych, dla mnie. Nigdy jej nie zapomnę i dziś mi się jeszcze po nocach śni ta ponura izba, słabo oświetlona dogasającem ogniskiem na kominie i nikłymi blaskami budzącego się dnia, który przezierał przez wązkie i zakurzone okienko. W tych blaskach nieruchomy i spokojny stał Syl-

wester, błądząc gdzieś oczami w dali, szepcząc zapewne modlitwę ostatnią. Przy drzwiach czerniało niby posągi czterech żołnierzy i wachmistrz Burczymucha, który wskazując palcem na Sylwestra, pytał:

— Czy to ten?

Nie mogłem odpowiedzieć, żaden wyraz nie chciał mi się przedostać przez usta; byłem jakby skamieniały. A tymczasem Sylwester, widząc, że nie daję znaku życia, zwrócił się do mnie i rzekł głosem łagodnym i spokojnym:

— Na co czekamy? Przyrzekłeś mi, poruczniku, że tę sprawę prędko zakończymy. Jam gotów!

Czułem to doskonale, że okrucieństwem było przedłużanie tej sceny i miałem już wydać rozkaz, gdy nagle zewnątrz rozległy się szybkie kroki, drzwi gwałtownie roztworzyły się i do izby wpadł zadyszany Michałek, wołając głosem przerażonym:

— Karabinierzy!

I ledwie to wyrzekł, gdy tuż przed domkiem zatętniały kopyta koni i zadźwięczały szable i nim mogłem oprzytomnieć, do izby wszedł oficer karabinierów; stanął i patrzał zdziwiony na nas wszystkich.

Za nim, przez otwarte drzwi, widać było błyszczące hełmy kilku jego podwładnych, którzy zatrzymali się w sieni. Oczywista rzecz, że miałem się za zgubionego, a co ważniejsza, obudziło się we mnie podejrzenie, że spokój i męstwo okazywane dotąd przez szpiega Sylwestra, było udanem, że jakimś sposobem niezauważonym przezemnie, dał znać karabinierom, albo wiedział doskonale, że oni w ostatecznej chwili przybędą mu na pmoc. Ogarnął mnie szalony gniew i nieznacznie wydobyłem rewolwer, gotując się do wypalenia w łeb szpiegowi, oficerowi karabinierów i nakoniec sobie.

Tymczasem oficer postąpił parę kroków naprzód, dzwoniąc ostrogami i szablą, i obrzucając nas podejrzliwym wzrokiem, zapytał:

— Co to za zebranie? Kto jesteście?

Ale w tejże chwili, na moje wielkie zdziwienie, Sylwester wysunął się naprzód, zdjął kapelusz i kłaniając się, rzekł swym zwykłym, spokojnym tonem:

— Dzień dobry panu kapitanowi.

Oficer szybko zwrócił się do mówiącego i zawołał:

— A! pan Wiktor! a pan tu co robisz?

— Jak pan widzisz, odpoczywam, czekając na chwilę działania

— A co to za ludzie?

— To są moi ludzie z policyi.

— Skądże ich pan tu wziąłeś?

— Skądżeby, ze stolicy.

— Jakto? przywiozłeś ich pan ze sobą?

— Nie! oni sami przyjechali, oczywiście na moje żądanie.

— Nie wiedziałem o tem i szczerze mówiąc nie rozumiem, co oni tu mają robić.

— Wybacz, kapitanie, ale to ani moja, ani pańska rzecz, tylko generała Voperta. Racz jego o to zapytać.

Kapitan skrzywił się mocno i oglądając nas wszystkich podejrzliwie, spytał:

— Czy tylko pięciu masz pan ze sobą?

— O, nie! znacznie więcej, ale oni są rozprószeni po wiklinie nad rzeką.

— A dlaczegoż ci, tam się nie znajdują? — to rzekłszy, wskazał nas ręką.

— To są starsi, zeszli się tu, by wysłuchać mojej instrukcyi.

Kapitan mruknął coś pod nosem i nie przestawał oglądać nas bacznie i podejrzliwie.

— I to pan — zapytał wreszcie — tak ich przebrałeś po chłopsku?

— Ja... dla niezwracania niczyjej uwagi.

— Hm, hm! zdaniem mojem, należało mnie przecież o tem zawiadomić, bo mogłem pańskich ludzi wyłapać co do jednego.

— Nie miałem na to czasu. Przybyłem ledwie przed paru godzinami i nie wiedziałem, gdzie pana szukać. Zresztą wiadomo panu było o mojem przybyciu.

— Wiedziałem w istocie o tem, ale nic mi nie mówiono, że pan nie sam tu przybędziesz.

— Wybacz, kapitanie — dodał tonem żartobliwym Sylwester — ale my w policyi nie bardzo dowierzamy przebiegłości... powiedziałbym, niech się pan tem nie obraża, inteligencyi żołnierzy. Dobrzy jesteście do rąbania pałaszami, ale nie do tak delikatnej misyi jak obecna.

— To jest pańskie zdanie i mogłeś je pan dla siebie zachować — rzekł kapitan tonem na pół gniewnym, na pół pogardliwym.

— Przepraszam pana, to nie jest moje, ale generała Voperta zdanie. Wygłosił je do mnie przed samym moim i moich ludzi wyjazdem.

Kapitan nic na to nie odrzekł, ale wpatrując się ciągle w nas, odezwał się po chwili milczenia:

— Bądź co bądź, ponieważ ja nie wiem drogą oficyalną, że pan wziąłeś ze sobą swych ludzi, ja tych wszystkich ichmościów tymczasem przyaresztuję!

Usłyszawszy te słowa, Sylwester wyprostował się, podszedł do kapitana i rzekł surowo:

— Strzeż się pan, to pachnie sądem polowym i kulą. Możesz pan całą wyprawę zepsuć, ale ja na to nie pozwolę. Ja tu mam rozkazy generała Voperta. Ja nie mogę pozwolić, by fantazya żołnierska psuła najlepiej obmyślane kombinacye i szkodziła interesom państwa. Ostrzegam pana, że nie dam nikogo aresztować, że każę się moim ludziom bronić!...

Słowa te, wyrzeczone głosem stłumionym, tak że moi i nieprzyjacielscy żołnierze nieco oddaleni, skupieni koło drzwi i ścian, nie mogli ich słyszeć, ale ja stojąc blisko obu rozmawiających, słyszałem je doskonale, zrobiły wrażenie na kapitanie. Widać było wyraźnie, jak w jego twarzy i postawie walczył gniew gwałtowny hamowany chłodnym rozsądkiem

i nie wiem, jak i na czemby się ta walka była skończyła, gdyby nagle w sieni nie powstał niespodziewanie hałas jakiś. Żołnierze stojący przy drzwiach rozstąpili się i do izby wszedł porucznik karabinierów, a za nim dwóch szeregowców, prowadzących śliczną żonę Huana. Stała ona w chustce zarzuconej z wdziękiem na swe złociste włosy, które teraz przy jasnym dniu, bo nakoniec podczas tych wszystkich scen zrobił się dzień jasny, wyglądały koło jej bladej, ale poważnej i spokojnej twarzy, jak aureola świetlana. Ręce miała jak zwykle opuszczone na dół i swemi wielkiemi rozmarzonemi oczami błądziła długo po zebranych, aż zatrzymała je na Sylwestrze i odtąd nie spuszczała ich z niego ani na chwilę. Twarz jej wyrażała niczem niezakłócony spokój, powagę i mistyczne jakieś rozmarzenie.

— Panie kapitanie — rzekł porucznik, salutując po wojskowemu, tę kobietę schwytaliśmy w chwili, gdy stojąc nad rzeką, dawała chustką jakieś znaki kilku ludziom, będącym z drugiej strony i wyglądającym na powstańców.

Kapitan jeszcze rozdrażniony mocno rozmową z Wiktorem, żwawo zwrócił się do milczącej i wciąż zachowującej swą chłodną powagę kobiety i zapytał szorstko:

— Coś ty za jedna?

Kobieta podniosła teraz na niego swe wielkie, czarne oczy z taką jakąś dumą, że kapitan odrazu zmiękł i starając się jak najusilniej złagodzić głos, w którym drżała jeszcze nuta gniewu, zawołał:

— Przepraszam, nie wiedziałem, ale kto pani jesteś?

— Jestem żoną Huana.

— Jakiego Huana?

— Właściciela tej chaty.

— A gdzie on jest?

Huan, o którym wszyscy zapomnieli i który przez ciąg tylu dramatycznych scen, jakie się w jego chacie rozgrywały, gdzieś się ukrył i znaku życia nie dawał, wystąpił teraz na środek i kłaniając się pokornie kapitanowi, rzekł:

— Jestem, nikiej się nie podziałem. Co miałem się podziewać? ja ta zawdy jestem na jasności dziennej. A to, proszę pana pułkownika jest moja żona... sprawiedliwie mówię... Teresa, tu wszyscy o tem wiedzą. Ona jeno tak wyszła nad rzekę, nie na żadne przeszpiegi.

Ten potok słów, wypowiedzianych dygoczącym od strachu głosem, w postawie pokornej, przy łyskaniu złemi i podejrzliwemi ślipiami, w których teraz malował się wyraz śmiertelnej trwogi, kapitan przerwał szorstko i gwałtownie:

— Milczeć! jak ciebie się zapytają, będziesz wtedy odpowiadał — teraz milczeć!

Huan spojrzał na kapitana, postąpił parę kroków w tył i przełykając głośno ślinę, rzekł:

— Dobrze... będę milczał... już nic nie powiem.

Kapitan zwrócił się znów do pani Teresy, która przez ten czas nie zmieniła w niczem swej postawy spokojnej i pełnej godności.

— Więc pani jesteś żoną tego człowieka? — spytał.

— Tak.

— Takiego durnia?... on ma jak najgorszą sławę; trudni się szwarcownictwem... ale mniejsza z tem, przekonamy się, czy to prawda. A tymczasem powiedz pani, coś robiła nad rzeką, jakie znaki dawałaś i komu?

— Nie dawałam nikomu żadnych znaków!

— Przecież schwytano panią, gdyś to robiła.

Umilkła i z tą zauważoną już raz przezemnie mistyczną zadumą w oczach, spojrzała przed siebie.

W tejże chwili Sylwester-Wiktor wysunął się z poza stołu, za który się schronił po burzliwej rozmowie z kapitanem karabinierów i kłaniając mu się, rzekł swym zwykłym i spokojnym tonem:

— Pozwól, kapitanie, ja wybadam tę panią.

I zniżając głos, dodał po francusku:

— Moja wprawa w tym względzie zmusi ją powoli i łagodnie do przyznania się.

— O! nic z tego, mój panie — odrzekł kapitan — moi ludzie tę kobietę schwytali i ona do mnie należy. Jeżeli tu, zaraz, nie wyśpiewa wszystkiego, ta ją odeślę do Pots-ycina, a stamtąd do stolicy i niech sobie tam z nią robią co chcą. A pana proszę, nie mieszaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą.

Sylwester-Wiktor nic na to nie odrzekł, tylko usiadł przy stole, nacisnął kapelusz na oczy i wydobywszy z kieszeni swego szerokiego płaszcza notatnik, począł w nim coś pisać ołówkiem. Tymczasem kapitan pytał dalej kobiety:

— Powiedz pani, coś robiła nad rzeką?

— Nic... patrzałam...

— Komu dawałaś znaki?

— Nikomu.

— To jest kłamstwo. Przecież schwytano cię na gorącym uczynku.

Milczała, tylko wzrok jej ścigał ruchy ołówka Wiktora-Sylwestra.

— Radzę pani przyznać się do wszystkiego — zawołał kapitan, widocznie mocno podrażniony niespodziewanym uporem Teresy — mamy sposoby rozwiązywania języków. No! powiesz pani, komu dawałaś znaki nad rzeką?

— Nie powiem!

— Ach, to tak! — syknął kapitan — mógłbym panią tu zaraz oćwiczyć rózgami i zmusić do powiedzenia wszystkiego... Ale nie chcę uciekać się do tej ostateczności. Odeślę panią do miasta, tam potrafią cię zmusić do przyznania się.

To rzekłszy, zwrócił się do porucznika i rozkazywał:

— Oddaję ją panu pod straż. Wystarasz się o wózek i w towarzystwie dwóch szeregowców odwieziesz ją do Pots-ycina!

Porucznik ciągle spokojną i milczącą Teresę wyprowadził natychmiast. Wyszła, otulając się chustką z właściwym sobie miękkim, szykownym ruchem i znikła... Miałem szczerą ochotę palnąć w łeb kapitanowi z rewolweru, którego nie

przestawałem ściskać pod sukmaną, tym sposobem dać hasło mym ludziom i całą tę bandę zbirów wyciąć do nogi. Ale rozum mi tłumaczył, że najprzód naraziłbym takim szalonym krokiem misyę, którą mi powierzono, na stanowczą klęskę, a moich dzielnych zuchów na niechybną śmierć. Stałem więc w milczeniu, jako niemy widz rozgrywającego się przedemną dramatu.

Tymczasem kapitan rozkazywał:

— Wziąć mi także mniemanego męża tej damy... ale co to jest? trzymaj! łapaj!

Krzyk ten i rozkazy wywołane były przez niespodziewane postąpienie Huana. Pochyliwszy głowę, jak byk, gdy ma uderzyć na nieprzyjaciela, rzucił się naprzód ku drzwiom, potężnem uderzeniem tej głowy i pięści przewrócił dwóch czy trzech żołnierzy w sieni i wypadł na podwórze, a stamtąd rzucił się w wiklinę i... przepadł. Puszczono się za nim w pościg, a kapitan wołał:

— Schwytać go do stu tysięcy par dyabłów! Żywcem mi go schwytać. A niech was, kpy jakieś, czart zabierze! Żywo! goń! pędź!

Sam wypadł na dziedziniec i słychać było jego donośne rozkazy i przekleństwa, ale po chwili uspokoił się, wrócił, stanął we drzwiach i rzekł do Sylwestra-Wiktora:

— To pan wszystkiemu winien. Odpowiesz za to przed zwierzchnością.

Sylwester skłonił się i rzekł z lekkiem szyderstwem w głosie:

— Dobrze, kapitanie, choć sądzę, że będzie przeciwnie!

Kapitan rozzłoszczony popatrzał na niego przez chwilę strasznym wzrokiem, mruknął jakieś niezrozumiałe przekleństwo pod nosem i wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi gwałtownie. Wkrótce znikł nam z oczów z całym swym oddziałem. Zostaliśmy sami.

## VI.

W izbie oprócz mnie, Sylwestra czyli Wiktora, wachmistrza Burczymuchy i czterech żołnierzy przezeń przyprowadzonych, nikogo więcej nie było. Po niedawnych hałaśliwych i burzliwych scenach, zapanowała teraz martwa cisza. Przez okienko chaty przedostał się jakiś zabłąkany, blady promień wschodzącego słońca i kładł się na bandyckim kapeluszu Sylwestra, jak plama jakaś srebrzysta. Wszyscy milczeliśmy, rozpamiętywując straszne niebezpieczeństwo, jakie nam przed chwilą groziło. Była wśród nas taka cisza, że jakaś zapóźniona, jesienna mucha, zbudzona zapewne ze snu owym promieniem bladego słońca, latała po izbie i ja słyszałem jej brzęczenie.

Nakoniec Sylwester zwrócił się do mnie i rzekł:

— No i cóż? na cóż czekamy? czy powiesisz mnie lub nie?

Rzuciłem mu się w ramiona i począłem go błagać o przebaczenie.

— Daruj — mówiłem — ale tu nikt, tylko ty sam jesteś winien. Po co pozwalasz rzucać na siebie podejrzenia? Byłbym popełnił nietylko zbrodnię, ale gruby błąd polityczny, z twej własnej winy. Przebacz mi i przyjmij moje podziękowanie, żeś nam życie i wolność ocalił.

— Nie masz mi za co dziękować, poruczniku, wcale nie masz za co. Spełniłem tylko mój obowiązek. Na toż wreszcie służę mym wrogom i za szpiega uchodzę, bym swoim mógł w razie potrzeby podać rękę pomocną.

W tej chwili wysunął się naprzód wachmistrz i zakręcając wąsa z widocznem wahaniem, rzekł:

— Mopanku, panie poruczniku... do krocset, jest to przeciw regulaminowi, że ja tu gadam... ale to wedle tego... chciałem mopanku rzec, z przeproszeniem, cywilus dobrze się zasłużył ojczyźnie, jak gadał pułkownik ułanów, w którym ja, Ignacy, Burczymuchą zwan, służyłem. Więc tedy mopanku...

panie poruczniku... ja i moi rekruci chcąc powiesić tego tu oto człowieka, o mało nie zrobiliśmy grubego, z przeproszeniem, świństwa...

— Dobrze już, dobrze — odrzekłem — weź twoich ludzi i idźcie w wiklinę, a chociaż jesteśmy teraz do pewnego stopnia bezpieczni, wszelako miejcie się na baczności.

Wachmistrz skłonił się po wojskowemu, spojrzał strasznym wzrokiem na żołnierzy i zakomenderował:

— Rotami od prawego za mną marsz!

Teraz, gdyśmy ze Sylwestrem zostali sami, zwróciłem się do niego z zapytaniem:

— Powiedz mi, jak się to stało, że ty jesteś prawą ręką tego łotra nad łotrami Voperta?

Sylwester, który podczas rozmowy Burczymuchy usiadł był sobie i przybrawszy swą zwykłą pozę, zagłębił się w myśli, na moje pytanie, zerwał się na równe nogi i chodząc niespokojnie i nerwowo po izbie, mówił:

— Tak trzeba było zrobić. Na jednem z posiedzeń junty narodowej, jeszcze w kwietniu, przed ostatnim na nią zamachem organizacyi powstańczej, podniesiono myśl, ażeby posiadać kogoś w łonie rządu nieprzyjacielskiego, kogoś coby tam zajmował dość wysokie stanowisko, by mógł o wszystkiem wiedzieć i juncie o tem donosić. Na ten heroiczny krok, bo przyznasz, że to jest heroizm, ja się zdobyłem...

— Niewątpliwie jest to krok heroiczny! — odpowiedziałem — ale jakimże sposobem potrafiłeś się wkraść w łaski Voperta?

— Właściwie nie wkradałem się w jego łaski; stałem mu się tylko potrzebnym, co znaczy daleko więcej. Postępowanie moje było bardzo prostem. Poszedłem do niego, powiedziałem mu kim jestem, obiecałem wydać skład cały junty i zrobiłem to.

— Jakto, wydałeś ich?

— Tak, ale tylko tych, którzy po zamachu z kraju uciekli. Współcześnie dla zyskania zaufania u wrogów, wyjedna-

łem u junty, że mnie skazała na śmierć. Jestem skazany, a ponieważ nie wszyscy wiedzą, co się pod tem kryje, wcześniej czy później, wpadnę w ręce jakiego nowego porucznika Valery i zginę... Takiem jest moje przeznaczenie.

Chodził ciągle z głową spuszczoną, a wyrzekłszy ostatnie słowa, zatrzymał się przedemną i rzekł:

— Ale o tem wszystkiem niema co gadać. Mówmy lepiej o tem, pocośmy tu obadwaj przybyli: o generale Casobi. Tam, w stolicy, doskonale wiedzą, że ma on przybyć, tylko daty dokładnej nie mają, ale otrzymali, nie wiem skąd wiadomość, że w tych dniach i w tych okolicach przeprawa ma nastąpić. W tym celu, dla większej spójności w działaniu, wysłano tego kpa, kapitana karabinierów. Zna on mnie i oddawna krzywo na mnie patrzy, bo w pewnej sprawie, o której nie pora tu rozpowiadać, wystrychnąłem go na dudka. Co do mnie, potrafiłem przekonać Voperta, że żołnierze do takiej misyi jak ta, nie są bardzo zdatni i wyjednałem, że mnie tu przysłał, ale mnie jednego. To co mówiłem o moich ludziach, jest pobożnem kłamstwem dla ocalenia ciebie i twoich.

— Serdecznie ci za to dziękuję!

— Niema za co. Przecież na to wziąłem na siebie skórę lisa, by moich ocalać; na to ryzykuję co dzień, co godzina moją głowę, bo honor już dawno zaryzykowałem. Otóż wracając do rzeczy, jakkolwiek w tej chwili jesteś z twoim plutonem bezpieczny, za parę godzin sytuacya może się zmienić. Mówmy więc o tem najprzód.

— Nie rozumiem wcale, w czem tu sytuacya zmienić się może?

— W tem, że prawie pewny jestem, iż kapitan karabinierów nie uwierzył memu kłamstwu... ma podejrzenia i dlatego chciał was aresztować. Moje ostre wystąpienie przestraszyło go nieco, ale podejrzeń z jego duszy nie wypleniło. Ręczę za to, że wsadził na koń żołnierza i kazał mu popędzić do Potsnic z rozkazem zatelegrafowania do Voperta z zapytaniem, czy ja istotnie przez niego zostałem wysłany i czy

mi dodano policyantów. Jestem tego pewny, że tak zrobił, bo ja znam dobrze moich Pappenheimerów.

Przypuszczenie Sylwestra wydało mi się bardzo prawdopodobne, a tem samem sytuacya moja stawała się nadzwyczaj niebezpieczną, najniebezpieczniejszą jaka mogła być z tego względu, że kapitan wiedział teraz o nas. Sylwester tymczasem mówił dalej:

— Cóż mu na ten telegram Vopert odpowie? Odpowie, że istotnie mnie wysłał, przyczem surowe napomnienie da kapitanowi, że takie sprawy powierza zwyczajnemu telegramowi, bo trzeba ci wiedzieć, że kapitan naszego klucza nie zna, a jest na tyle niemądrym, że będzie pytał jasno i otwarcie. Dostanie więc napomnienie i to napomnienie ostre, bo Vopert również go nie lubi. Obok tego napomnienia jednak Vopert doniesie, że ja sam wyjechałem, albo co jest prawdopodobniejsze, zapyta ilu ja mam ludzi, i otrzymawszy na to odpowiedź, każe tych ludzi aresztować. Może jednak być inaczej; Vopert może odpowiedzieć, że mnie samego wysłał. Bądź co bądź, czy tak będzie, czy inaczej, kapitan w swem podejrzeniu się utwierdzi i będzie się starał schwytać ciebie i twych ludzi, do czego, rozdrażniony sceną ze mną i napomnieniem zwierzchnictwa, weźmie się z całą gorliwością. W każdym razie sytuacya jest bardzo groźna dla ciebie, poruczniku.

— I dla ciebie także!

— Nie... ja potrafię wytłumaczyć się i zresztą o mnie mniejsza. Czy dziś, czy jutro umrę, czyż to nie wszystko jedno? Jestem skazaniec i stryczek ciągle dotyka się mej szyi. Ale tu idzie o ciebie, o twych dzielnych zuchów, a nadewszystko o generała Casobi.

Zamyślił się i począł chodzić po izbie, i po krótkiem milczeniu, rzekł:

— Nie ulega wątpliwości, że przeprawa, tu... wprost tej chaty miała nastąpić. Przekonywa mnie o tem postępowanie tej kobiety... mniemanej żony przemytnika. Pocóż ona dawała znaki tamtym, za rzeką? Po to, żeby ich ostrzedz,

lub zawiadomić o czemś. Ale na nieszczęście aresztowano ją i w tej chwili nie dowiemy się o znaczeniu jej haseł. Tak! tak! sytuacya jest djablo głupia...

— Więc cóż robić? — zawołałem — trzeba coś radzić koniecznie. Jeżeli bowiem rzeczy tak się mają, jak ty mówisz, to...

— Oczywista, że się tak mają! — przerwał mi — i tu jest jedna tylko rada, mojem zdaniem...

— Jaka?

— Uwiadomić generała Casobi, by się nie przeprawiał w tem, lecz innem miejscu, albo żeby przeprawę odłożył na później...

— Na później! — zawołałem z gniewem — to być nie może. A cóż ja tu będę robił z moimi ludźmi? dokąd będę czekał? Taka rada, mój Sylwestrze...

Znów mi przerwał i kładąc mi rękę na ramieniu, wlepił we mnie swe wielkie, melancholijne, głębokie i rozumne oczy i rzekł tonem poważnym i surowym:

— Tu, w tej sprawie, wcale nie idzie o ciebie, ani też o twoich ludzi, ale o generała Casobi. Wiesz dobrze, jaką wagę junta narodowa przywiązuje do niego i wszyscy zresztę mamy to przekonanie, że on jeden, on tylko jeden potrafi ocalić upadającą sprawę. Idzie więc o to, żeby szczęśliwie, cało i zdrowo dostał się do kraju, o to idzie... a nie o ciebie i twoich ludzi...

Miał zupełną słuszność i umilkłem zawstydzony, on zaś rozpocząwszy znów swe przechadzki po izbie, ciągnął dalej:

— Z tem wszystkiem byłoby najlepiej, żeby i generała i trzydziestu kilku zuchów dla ojczyzny ocalić. Czy tak, czy owak, trzeba, żeby ktoś dostał się na brzeg przeciwny i generała o wszystkiem uwiadomił. Czy niemasz kogo w swym plutonie, któryby dobrze pływał, bo trzeba rzekę wpław przebyć, i miał odwagę narazić się na śmierć prawie niechybną...

— Tacy się znajdą — odparłem — ale sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby tego dokonał przemytnik Huan.

— Tak... to prawda... ale cóż, kiedy go niema!

— Wyjdźmy stąd — rzekłem — za długo tu siedzimy. Muszę zobaczyć moich ludzi, może oni co wiedzą o Huanie.

— Ha! chodźmy. Ale dam ci jeszcze jedną radę, poruczniku. Zbierz twoich ludzi i cichaczem, wikliną, pomaszeruj o trzy kilometry stąd, do miejscowości zwanej Wilczedoły. W rzeczy samej są tam doły, w których możesz się dobrze ze swym plutonem ukryć. Tu nie możesz pozostać. Za kilka godzin kapitan karabinierów będzie miał ze stolicy odpowiedź i może was wszystkich wyłapać, albo zmusić do stoczenia bezużytecznej i rozpaczliwej walki o życie. Tymczasem tam, w Wilczych dołach możesz być bezpieczny. Tam straże nawet rzadko zaglądają, bo rzeka w tem miejscu jest bardzo głęboka i przemytnicy nigdy tam nie probują przeprawy.

— Ale ja nie wiem, gdzie są te Wilcze doły! a przytem, jeżeli generał tu się przeprawi...

— Jeżeli nic się nie zmieni do nocy, to wieczorem wrócisz tutaj, ale teraz się ukryj, bo możesz zginąć i całą sprawę zaprzepaścić. Chodźmy, ja cię sam przeprowadzę do Wilczych dołów. Znam tę okolicę, jak własną kieszeń.

Opuściliśmy więc chałupę przemytnika, w której, w ciągu paru niespełna godzin, rozegrały się jedne z najdramatyczniejszych scen mego życia. Na dworze było wietrzno i chłodno. Słońce, duże, nieco zamglone, oświecało przedemną gęstwinę krzaków wszelkiego rodzaju, przeważnie jednak wikliny, po za którą, gdzieś w dali, widać było srebrzystą taflę rzeki. Wiatr znów się zerwał i szalał z przeciągłym jękiem i trzaskiem, wśród tego gąszczu. Nad nim unosiła się gromada wron i białe rybitwy gromadami.

## VII.

Z trudnością zdołaliśmy odszukać moich ludzi. Leżeli oni gromadkami po najnieprzystępniejszych miejscach krzaków i otuleni w swe świtki chłopskie, drzemali snem niespokoj-

nym i nerwowym, tak dobrze mi znanym w tej wojnie dziwnej i krwawej. Na szczęście natrafiliśmy na jednego z pierwszych na wachmistrza Burczymuchę i Karola Laskonogiego. Siedzieli pod starą wierzbą, na pół połamaną i na szelest naszych kroków zerwali się chwytając za rewolwery.

— Co słychać? — spytałem szeptem — bo wiatr wiejący od rzeki, mógł zanieść nasz głos tam, gdzie nie potrzeba.

— Jak dotąd, mopanku, panie poruczniku, nic — odrzekł wachmistrz — ale muszę powiedzieć, że tu miejsce nie jest zbyt bezpieczne. Karabinierzy kręcą się dokoła... Przytem ten zbój, co mu tak źle z oczów patrzy, Huan, powiada...

— Jakto? Huan jest tu? — zapytałem.

— A jest. Rekruci capnęli go jak smyrgał przez wiklinę i niewiedząc co on zacz, przytrzymali. Ja też, mopanku, prawdę rzekłszy, kazałem go mieć na oku, bo djabeł nie śpi...

— O! tak — szepnął Karol swym dyszkantem — nieszczęście jest jak miłość, przychodzi niespodzianie!

— Milczeć tam w szeregu! — syknął wachmistrz.

— Przyprowadź tu tego Huana! — rozkazałem.

— Za pozwoleniem, panie poruczniku — wtrącił Sylwester — możeby było dobrze wprzód dowiedzieć się od tych dzielnych zuchów co im Huan powiedział.

— A cóż, mopanku powiadał! co taki zbój i cywilus może mądrego powiedzieć? Gadał, że generał Casobi nie tutaj się przeprawi, ale na wprost jakichś tam... dyabli wiedzą, jak się nazywa... Nie pamiętasz rekrucie Karolu?

— Wilcze doły! — jęknął Karol, pocierając sobie swój długi nos, który pod wpływem chłodnego wiatru przybrał kolor zielonawy.

— Tak, tak... Wilcze doły. Psia nazwa, jakem wachmistrz pierwszego szwadronu drugiego pułku ułanów. Jak mi on to powiedział, tak ja mu rzeknę: zatracony cywilusie, a ty skąd o tem wiesz, mopanku? A stąd, pedz, że Teresa... zdaje się, że się tak nazywa ta dama, którą te hycle karabinierzy schwytali, wcale ładna kobietka, mówiąc między nami...

— Do rzeczy, wachmistrzu! — zawołałem surowo, bo najprzód ciekawy byłem dalszej relacyi, a potem drażnił mnie bezceremonialny sposób mówienia starego wygi-żołnierza, o tej ślicznej i dumnej kobiecie.

— Wedle rozkazania, panie poruczniku, wszystko się powie. Peda mi tedy ten skurczybut Huan, że Teresa, owa dama, spostrzegłszy że tu, w tej stronie, bardzo się kręcą karabinierzy, poszła nad rzekę i dała umówiony znak, że tu przeprawić się nie można, tylko tam, mopanku, w tych psich dołach... I właśnie wtedy tę dzielną damę te hycle karabinierzy złapali...

— A więc wszystko jest dobrze — szepnął Sylwester — teraz należy...

Przerwałem mu, bo wiedziałem już co robić należy. Rozkazałem więc:

— Karol sprowadzi mi tu zaraz Huana. Wachmistrz nieznacznie zgromadzi wszystkich ludzi i zapowie im, by się mieli do drogi. Ruszajcie!

— Zaraz się zrobi wedle rozkazania!

Obadwaj znikli i w kilka minut potem stanął przedemną Huan nadzwyczajnie zaniepokojony, dygocący ze strachu czy z zimna, oglądający się dokoła trwożliwie, łyskający swemi złemi ślepiami. Potwierdził on słowa wachmistrza i głosem drżącym zaklinał mnie, bym go puścić kazał, bo zapewniał, że lada chwila mogą tu spaść karabinierzy, złapią go i powieszą jak psa. O mnie, o moich zuchów, o panią Teresę wcale mu nie szło, tylko o siebie.

— Puścić cię nie mogę — rzekłem — jesteś mi potrzebny.

— Tak! — wtrącił Sylwester i biorąc mnie pod rękę odprowadził na stronę i szepnął po francusku:

— Niech Huan poprowadzi was do Wilczych dołów, ja tu zostanę i będę się starał wywiedzieć, co porabia kapitan karabinierów. Moja obecność tutaj jest konieczną. Idźcie i spieszcie się.

Zgodziłem się na to i zaraz pod przewodnictwem Huana wyruszyliśmy ku owym Wilczym dołom. Że nas przemytnik dobrze przeprowadzi, nie wątpiłem ani na chwilę; jego dbałość o własną skórę była najlepszą gwarancyą. To też wiódł nas wśród takiego gąszczu, po takich przepaścistych dziurach i grzązkiem błocie, t. zw. »madzie«, pozostałej po wylewach rzeki, że przybyliśmy do Wilczych dołów, co prawda przez nikogo niepostrzeżeni i cali, ale tak ubabrani, podrapani i brudni, że mimowoli śmiech brał patrząc na siebie wzajemnie.

— Niech ciebie, mopanku, kule biją — prawił wachmistrz — a toś nas ubrał psi synku. Wartoby ciebie wsadzić łbem na dół, mopanku, w tę twoją madę, żebyś miał równie czarną gębę, jak masz czarną duszę.

— Przebóg! — deklamował Karol Laskonogi — gdyby mnie w tym stroju i w tym brudzie zobaczyła najpiękniejsza z Hiszpanek, której me serce oddałem...

— Phi! — przerwał mu wachmistrz — nie plótłbyś głupstw rekrucie, twoja najpiękniejsza z Hiszpanek trochę zezem patrzy, toby jej się zdawało, że nie masz na sobie błota tylko karonki lub aksamit.

Huan słuchał tego wszystkiego w milczeniu, tylko od czasu do czasu zwracał się do mnie swym skradającym się, kocim ruchem i szeptał:

— Niech im pan porucznik każe, z przeproszeniem, stulić gęby; bo tutaj jest niebezpiecznie głośno gadać, a po wiklinie głos się rozchodzi nikiej po kościele.

Nakazałem więc surowo milczenie i dzięki przezorności Huana, przybyliśmy nakoniec szczęśliwie do Wilczych dołów.

Była to w rzeczy samej taka przepaścista dziura, tak dobrze ukryta i osłoniona, że można było sto razy koło niej przejść i nie wiedzieć o jej istnieniu. Brzeg w tem miejscu wznosił się wysoko, i w tej górze, bardzo stromo spadającej ku rzece, woda zrobiła głęboką wyrwę, tworząc rodzaj jaskini wilgotnej i błotnej, ale zewnątrz tak osłonionej wikliną i wierzbami, że kto jej nie znał, nie mógłby nawet przypu-

ścić, że tam jest dla przemytników i takich, jak my, straceńców, wyborne schronienie. Mówię wyborne, ale nie trzeba brać tego w dosłownem znaczeniu. Mogliśmy tu niewątpliwie dzień, dwa nawet, bezpiecznie przesiedzieć bez obawy spotkania się ze stroną nieprzyjacielską, ale żeby ten pobyt miał być przyjemny i miły, tego niepodobna powiedzieć. Grunt schroniska był grzązki, ową miękką madą przesiąknięty, czuć tu było wilgoć i zimno. Wprawdzie w głębi Huan wskazał mi wiązkę przegniłej słomy, widocznie przez szwarcowników tu rzuconą, na której od biedy mogłem się położyć, ale ludzie nie mieli nic i musieli na błocie mieścić się.

Z tem wszystkiem nie zważałem na to. Miejsce było względnie bezpieczne, a to w tej chwili było rzeczą najważniejszą. Obejrzałem dokładnie miejscowość. Od wejścia nikt nas nie mógł zaskoczyć, gdyż stromy brzeg przytykał tuż do samej rzeki, strażnicy patrolujący schodzić tu nie mogli i jeżeli to tylko górą, to jest nad nami. Rzeka w tem miejscu, wcisnięta między dwa górzyste brzegi, miała koryto znacznie zwężone, ale zato prąd bystrzejszy. Obejrzawszy to wszystko, skinąłem na Huana i gdy zbliżył się do mnie, spytałem:

— Więc w tem miejscu generał przeprawi się?

— Tak.

— A skądże ty wiesz o tem.

— Bo Teresa dała im... tam... na drugim brzegu, znak.

— I oni zrozumieli ten znak.

— Oczywiście, dlaczegoż nie mieliby zrozumieć?

— A w jakiż sposób sama przeprawa nastąpi?

— W jakiżby? generał wsiądzie na łódkę i tu przypłynie. Noc będzie ciemna, bo teraz księżyc nie świeci, to go nikt nie obaczy. Przypłynie po północku, gdy już strażnicy odbędą patrol i przez parę godzin będzie spokojnie.

— Ha! skoro tak powiadasz... zresztą, jak noc zapadnie zobaczymy co robić — rzekłem — może trzeba będzie wysłać ciebie na tamten brzeg. Musisz tu mieć gdzie łódkę?

— Mam... ale ja nie popłynę, bo zaraz stąd odchodzę.

— A to czemu?

— Muszę się dowiedzieć, co się dzieje z Teresą.

Spojrzałem na niego zdziwiony tem nagłem zainteresowaniem się losem kobiety, którą sam naraził na niebezpieczeństwo i rzekłem:

— Najprzód nic się nie dowiesz, odesłano ją do miasta, a tam cię do niej nie dopuszczą, po drugie, jesteś mi tu potrzebny, a po trzecie, nie trzeba było kobiety wysyłać na tak niebezpieczne zwiady.

— Albo to ja ją wysłałem!

— A któż!

— Ona sama poszła.

— Kłamiesz! słyszałem przecież, jakeś jej rozkazywał.

— Co ja jej miałem rozkazywać! ja jej nie rozkazywałem. To było tak umówione i tyle...

— Jakto umówione?

— Ano, że ja jej niby... na ten przykład... ostro rzeknę: idź, zobacz co się tam na brzegu dzieje — i ona niby pójdzie. Ale ona i tak by poszła bez mego rozkazania.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem, jak w ogóle nie rozumiałem stosunku, łączącego tego prostego, na pół dzikiego szwarcownika, z tak elegancką i wykwintną kobietą, jaką mi się wydawała pani Teresa.

— Czy to twoja żona? — spytałem.

— Ej, co tam za żona! — zawołał z razu, ale opamiętał się i zawołał prędko:

— A no tak... żona... jakżeby inaczej! i dlatego ja muszę, panie poruczniku, iść.

— Nie! kochanku, nie pójdziesz! Zgoła tam jesteś niepotrzebny, a tutaj bez ciebie ja się nie obejdę.

Łysnął ślepiami, ale umilkł i otuliwszy się w swój kubrak, nacisnął czapkę na głowę i położył się w wiklinie na błocie spać. Ja tymczasem począłem rozmyślać nad tem, jak my tu cały dzień przepędzimy, a nadewszystko co będziemy jedli. Żołnierze moi od wczoraj nic w ustach nie mieli, a ca-

łonocna wędrówka i przygody tego poranku, zaostrzyły apetyt. Ja sam byłem tak głodny, żebym konia zjadł z kopytami. Rozmyślałem więc nad tem, czyby nie było dobrze wysłać Huana po jaką żywność, ale zastanowiłem się, że gdy samego wyślę, to z pewnością więcej nie wróci; dodać mu zaś kogo z moich ludzi nie śmiałem, gdyż mogłem go narazić na śmierć lub niewolę. Nie wiedziałem więc co robić i biłem się z myślami, gdy nagle z głębi jamy wysunął się wachmistrz w towarzystwie Laskonogiego, dźwigając przed sobą coś ciężkiego.

— Co to takiego? — Spytałem.

— Gorzałka, panie poruczniku, szwarcówka. Znaleźliśmy ją tam dobrze ukrytą, ale stary wachmistrz drugiego pułku ułanów umie szukać. He, he, he! Laskonogi również coś znalazł.

— No, co znalazł?

— Trochę kaszy i mąki. Cichaczem, mopanku, nagotujemy sobie zupy. Gorzałka jest, czegoż nam brakuje.

— Tylko ognia palić nie można.

— Niech się pan porucznik nie obawia, już ja rozpalę taki ogień, że dymu wcale nie będzie.

Jakoż zakręcił się, kazał swoim zuchom nazbierać suchych gałęzi, z których rozpalił maleńkie ognisko i w kociołkach, jakie miały ze sobą sekcye plutonu, ugotował nędznej co prawda zupy, ale która w tym stanie, w jakim znajdowaliśmy się, wydawała się wyborną, a mocna wódka uzupełniła to nielukulusowe śniadanie. Przywróciła ona dobre humory, rozjaśniła zasępione oblicza, ale rozdawana zbyt hojną dłonią wachmistrza, mogła wydać złe skutki. Zabrałem więc baryłkę pod swoją opiekę i nikomu już do niej zaglądać nie dałem. Tak przepędziliśmy ten smutny dzień, niczem nie niepokojeni. Schronienie było wyborne.

## VIII.

Noc przeznaczona na przeprawę generała była ciemną nadzwyczajnie, wietrzną i zimną. Już pod wieczór czarne chmury tak pokryły niebo, że ani jednej gwiazdki nie można dostrzedz i wraz z zachodem słońca zapanowały tak nieprzejrzane ciemności, że absolutnie własnej ręki dostrzedz nie mogłem. Takie ciemności, jak z jednej strony bardzo sprzyjały przeprawie generała, tak z drugiej były z tego względu niebezpieczne, że mogły narazić moich ludzi na pogubienie się w tym gąszczu nadbrzeżnym i w okolicy zgoła sobie nieznanej.

Ale cóż było robić? Gdy noc zapadła, zgromadziłem moich ludzi i stanęliśmy wszyscy na wązkim pasku wybrzeża, wśród gąszczu wikliny, z pluskającemi głośno tuż u nóg falami rzeki, po której wśród ciemności połyskiwały od czasu do czasu jakieś nikłe, srebrzyste blaski. Tuż przy mnie stał Huan, który był bardzo mroczny, cały prawie dzień przespał i zapewniał teraz jeszcze raz jak najuroczyściej, że nie gdzieindziej, tylko tutaj, wprost Wilczych dołów, generał Casobi przeprawi się.

Wkrótce od strony lądu wiatr przyniósł nam tentent koni i brzęk szabel. Był to patrol konny, który wieczorem objeżdżał brzeg i placówki straży. Przyjechali, postali na stromem wzgórzu, tuż nad naszemi głowami i znikli.

Byliśmy teraz bezpieczni na kilka godzin.

Większość żołnierzy moich znużona tem nieco za długiem oczekiwaniem, z właściwością natur prostych i mało nerwowych, drzemała spokojnie; ja zaś cały wzburzony, targany nadzwyczajnym niepokojem, robiący tysiące przypuszczeń jak najgorszych, nie mogłem usiedzieć na miejscu, ale kręciłem się ciągle to tu, to tam, patrząc nieustannie na czarną jak smoła rzekę, usiłując przebić wzrokiem ogarniające mnie dokoła ciemności.

Była to noc pamiętna mi na zawsze, noc ponura, zimna, pełna nieokreślonych szeptów, szmerów, głosów tajemniczych.

Drżałem od zimna i nerwowego niepokoju, a mimo to twarz mi gorączką pałała. Irytował mnie nadzwyczajnie miarowy, spokojny oddech niektórych żołnierzy, którzy pokładłszy się na mokrej ziemi w wiklinie, spali w jak najlepsze. Huanowi kazałem się trzymać siebie i co chwila pytałem go, czy się nie mylił w przypuszczeniu, że tu, a nie gdzieindziej nastąpi przeprawa, czy nie widzi czego, czy patrol nie powróci i t. p., jak gdyby on mnie mógł w tych rzeczach, zależnych od tysiącznych okoliczności i przypadków, stanowczo objaśnić. Na pytania moje głosem drżącym, może z niepokoju, może z zimna, które coraz przenikliwszem się stawało, a może ze strachu, mruczał coś pod nosem niechętnie.

Nakoniec po przeszło dwugodzinnem takiem oczekiwaniu, które mi się wiekiem wydawało, na brzegu przeciwnym ukazało się maleńkie światełko, które w równych przestankach trzykrotnie podniosło się w górę i trzykrotnie opadło, wreszcie zgasło.

— To generał siada do łodzi — szepnął mi do ucha Huan — trzebaby, panie poruczniku, wysłać paru ludzi tam na górę, by dali znać, jak patrol się zbliży.

— Czyż patrol może się teraz zbliżyć? — spytałem zaniepokojony tą uwagą.

— A licho ich tam wie! — odrzekł niechętnie — tam się spóźnili niewiadomo dlaczego. Od godziny generał powinien już tu być, a patrol przecie co dwie godziny brzeg objeżdża. Może właśnie w tej chwili nadjechać...

Wysłanie ludzi na górę nie wydało mi się właściwem. Cóż oni mogli poradzić? Gdy patrol zbliży się i tak go usłyszymy. Nie odpowiedziałem więc na uwagę Huana i stałem z wzrokiem i uchem natężonem, chwytając każdy szelest wikliny, każdy plusk fali. Serce mi biło jak młotem; zbliżała się bowiem najważniejsza chwila, końcowa scena tego kilkudniowego dramatu.

Światło na przeciwnym brzegu dawno już zgasło, wicher wył po dawnemu, rzeka głośno pluskała i białawym blaskiem

swych fal połyskiwała w ciemności, a o generale i jego łodzi, wiozącej losy nowego Cezara, nie było wcale słychać:

— Czy nic nie słyszysz? — spytałem Huana.

— Widzi mi się, że słyszę plusk wioseł. Rzeka strasznie jest wzburzona, a jeżeli to nie stary Magiera przewozi generała, to mogą się wywrócić...

Mówił to Huan, stojąc pochylony nad wodą, z wzrokiem wlepionym w ciemności. Nagle zamajaczyło coś na wodzie i prawie tuż przy nas rozległ się donośny krzyk kawki z doskonale znaną mi modulacyą.

— To generał! — zawołałem i tłumiąc głos zawołałem Burczymuchę i kazałem mu na to hasło odpowiedzieć. Stary wachmistrz podparł się pod boki, nadął i zakrakał tak udatnie, że wywołało to cichą uwagę Karola Laskonogiego.

— Przebóg, wachmistrzu! gdybym mógł w przechodzenie dusz uwierzyć, sądziłbym, że twoja dusza siedziała kiedyś we wronie.

Ale wachmistrz nic na to nie odpowiedział, bo właśnie łódź przybiła do brzegu i przed nami, na tle nagłego błysku fali, zarysowała się wyniosła, barczysta postać generała, i dał się słyszeć głos jego:

— Kto tu jest?

— Jest porucznik Valery — odrzekłem.

— A! z oddziału pułkownika Sigismunda?

— Tak, generale.

— Bardzo dobrze, podaj mi poruczniku rękę.

Wyciągnąłem moją dłoń, on się uchwycił za nią silnie i z głośnym brzękiem szabli i ostróg wyskoczył na brzeg.

W tejże chwili Huan szepnął mi do ucha:

— Karabinierzy!

Tak byłem zajęty generałem i jego przeprawą, że nie słyszałem tententu koni zbliżającego się patrolu. Na szczęście Huan go słyszał, słyszeli i inni, usłyszał wreszcie sam generał, który z tą bystrością ludzi, wystawionych na liczne niebezpieczeństwa, umilkł i stał nieruchomy na miejscu.

Tymczasem, tuż nad nami, na stromym brzegu, nadjeżdżający patrol zatrzymał się. Na zachodzie niebo nieco rozjaśniło się, biały pas ukazał się na niem i na tym pasie doskonale zarysowały się sylwetki koni i ludzi. Patrząc na nich wrócił mi cały spokój i cała przytomność. Począłem ich liczyć. Było ich dwudziestu. Przez chwilę słychać było tylko stuk kopyt końskich, brzęk szabel, ale zaraz potem dobiegł moich uszów doskonale znany mi głos kapitana:

— Czy nie słyszeliście nic! tu ktoś rozmawiał! Milczeć i nadstawić uszów!

Oczywiście nadstawianie uszów na nic się nie zdało. Milczeliśmy i staliśmy jak nieruchome posągi, a po wiklinie wiatr tylko szumiał i rozlegał się plusk fal rzecznych.

— Ej, to ci się zdawało, kapitanie — odezwał się po chwili głos jakiś. — Tu nawet miejsca niema na to, by ktoś mógł znajdować się. Brzeg stromo spada do wody. To wiatr szumi wśród krzaków. Brrr! jakże zimno.

Widocznie ta uwaga wydała się kapitanowi słuszną, bo po krótkiem milczeniu zakomenderował:

— Marsz dalej!

Odjechali, a gdy tentent koni ucichł nakoniec i zginął wśród szumu wichru w oddali, wszyscy odetchnęliśmy głęboko, bo straszny ciężar groźnego niebezpieczeństwa spadł nam z piersi. Zaraz też rozległ się stłumiony, ale spokojny głos generała:

— Poruczniku, ilu masz ludzi?

— Trzydziestu sześciu, generale. Cały mój pluton.

— Czy nie zostałeś dostrzeżony? Czy nie spotkałeś niejakiego Wiktora, który szpiegostwem trudni się?

— Owszem generale, spotkałem go.

— I cóż? czy rozkazy moje zostały wykonane?

— Nie, generale, nie mogły one być wykonane, bo okazało się, że Wiktor, którego właściwem nazwiskiem jest Sylwester, nie jest wcale szpiegiem, ale największym, najofiarniejszym naszym przyjacielem.

Tu opowiedziałem generałowi pokrótce wszystkie szczegóły sceny, jaka się rozegrała w chacie Huana. Wysłuchał tego milcząc i rzekł:

— Dobrze zrobiłeś, poruczniku... zobaczymy później jak postąpić z Wiktorem. Czy Huan jest tutaj?

— Jestem, generale.

— Prowadź nas i tak za dużo czasu straciliśmy.

W rzeczy samej, ja, teraz, gdy generał szczęśliwie się przeprawił, stałem jak na rozżarzonych węglach. Lada chwila bowiem mógł się zjawić jaki podjazd karabinierów, lub straży nadgranicznej i wszystkich nas wziąć do niewoli, lub gdybyśmy się bronili — wyrąbać i wystrzelać. Dlatego też drżąc cały z niepokoju i niecierpliwości, oczekiwałem na rozkaz wyruszenia z tych niebezpiecznych okolic, nadsłuchując pilnie, czy nie dobiegnie do moich uszów złowrogi tentent koni i brzęk szabel. Ale nareszcie generał wydał rozkaz i już zwracałem się do moich ludzi, by śpiesznie mieli się do drogi, gdy Huan zbliżył się do generała i kłaniając mu się, rzekł:

— Panie generale, tu lada kto może pana poprowadzić, a mnie proszę uwolnić...

— A to dlaczego?

— Dlatego, że mam tu chałupę... to mi wszyćko karabinierzy rozdrapią, jak mnie nie będzie. Szkoda mi chudoby...

— Zostałeś zapłacony, dostaniesz więcej, ruszaj!

— Panie generale, nie mogę. Dalibóg nie mogę. Teresę też wzięli karabinierzy i zawiedli do miasta...

— Jakto! Teresę wzięli? — zapytał ostro generał. — Poruczniku Valery, czyż nie wydałem surowych rozkazów, ażeby kobiety tej strzeżono, jak oka w głowie?

Ton generała był groźny, surowy i gniewny.

— Nie miałem żadnych rozkazów, co do tej kobiety — odrzekłem — przybywszy tu nie wiedziałem, że istnieje na świecie. Poznałem ją dopiero w chacie tego człowieka.

— Jakto, pułkownik Sigismundo nie dał panu co do niej żadnych rozkazów?

— Żadnych, Generale.

Generał pomyślał chwilkę, wreszcie rzekł:

— Stało się! Teraz nic na to nie poradzimy. Nie mogę cię uwolnić, Huanie. Prowadź nas!

Przemytnik mruknął coś pod nosem, podrapał się po głowie i ruszył naprzód, a my za nim. Ja z wachmistrzem z obu stron towarzyszyliśmy generałowi, gotowi życie oddać w jego obronie. Za nami postępował pluton. Zochowywaliśmy jak największą ciszę, chociaż czterdziestu ludzi maszerujących szybko, nie mogło się przemykać jak cienie, bez żadnego odgłosu. Huan prowadził nas tak przepaścistemi drogami, wśród takich błot i gęstwin, że nie jestem w stanie opowiedzieć szczegółowo tej dziwnej, nocnej, ponurej, milczącej podróży. To tylko wiem, że wydobyliśmy się szczęśliwie z wikliny nadbrzeżnej nie napotkawszy nikogo, że przez nagą płaszczyznę maszerowaliśmy z możliwą szybkością całą noc, nie widząc żywej duszy, co należy zaliczyć do niezmiernie szczęśliwych wypadków, i że nakoniec o świcie dotarliśmy do owych wielkich lasów, w których mieszkał stary gajowy. Czekał on na nas na skraju tej puszczy ze swym wózkiem, by zabrać generała:

— Niech jaśnie generał siada — mówił, kłaniając się nisko — nim dzień się zupełnie zrobi w lesie będziemy już w mojej chałupie, a tam bezpiecznie...

— Czy wszystko jest w porządku? — spytał generał.

— Wszystko.

Wtrąciłem się do tej rozmowy:

— A jakże tam konie i broń?

— Czekają na panów — odrzekł leśnik.

Generał już siedział na wózku i zwracając się do Huana, rzekł:

Teraz możesz sobie iść. Jesteś mi już niepotrzebny.

— A gdzież ja teraz pójdę? chyba po to, żeby mnie te hycle, karabinierzy, obwiesili. Nie, panie generale, ja już wolę z tymi panami iść dalej.

— Jak chcesz. Porucznik Valery da mi na wózek jednego żołnierza.

Kazałem Laskonogiemu siąść na kozioł, z czego poetyczny Karol był bardzo zadowolony i bardzo dumny i rzekł do starego leśnika:

— Jedź ostrożnie, bo wieziesz Cezara i jego losy!

Generał ruszył, a my powoli, wlokąc się noga za nogą, gdyż ludzie nieprzespanemi dwoma nocami z rzędu i wrażeniami tych kilku dni, byli nadzwyczajnie pomęczeni. W parę godzin, bez żadnej przygody, dobiliśmy się do leśnictwa, gdzie nas już czekało obfite, mięsne śniadanie, złożone z żuru i baraniny, oraz wygodny spoczynek w stodole. Generał zajął alkierz i jak mi powiedziała żona leśnika, »spał nieboraczek nikiej suseł«; ja pomieściłem się w pierwszej izbie. Dojrzawszy, czy ludzie mają wszystko co potrzeba, obejrzeliśmy razem z wachmistrzem konie i broń, czy jest w porządku, przekonawszy się wreszcie, że synowie leśnika są na czatach i pilnie nas strzegą, rzuciłem się na moje posłanie z siana, przykrytego skórą sarnią, i zasnąłem snem kamiennym.

## IX.

Spałem cały dzień bez przerwy, snem ciężkim, snem młodego zmęczonego mocno ciała, snem pełnym mar, widm i niepokoju. Obudziło mnie silne szarpnięcie. Gdym otworzył oczy i przyzwyczajony przez ciąg tej strasznej wojny do szybkiego oryentowania się, usiadłem zupełnie przytomny na swem posłaniu, ujrzałem nad sobą wachmistrza. Wieczór się już robił i przez niewielkie okienko izby widziałem gorejące purpurą niebo, niebo krwawe i złote, na którego tle widać było szczyty sosen, chwiejące się pod naciskiem wiatru. W izbie panował już zmrok, a po kątach tłukły się wielkie cienie.

— Co się stało? — spytałem wachmistrza, którego twarzy z ponad ciemności dobrze nie widziałem.

— A to, mopanku, panie poruczniku, że w boru coś złego się dzieje?

Stałem już na nogach i przypasywałem szablę do mego munduru ułańskiego, który znowu na siebie nadziałem.

— Co takiego? co się dzieje? mów wyraźnie!

— Kiedy ja sam, mopanku, dobrze nie wiem. Zdaje się, że oni są w lesie...

Na wyrazie »oni« położył nacisk, a ja doskonale zrozumiałem o kim jest mowa.

— A skądże przypuszczasz, że oni są w lesie?

— Bo najprzód słychać po rosie, a też i po ziemi... bom ucho przykładał, tentent koni i miarowy chód piechoty.

— Gdzie jest leśnik?

— Poszedł, mopanku, na zwiady.

— A jego synowie?

— Hm! w tem to właśnie, mopanku, leży wszystko złe, że żaden z nich znaku życia nie daje. Stary leśnik mocno tem był zaniepokojony i poszedł do boru.

— Czy generał śpi jeszcze?

— Zdaje się, bo nic z akierza nie słychać, ale jabym... mopanku, panie poruczniku, radził obudzić generała... licho nie śpi, a tam jest i jazda i piechota i chyba trzeba nam rejterować i to prędko.

— Ludzie zbudzeni?

— A jakże... natychmiast tych żarłoków i obwiesów przebudziłem.

— Konie okulbaczyć i mieć się do drogi! Ja generała obudzę!

Ledwiem to wyrzekł, gdy drzwi się od alkierza otworzyły i stanął w nich generał, w swym wielkim, bandyckim kapeluszu na głowie, w czarnym płaszczu, z pod którego widać było tylko nogi w wysokich, lakierowanych butach. Stanął zapełniając swą wysoką, tęgą, mimo to bardzo zgrabną i szykowną postawą, drzwi alkierza i zapytał:

— Co to takiego? co za niepokój słyszę?

Miałem już odrzec na to pytanie, gdy nagle rozległy się na dziedzińcu kroki kogoś szybko biegnącego, a zaraz potem rozwarły się drzwi gwałtownie i wpadł jeden z synów gajowego i krzyknął:

— Nieprzyjaciel!

Na dziedzińcu dała się słyszeć owa chaotyczna, szalona, nerwowa wrzawa, tak doskonale mi znana, charakteryzująca nagły i niespodziewany napad, która mnie zawsze irytowała nadzwyczajnie, bo świadczyła, jak nasza ruchawka mało ma jeszcze w sobie ducha żołnierskiego porządku i spokoju. Przez uchylone drzwi wpadały głośne krzyki:

— Do broni! do koni!

A podoficerowie rozkazywali:

— Formuj się półplutonami!

Wszystko to zlewało się w jeden hałas nieokreślony, w szmer i brzęk jakiś donośny, który zapewne wśród ciszy nocnej starego boru rozchodził się daleko i szeroko. Skoczyłem pełen gniewu, by tam na dziedzińcu ład zaprowadzić, gdy generał tym samym równym i spokojnym tonem, rzekł:

— Porucznik Valery niech nie odchodzi! Wachmistrz niech idzie i niech mi ich tam uciszy, do stu par djabłów!

Wachmistrz wypadł i wkrótce na dziedzińcu względna zapanowała cisza, choć ów głuchy szmer ludzi zaniepokojonych mocno, ów nerwowy dreszcz unosił się dokoła nas, napawał sobą całą atmosferę tej izby, dziedzińca i boru.

Generał tymczasem pytał młodego syna leśnika:

— Czy widziałeś ich?

— A jakże... podpełzałem pod krzakami... idzie tego okrutna kupa i piechota i jazda...

— Skąd idą?

— Drogą ode wsi Comoro...

— To dobrze! mości poruczniku!...

Ale nie skończył generał, gdy nowe szybkie rozległy się kroki i wpadł do izby drugi syn leśnika i wołał:

— Idą! idą!

Generał nie miał czasu nawet zapytać się, czy ta nowa wieść jest powtórzeniem poprzedniej, gdy zjawił się sam stary leśnik i stojąc wyprostowany przy drzwiach, z ręką u czapki, raportował:

— Generale, jesteśmy otoczeni. Wszystkiemi drogami maszerują. Chcą nas wziąć, jak w saku.

— Otoczeni jesteśmy? — zapytał generał tym swoim, zawsze spokojnym tonem, który dziwnie pokrzepiający wpływ na mnie wywierał.

— Tak! ani chybi, ktoś zdradził.

— To zobaczymy. A teraz, czy stąd możemy się wysunąć niepostrzeżenie?

— Z obejścia można wyjść dwoma wylotami: przez bramę i przez wierzeje stodoły.

— A więc na koń! Stratujemy ich!

— To niedobrze, generale — zauważył leśnik.

— Dlaczego?

— Dlatego, że w lesie niema miejsca, gdzieby nawet półplutonami front można utworzyć.

— Do pioruna! to źle... ale chodźmy zobaczyć jak rzeczy stoją.

Zaledwie wyszliśmy na dziedziniec, gdy rozległ się strzał jeden i drugi, a zaraz potem zagrzmiała gęsta palba i nagle ucichła. Na dziedziniec przez uchylone wrota wpadło dwóch pozostałych synów leśnika, którzy biegli, jak szaleni potrząsając dubeltówkami, z których luf unosił się błękitny dymek.

— To do was, smyki, strzelano? — zapytał leśnik.

— Tak... ale poczęstowaliśmy ich grankulkami... dwóch karabinierów gryzie ziemię.

— To dobrze, smyki...

Nie skończył, bo generał, który miał wytężony wzrok na bramę, spostrzegł pędzących ku niej kilku jeźdźców nieprzyjacielskich i rozkazywał:

— Zatarasować bramę! Ognia do nich! Poruczniku Valery!

Podczas gdy bramę zamykano, a inni przez parkan poczęli pluć kulami do pędzących jeźdźców nieprzyjacielskich, zbliżyłem się do generała, a ten mówił:

— Konie ukryć tam, gdzie dotąd były ukryte. Ludzi rozstawić wszędzie po za parkanem, po dachach i na strychach. Bronić się będziemy do upadłego. Czy naboi jest dostateczna ilość?

— Każdy z żołnierzy ma po pięćdziesiąt naboi — odrzekłem.

— Hm! nie wiele to jest... ale trudno. Wypełnij, poruczniku, moje rozkazy.

Pobiegłem do ludzi, a generał począł coś cicho rozmawiać ze starym leśnikiem. Rozstawiłem ludzi, jak mogłem wzdłuż parkanu, na stogu siana, pod strzechą, a wszystko to robiłem pod ogniem pędem przebiegających dokoła jeźdźców nieprzyjacielskich, którzy na swych zwinnych koniach, przytuleni do ich grzywy, raz po razu dawali ognia i przeraźliwym piskiem napełniali bór, który już grzmiał wrzawą mnóstwa ludzi i koni.

Położenie nasze było rozpaczliwe. Mieliśmy w plutonie wszystkiego piętnaście gwintowanych, ale niezbyt dalekonośnych karabinków kawaleryjskich; prócz tego leśnik i jego synowie mieli pięć dubeltówek; w ogóle więc było dwadzieścia pięć strzałów. Było to oczywiście bardzo nie wiele, ze względu na atakującego nas ze wszech stron nieprzyjaciela, o którego sile wprawdzie nic nie wiedzieliśmy, ale która musiała być bardzo znaczna, sądząc po wrzawie i trzasku, jaki z lasu dochodził. Na szczęście noc zapadła szybko, noc ciemna, chmurna, bezksiężycowa i pod jej zasłoną, ukryci dobrze, mogliśmy się bronić długo, rozpaczliwie, ale bez nadziei zwycięstwa.

Tak, bez nadziei zwycięstwa. Zdawałem sobie z tego sprawę doskonale. Walka mogła trwać noc całą, może i dzień cały następny, ale ostatecznie uledz musimy. Ogarnęło mię zniechęcenie zupełne i wśród świszczących kul, które coraz

gęściej z głuchym trzaskiem poczęły padać na dachy zabudowań i na parkan, szedłem do generała, zalecając po drodze ludziom, by strzelali spokojnie, dobrze mierzyli i naboi napróżno nie marnowali.

— Ba! mopanku... panie poruczniku — odrzekł mi na to stary wachmistrz, który mi ciągle towarzyszył — jak tu dobrze strzelać, kiedy tych psich synów nie widać!

Dochodząc do generała, który ciągle stał na podwórzu, spostrzegłem, że konie znów wyprowadzają ze stajni i stodoły.

— Rozkaż, poruczniku — rzekł do mnie generał — by siadano na koń. Z jednym półplutonem wypadniesz tyłem, przez wierzeje stodoły, ja z drugim rzucę się przez bramę i trzeba... trzeba koniecznie stratować wszystko, co nam na drodze stanie. Czy rozumiesz mnie?

— Rozumiem, generale!

— A więc spiesz się, każda sekunda jest droga!

Ruszyłem więc znowu na tyły domu i począłem ściągać ludzi, którzy już dali się porwać krwawemu urokowi walki i prowadzili ją z zażartością i uporem. Palba była gęsta i nieustanna. Ze strony nieprzyjaciela, piechota już w grę weszła, bo kule sypały się jak grad, a dach na stodole dymił się i miał lada chwila buchnąć płomieniem. W tych warunkach walka oczywiście była niemożliwą i jedyny ratunek był w wymknięciu się z tej pułapki, w jakiej znajdowaliśmy się. Nieprzyjaciel przytem zakryty był ciemnościami, które zapanowały już w lesie, drzewami, które nieomal pod sam parkan podchodziły, a zabudowania leśnika, wznosiły się na otwartej względnie polanie, na której błąkały się jeszcze jakieś zapóźnione blaski zachodu.

Zwołując ludzi, dowiedziałem się, że jeden już poległ, a trzech jest ranionych, na szczęście dość lekko, tak, że mogli dosiąść koni. Nieprzyjaciel prawdopodobnie, nie stracił ani jednego żołnierza, co zarazem najwymowniejszym było dowodem nierówności tej walki. Naglłem też do pospiechu, co było dość trudnem, bo trzeba się było przemykać pod parka-

nem, dla uniknięcia kul, które cały dziedziniec formalnie zasypały. Przytem konie strasznie się płoszyły i rwały. Ale nareszcie zebrało się pół plutonu, z którego odesłałem jeszcze czterech ludzi generałowi, a sam na czele dziesięciu pozostałem. Prawda, byli między nimi wachmistrz Burczymucha i poetyczny Karol Laskonogi, a ci starczyli za kilku. Byłem pewny, że polegnę; nie znałem miejscowości, nie wiedziałem gdzie i na kogo uderzę, mieliśmy poprostu wyruszyć na oślep.

Siedliśmy na koń w stodole, osłonięci od kul, ale na pół zduszeni dymem, który z mokrej strzechy unosił się kłębami, nie mogąc rozgorzeć płomieniem. Jeden z synów leśnika stał przy zamkniętych wierzejach, gotów do ich otwarcia na pierwsze moje skinienie. Wśród nas panowało poważne milczenie; konie pociły się i drżały pod nami od nerwowego wzruszenia. Dokoła rozlegał się straszny i wzmagający się co chwila huk, świst kul i głuche, tępe ich uderzenia w ściany i dachy zabudowań. Padały one tak gęsto, że przypominały tętnienie gradu po drewnianym dachu.

Wsłuchując się w ten trzask i huk, jeden z żołnierzy zawołał:

— Będzie nam tam ciepło.

— Kochanku — ozwał się na to swym dyszkantem Karol Laskonogi — czytałeś ty kiedy »Piekło« Dantego!

— Kogo? — spytał żołnierz, który prawdopodobnie nigdy w życiu o żadnym Dancie nie słyszał.

— Widocznie, żeś nie czytał, aniele mej duszy — odparł Karol — skoro się pytasz, wszelako mogę cię zapewnić, że tam było o wiele goręcej... uważasz, był tam...

— Milczeć w szeregu! — zakomenderował wachmistrz.

Ja stałem i czekałem, aż usłyszę, że generał wyruszył na czele swoich, by jednocześnie z nim rzucić się na nieprzyjaciela. Powiedziałem żołnierzom o co idzie.

— Wyruszymy dwójkami i nie czekając na komendę rzucimy się ze strasznym krzykiem naprzód, rąbiąc i kłując co spotkamy na drodze. Kto się szczęśliwie wydostanie, niech

się zatrzyma na skraju lasu i czeka na innych. Każdy musi o sobie myśleć, każdy...

Nie skończyłem, bo nagle rozległo się potężne hura! które zagłuszyło huk strzałów i świst kul. To generał rzucił się na nieprzyjaciela.

— Otwieraj wierzeje! — krzyknąłem. — Za mną, dzieci, w imię Boże! Hura!

Z dziesięćkrotnie powtórzonem: hura! z gołą szablą w garści, podniesioną do śmiertelnego ciosu, spiąłem konia ostrogami i rzuciłem się naprzód na oślep. Naprawdę nic nie widziałem przed sobą tylko błyski nagłe ognia i nic nie słyszałem tylko przeciągły huk strzałów i świst kul. Ktoś za mną jęknął i krzyknął: Jezus! Marya! i prawdopodobnie zwalił się z konia, a ja leciałem naprzód i napotkawszy jakąś przeszkodę, rąbałem szablą na prawo i na lewo. Nic nie widziałem, tylko czułem, jak szabla uwięzła w miękkiem ciele, jak rozległ się jęk, i leciałem dalej. Byłem już w lesie na jakiejś drożynie, a przedemną majaczyły cienie ludzkie, błyszczały długie linie ognia nagłego, rozlegały się wrzaski, a ja pędziłem naprzód i rąbałem ciągle, z jakąś szaloną zaciekłością.

Nagle usłyszałem tuż przy sobie dobrze znany mi głos wachmistrza Burczymuchy:

— Na prawo, poruczniku, tam ich niema! — Mimowoli skierowałem konia w tę stronę, wpadliśmy obaj z wachmistrzem na jakąś wązką drożynę i lecieliśmy jak szaleni, smagani nielitościwie przez gałęzie drzew. Ale tu nie napotkaliśmy już żadnych przeszkód, nikt nam drogi nie zastępował, kule przestały świszczeć, nagłe błyski ognia oślepiać naszych oczów. Powoli wrzawa dotąd nas otaczająca cichła, tylko zdala dochodził nas nieustanny grzechot ognia karabinowego, ale i ten wkrótce umilkł. Otoczyła nas poważna, senna cisza boru.

— No, mopanku, panie poruczniku, zatrzymajmy konie. Jesteśmy od tych psich synów zdaleka. Już nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Trzeba odpocząć i koniom także dać wytchnąć.

Usłuchałem rady starego wojaka, konia zatrzymałem, odetchnąłem i powoli począł wracać do mego umysłu spokój i przytomność. Obejrzałem się, dokoła otaczał nas las, ale przed nami rozświecał się nieco, co znaczyło, że niedaleko się kończy. Usiłowałem sobie zdać sprawę z położenia, ale oczywiście do żadnych rezultatów pod tym względem dojść nie mogłem. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję i nie było nic innego do czynienia, jak ruszyć na skraj lasu i tam czekać, czy kto z moich ludzi się nie znajdzie. Tymczasem w ciszy serca dziękowałem Bogu za tak cudowne ocalenie.

Znaleźliśmy się wreszcie u wylotu lasu, ale tu nikogo nie spotkaliśmy.

— Czyżby wszyscy polegli? — spytałem.

— O! mopanku, niech się pan porucznik o to nie boi — odrzekł wachmistrz, złażąc z konia i poprawiając coś koło kulbaki — co ma wisieć to nie utonie. Wykaraskali się oni i z pewnością błądzą po lesie. Juścić prawdę rzekłszy, to sam widziałem jak paru spadło z koni, bom to ja szedł na końcu, żeby widzieć, mopanku, jak się wiara sprawia. Ani słowa, wszyli się dobrze w kupę piechurów i nie mało ich tam świętą ziemię gryzie. Ale zawsze i naszych też trochę padło. Kule, mopanku, brzęczały jak pszczoły, kiedy kto w ul dmuchnie. No! no! ciężka była przeprawa, bardzo ciężka... ale jakoś Bóg dał, żeśmy się wygrzebali. Ciekawy jestem, co z tym hultajem Karolem się stało...

— Jest tu w swej własnej, nienaruszonej osobie! — ozwał się jakiś głos z głębi krzaków i za chwilę wysunął się Laskonogi, wiodąc za sobą konia.

Przy nikłym blasku zorzy wieczornej dostrzegłem, że jest z gołą głową i twarz ma zamazaną krwią.

— Co? czyś ranny?

— A tak, panie poruczniku, liznęła mnie wraża kula, czapkę mi zerwała i trochę po skórze zaorała. Jestem stworzony do wielkich przeznaczeń, jak powiada poeta, i zginąć nie mogłem...

— Baj baju, mopanku, z twojemi wielkiemi przeznaczeniami — odrzekł wachmistrz. — Taki rekrut, jak ty, nie ma żadnych przeznaczeń. Rozumiesz, smyku?

— Cieszę się, Karolu — wtrąciłem — że cię widzę. A o innych nic nie wiesz?

— Niestety! nic nie wiem, ale mam nadzieję, że się choć w części wyrąbali. Na Jowisza! starcie było gorące. Aleśmy też nacięli się tego tałałajstwa, Boże miłosierny! Wszelako, panie poruczniku, ośmielam się zrobić jedną uwagę.

— Jaką?

— Że tu jest niebezpiecznie siedzieć. Po całym lesie rozbiegła się ich lekka jazda i lada chwila jaki dziesiątek może nam na kark spaść. A wtedy, adiu Fruziu, przynajmniej co do mnie, bo mi się lanca w jakiemś pulchnem łonie oficerskiem złamała, a szablę gdzieś djabli w lesie wzięli.

— Czekaj, rekrucie! — mruknął wachmistrz — podźwigasz za to dziesięć lanc przez dwie godziny!

— A przytem, o! panie poruczniku — ciągnął dalej Laskonogi — do obozu mamy trzy opętane mile. Trzeba korzystać z ciemności nocy nieprzespanej, jak powiada poeta.

— Stuliłbyś gębę, z przeproszeniem, mopanku, o tych tam twoich poetach — zawołał wachmistrz i zwracając się do mnie, dodał:

— Panie poruczniku, ten rekrut dobrze radzi.

— Ale kiedy ja tu naznaczyłem punkt zborny półplutonowi — odrzekłem — wypada mi na innych czekać.

— Już to, mopanku, z przeproszeniem, mnie się widzi, że nie wypada, chyba, że pan porucznik chce poraz drugi głowę narazić...

— A ma się tylko jedną, jak mówi poeta! — szepnął z emfazą Laskonogi.

Uznawałem całą słuszność tych uwag, ale wahałem się: wstyd mi jakoś było nie znajdować się na miejscu, które naznaczyłem jako punkt zborny dla moich zuchów, ale ostatecznie zdecydował mnie nagły huk strzału, który gdzieś nie-

daleko nas padł i powtórzonym został tysiącznem echem wśród lasu i sennej ciszy nocnej. Widocznie doniesienie Karola o włóczących się po lesie jeźdzcach nieprzyjacielskich było prawdziwem i czekać tu nie było czego. W takiem rozpaczliwem położeniu, jak nasze w tej chwili, każdy o sobie powinien myśleć.

— A więc, na koń i w drogę! — rozkazałem i dosiadłszy mego zmęczonego gniadosza, ruszyłem na przełaj przez pola w kierunku naszego obozu.

Była to podróż nie bardzo bezpieczna, ze względu, że należało iść blisko trzy mile krajem nagim, płaskim, bezleśnym, a nieprzyjaciel raz poruszony, na wszystkie strony zapewne rozesłał podjazdy lekkiej kawaleryi. Ale liczyłem na to, że maszerując bocznemi drożynami, wśród nocy dość ciemnej i dżdżystej, bo koło północy począł padać drobny deszczyk, kapuśniaczkiem zwany, zdołam uniknąć niepożądanego spotkania i szczęśliwie dobiję się do obozu.

Wśród tego marszu, odbywanego przy nadzwyczajnych ostrożnościach, z natężonym słuchem i ręką na cynglu rewolweru, niepokoił mnie bardzo brak wiadomości o generale Casobi. Czy się wydobył z tej matni, w jaką wpadliśmy w zagrodzie leśnika? czy żyje? czy szczęśliwie dostanie się do obozu pułkownika Sigismundo? oto pytania, które mnie trapiły, a na które, niestety! w tej chwili odpowiedzi nie znajdowałem.

Na jednym z odpoczynków, które co jakiś czas czyniliśmy, by koniom zmęczonym dać wytchnąć nieco, jak dziś pamiętam, pod grupą grusz polnych, których cieniem okryci, mogliśmy wszystko dokoła widzieć, o ile noc na to pozwalała, sami nie będąc widziani, Karol Laskonogi rzekł do mnie:

— Wie pan porucznik, o czem ja myślę?

— Z pewnością, mopanku, o jakiem głupstwie! — przerwał mu wachmistrz.

— O, nie! wachmistrzu, wśród tej nocy ciemnej i dżdżystej nie czas myśleć o głupstwach. Natura usposabia mnie filozoficznie...

— Jak?

— Filozoficznie.

— A to ki djabeł, mopanku? Trzeba ci wiedzieć, skurczybucie, że takiemu rekrutowi, jak ty, myśleć nie wolno...

— Przepraszam bardzo, ale ja myślę, że napad, jaki na nas uczyniono przeważnemi siłami na leśnictwie, jest wynikiem zdrady.

— A to prawda, mopanku! — zawołał wachmistrz — raz przecie coś mądrego powiedziałeś, rekrucie! Niechybnie to była zdrada!

— Być może — wtrąciłem — ale na czem opierasz twoje przypuszczenia, Karolu! — zapytałem.

— Na tem, panie poruczniku, że na kilka godzin przed napadem, jeszcze za dnia, ten szwarcownik gdzieś przepadł. Czy widział kto z panów Huana? co się z nim stało?

— Rzeczywiście nie widziałem go wcale — zauważyłem.

— I ja także — dodał wachmistrz.

— A zatem, o bogowie! — krzyknął Karol — nikt inny, tylko on, ten infamis ostatni nas zdradził. Wymknął się niepostrzeżenie z leśnictwa, niby cień, niby widmo i dał znać nieprzyjacielowi o nas. Ja go od samego początku podejrzywałem... słowo honoru daję. Mina, proszę panów, dzika, z niechęcią nam przewodniczył, chciał niby do tej swojej żony... Teresy... mówiąc nawiasem, bardzo ładnej kobiety... lecieć, a gdyśmy przybyli na leśnictwo, zauważyłem to, iż nie położył się spać jak inni, ale włóczył się po całej zagrodzie, niby duch Banka, myszkował, przeglądał kąty... o! gotowym przysiądz, że to on zdradził!

Przypuszczenie było bardzo prawdopodobne. I mnie się nie podobała mina i zachowanie się Huana; człowiek ten wydawał mi się od samego początku podejrzanym, ale teraz nie było co o tem myśleć. Postanowiłem tylko po mojem przybyciu do obozu, uwiadomić o wszystkiem pułkownika.

Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy dalej i nad samym świtem szczęśliwie dobiliśmy się do obozu, gdzie na wielką moją radość dowiedziałem się, że generał Casobi, z garstką moich zuchów, cały i zdrowy, przed godziną przybył. Tym sposobem misya moja, acz z wielkiemi ofiarami, bo z mojego plutonu zaledwie czternastu nas ocalało, została spełnioną, a to było rzeczą najważniejszą.

# CZĘŚĆ PIERWSZA.

## I.

Upłynęło około trzech tygodni wśród nieustannych marszów i kontrmarszów, potyczek i poważniejszych starć, bo nieprzyjaciel raz poruszony, uparcie nam deptał po piętach. Biliśmy się co parę dni i z bojów tych wychodziliśmy jako tako obronną ręką. Generał Casobi bawił przy nas przez parę dni z rzędu, potem gdzieś nagle znikł i wśród tego życia burzliwego, zapomnieliśmy o nim zupełnie. W takich czasach jak te, o których tu mówię, każdy myśli o sobie i wcale nie zajmuje się losami choćby najwybitniejszych osobistości. Mój Boże! iluż to przez te kilka miesięcy przesunęło się przed memi oczami ludzi, o których zupełnie z czasem zapomniałem. Były to cienie jakieś, widma i upiory niknące w oddali tej krwawej zawieruchy, upiory zjawiające się nagle i gasnące gdzieś w otchłani wszystko pożerającej wojny. Czyż zresztą my wszyscy nie byliśmy upiorami?

Dość, że po trzech tygodniach nadzwyczajnie ruchliwych i krwawych, znowu znaleźliśmy się w sile znacznie uszczuplonej w dawnem obozowisku, spokojniejsi na chwilę, ale bardzo zgnębieni — i znowu tak samo, jak owego wieczoru, gdym się miał wyprawić, by podać pomocną rękę generałowi Casobi, zostałem wezwany do pułkownika. Zastałem go samego w nędznym szałasie, przy stole zaimprowizowanym

z paru tarcic, oświeconym dwoma nędznemi świeczkami, pieczętującego jakieś papiery.

— Mój poruczniku — rzekł do mnie — wezwałem cię, by ci powierzyć znowu wielkiej doniosłości misyę.

Skłoniłem się w milczeniu, bom przewidywał, że z pewnością będzie to znowu jakaś karkołomna wyprawa.

— Tym razem masz udać się do stolicy. Z tobą pojedzie wachmistrz Burczymucha i Karol Laskonogi. Tego ostatniego mało znam, ale mam o nim jak najlepsze relacye. Czy ufasz mu, poruczniku? Czy możesz liczyć na niego?

— Jest to rzeczywiście dzielny, odważny i pełen poświęcenia chłopiec.

— Tak mi o nim mówiono. Weźmiesz go zatem ze sobą, a raczej oni pojadą także do stolicy, bo musicie osobno i pojedynczo tam udać się każdy. To będzie bezpieczniej i lepiej. Nie mogę ci powiedzieć w jakim celu tam jedziecie, bo... bo sam dobrze nie wiem. To ci tylko komunikuję, że wzywa was generał Casobi.

— Alboż generał Casobi jest w stolicy?

— Tak, i objął prezydenturę junty narodowej, a raczej dyktaturę... Wzywa was tedy do siebie, po co? nie wiem. To tylko pewna, że między innemi będziecie użyci do oswobodzenia pani Teresy...

— Pani Teresy? — zapytałem zdziwiony, gdyż zapomniałem zupełnie o tem słodkiem, jasnowłosem zjawisku, które nam się na chwilę ukazało w ponurej chacie przemytnika. Ale teraz przypomniałem sobie tę piękną, milczącą kobietę, tę żonę prostego szwarcownika, jej śliczną twarzyczkę, jej ruchy i dumną postawę, gdy na brutalne pytania kapitana karabinierów z taką godnością odpowiadała. Jeżeli już wówczas otoczyła się w moich oczach jakimś nimbem tajemniczości, to teraz po słowach pułkownika wydała mi się jeszcze bardziej tajemniczą. Musiała to bądź co bądź być bardzo ważna osobistość, kiedy dyktator koniecznie chce ją oswobodzić z więzów nieprzyjaciela.

Wszystko to w jednej chwili przebiegło mi przez głowę, a pułkownik tymczasem dalej mówił:

— Wszyscy trzej przebierzecie się po cywilnemu. Suknie dla was są przygotowane we wsi Vola... znasz ją?... udacie się tam i po zmienieniu skóry powstańczej na zwyczajnych śmiertelników, puścicie się w podróż różnymi szlakami. Macie być w Bilbao za pięć dni... koniecznie... rozumiesz mnie, poruczniku, koniecznie...

— Dobrze, pułkowniku.

— Po przybyciu, staniecie w hotelu Paryskim, każdy w innym numerze i udawać będziecie, że się nie znacie. Jednak należy, byście się na miejscu porozumieli, w jaki sposób macie się ze sobą komunikować. Tu oczywiście, niepodobna dać panu w tym względzie żadnych wskazówek, to zależy od okoliczności, których nikt przewidzieć nie może. Zaleca się tylko wielką ostrożność i baczność...

Tu pułkownik dotąd stojący usiadł, odetchnął ciężko, przetarł ręką czoło, jakby chciał odpędzić owładające nim znużenie i rzekł:

— Jestem bardzo zmęczony i dlatego może niejasno się tłumaczę. Idzie o to, by wachmistrz i Laskonogi mogli otrzymywać codzień, a nawet może co godzina, bo to zależy od ważności wypadków, od ciebie, poruczniku, instrukcye. Trzeba więc tak się urządzić, byście się mogli ze sobą widywać, nie zwracając na siebie uwagi. Wszak to pojmujesz, poruczniku?

Skinąłem głową na znak potwierdzenia.

— Nie potrzebuję cię ostrzegać, że w Bilbao stokroć większe zagrażać wam będzie niebezpieczeństwo, jak tu, w obozie. Trzeba więc mieć się na wielkiej baczności, trzeba być na łonie wielkiego miasta i wielkiej cywilizacyi, podobnym do dzikiego Indyanina w puszczach Ameryki...

Znów umilkł i znów potarł swe czoło i mówił:

— Nazajutrz po twem przybyciu do Bilbao, udasz się, poruczniku, o godzinie trzeciej po południu, punktualnie o godzinie trzeciej, do kawiarni na ulicy Longa... Kawiarnię tę

utrzymuje niejaka Donna Julia... na znaku jest wypisane jej imię, łatwo więc to miejsce znajdziesz. Wejdziesz w kapeluszu na głowie, i kapelusz ten zdejmiesz dopiero w trzecim pokoju, postawisz go dnem na stole, zawołasz do usługującej dziewczyny: »kawy czarnej i gazetę«... a potem czekając zaczniesz bębnić palcami... trzy razy w równych odstępach. Czy spamiętasz to wszystko, poruczniku?

— Spamiętam.

— Wówczas zbliży się ktoś do ciebie i podając ci żądaną gazetę, rzeknie: »proszę pana, oto gazeta, już ją przeczytałem«. Wtedy wstaniesz, ukłonisz się i odpowiesz: »bardzo panu dziękuję za jego uprzejmość«. To wszystko. Co ów pan z tobą zrobi, co ci powie, ja nie wiem, ale masz go słuchać i wypełnić co ci każe. Taką jest instrukcya. Zapamiętaj to sobie, poruczniku, albo lepiej powtórz mi to wszystko, co ci powiedziałem.

Gdym zadość uczynił jego rozkazowi, rzekł:

— Dobrze! tu są paszporta dla was trzech. Ty jesteś kupcem z X, który przyjechał do Bibao po zakupno towarów i nazywasz się odtąd Don Diego Orosco. Wbij sobie dobrze w pamięć to nazwisko. Wachmistrz Burczymucha jest handlarzem trzody... ma minę odpowiednią i odpowiedni strój znajdzie we dworze w Vola. Nazywa się odtąd Sebastyan Almeida. Karol Laskonogi, ponieważ grywa na gitarze, jest muzykiem, szukającym zajęcia. We dworze w Voli, jest dlań przygotowana gitara, może jej używać ile zechce. Nazywa się Don Carlos Negro... Niechże się nie pomylą i niech sobie zapamiętają swe nazwiska i zajęcia. Tu są pieniądze, pięć tysięcy realów, bo Burczymucha musi mieć dobrze trzos nabity i w razie koniecznym, dla zmylenia szpiegów, kupować świnie... To wszystko. Wyjedziecie zaraz i niech was Bóg ma w swej opiece... Oby ci, poruczniku, ta nowa wyprawa równie szczęśliwie się powiodła, jak ta, w której przeprowadziłeś generała!

Podał mi rękę, uścisnął ją mocno, usiadł znowu zagłębiając znużoną głowę w obie dłonie, któremi ściskał swe czoło, jak gdyby chciał z niego jakąś myśl, jakąś ideę nową wycisnąć. Wyszedłem dość ucieszony włożoną na mnie misyą. Pojadę do stolicy, do której oddawna już tęskniłem, ujrzę się znowu na łonie wielkiego miasta, cywilizacyi, wygód, spokoju. Będę mógł przynajmniej parę nocy przespać w łóżku, w prawdziwem łóżku, pod dachem, nie lękając się zimna, deszczu, zawieruchy, nagłych strzałów i okrzyku: do broni! do koni! Zapomniałem, niestety! że tam w Bilbao, grozić mi może stokroć większe niebezpieczeństwo i stokroć większy niepokój, jak tutaj, w głębi starych borów... Ale jakże o tem nie miałem zapomnieć, kiedy do Bilbao ciągnęło mnie jeszcze wspomnienie najmilszej i najsłodszej z kobiet! — tych kilku niezapomnianych dni, jakie w jej towarzystwie spędziłem, dni pełnych burz, narad, spisków, grozy bliskiego wybuchu. Na tem tle ponurem, jakże rozkoszną wizyą zarysowała mi się ta śliczna, ta milutka Józefina! Nie wiedziałem kto ona jest, czyją jest żoną, bo niestety! była mężatką, ale wiedziałem tylko, że jest najpiękniejszą, najłagodniejszą, najcichszą z Hiszpanek i że mnie kochała gorąco. Nie wątpiłem ani na chwilę, że ją odszukam w stolicy i że znów w jej towarzystwie spędzę kilka dni czarownych, tworzących istną oazę majową w pustynnem i wichrowatem życiu mojem!

Te myśli i te nadzieje przypomniały mi panią Teresę. Była to druga kobieta, która wplotła się nagle i niespodzianie w poplątaną nić mego istnienia. Dla niej, dla niej głównie miałem jechać do stolicy, narażać moje i mych towarzyszy życie, by ją oswobodzić z niewoli, w którą wpadła, tam... nad brzegami rzeki, w nędznej chacie przemytnika i do tego zapewne szpiega. Cóż to więc była za kobieta, kiedy dla niej posuwano się aż do tak rozpaczliwych i niebezpiecznych kroków, jak te, które mi polecono uczynić? które mogły narazić moją głowę i dwóch dzielnych ludzi, jakimi byli niewątpliwie Burczymucha i Łaskonogi?

Wszystkie te myśli, te nadzieje i wspomnienia przebiegły mi przez głowę, gdym szedł do mego szałasu, a raczej do stanowiska resztek mego bohaterskiego plutonu, który miałem porzucić bez pożegnania nawet. Zabrawszy w szałasie nieco moich rzeczy, zbudziłem wachmistrza i Karola, kazałem im się mieć do drogi i w pół godziny potem, samotnie opuściliśmy obóz, kierując się do Voli. Mieliśmy przed sobą parę mil piaszczystego gościńca i było dość czasu do opowiedzenia im dokąd i po co jadą. Stary wachmistrz przyjął to dość obojętnie, on już w życiu brał udział w tylu najrozmaitszych przedsięwzięciach i wyprawach, że mu wszystko było jedno dokąd i z czem go posyłają. Głowę miał przytem niezbyt tęgą i nie bardzo sobie zdawał sprawę z zagrażającego w tej nowej wyprawie niebezpieczeństwa.

— A cóż, mopanku — gadał — starszyzna kazała mi być wieprzarzem, więc nim będę. Posłuch być musi i basta. Nazywam się teraz Sebastyan Almeida, niech i tak będzie. Jak się zwał, to się zwał, byle się dobrze miał, i tyle...

Zato Karol Laskonogi był w zachwyceniu, gdy się dowiedział, że ma jechać do stolicy.

— Bogiem a prawdą — mówił — moja dusza pragnie wykwintu cywilizacyi i spoczynku. Sama natura, przekonałem się, nie wystarcza umysłowi tak wyrafinowanemu, jak mój. Hm! don Carlos Negro!... dość ładnie brzmiące nazwisko i jestem muzykiem. Ileż to słodkich dumek wyśpiewam pod oknami jakiej piękności!

— A cóż na to powie, mopanku, twoja Marysia?

— Marysia! bogowie! zapomniałem o niej, ale uważasz... wachmistrzu, Marysia jest sobie wiejską pięknością, zapewne bardzo miła, ale gąska. Czyż może ona wytrzymać porównanie z idealnemi pięknościami wielkomiejskiemi? Przebóg, nigdy! A przytem chodzą pogłoski, które ja jednak z pogardą odrzucam, że mnie niegodnie zdradzała. Zapomnę więc o niej i zdradą za zdradę zapłacę...

— Zgłupiał chłop, jak Pana Jezusa kocham! — wołał śmiejąc się do rozpuku wachmistrz — uważa pan porucznik, jak ten rekrut gada. Prawdziwy aktor, komedyant. Ha! ha! ha!

Tak gwarząc i śmiejąc się, bo wszyscy trzej byliśmy bardzo radzi z tej nowej naszej wyprawy, dobiliśmy się do dworu we wsi Vola, gdzie mieliśmy zrzucić z siebie skórę wojskową i powstańczą, a przebrać się w suknie cywilne. Zgoliłem wąsy i zostawiłem tylko bokobrody, włosy starannie uczesałem i miałem istotnie w eleganckich, ale niegustownych sukniach cywilnych minę komiwojażera kupieckiego, don Diega Orosco, jak brzmiał mój paszport. Stary wachmistrz, gdy mu przyszło zrzucać mundur, zżymał się trochę, wygadywał na »psie nasienie cywilusów«, ale ostatecznie przebrał się w krótki spencer, opasał trzosem skórzanym, w którym brzęczały reale, i wyglądał jak prawdziwy handlarz nierogacizny Sebastyan Almeida. Ale najśmieszniej wyglądał Don Carlos Negro. W czarnym płaszczyku, w kapelusiku z piórkiem na głowie, w obcisłych i trochę zakrótkich na jego długie i cieńkie nogi »niewypowiedzialnościach«, z gitarą w ręku, z bródką podstrzyżoną, był nieporównany. Uśmialiśmy się z niego serdecznie, a on nic na to nie zważał, tylko stąpał dumnie, brząkał na gitarze i nucił:

»Ten strumyczek, te brzóz kilka,
Jak mi ciebie przypomina«...

W Voli rozstaliśmy się. Ja pojechałem pierwszy, by dostać się do najbliższej stacyi kolei żelaznej. Później miał jechać Karol, także do kolei, ale do innej stacyi, a wreszcie stary Burczymucha miał się puścić do stolicy rzemiennym dyszlem, końmi, bocznemi drogami i wszędzie targować świnie, ale nie kupować ich wcale. Oczywiście ja miałem przybyć najpierwszy do stolicy i czekać na nich, a porozumienie się nasze następne miało zależeć od okoliczności.

## II.

Na kolej zdecydowałem się wsiąść na stacyi San Pietro. Przybyłem tam szczęśliwie, starannie wygolony, żałując bardzo moich pięknych wąsów, z których dumny byłem, zostawiwszy sobie tylko maleńkie bokobrody, jak to wtedy było modą wśród kupczyków i kantorowiczów. Gdyby nie twarz mocno opalona i zapewne ostre ruchy, które jednak starałem się ile możności złagodzić i zaokrąglić, niktby mnie nie wziął za nic innego, jak za kupczyka »pracującego w konfekcyi damskiej«.

Nie powiem, żebym nie miał pewnej obawy przybywając do San Pietro. Na stacyi uwijało się mnóstwo policyi i karabinierów, którzy podejrzliwym wzrokiem mierzyli każdego przybywającego. Najgorszem było to, że trzeba było osobiście przedstawiać paszport oficerowi policyjnemu. Nie bez trwogi szedłem do jego kancelaryi. Na szczęście osób było mnóstwo, do odejścia pociągu pozostawało nie wiele czasu, więc oficer, jakiś młody człowiek, załatwiał się dość szybko. Mimo to, gdym mu przedstawił mój paszport, podniósł na mnie swe zimne, stalowe oczy i przez chwilę badawczo mi się przypatrywał, ale widocznie przegląd ten wypadł na moją korzyść, bo położył wizę i paszport mi oddał.

Odetchnąłem i załatwiwszy się z innemi formalnościami, udałem się do wielkiej ale dusznej sali, w której wszyscy podróżni natłoczeni byli, gdyż nikogo na peron nie puszczono, a przy drzwiach stało dwóch zbrojnych karabinierów. Wcisnąłem się w kącik i siadłem na pierwszem wolnem krześle, prosząc Boga bym się mógł jak najprędzej znaleźć w wagonie i ujść argusowego wzroku policyantów.

Nagle wśród zebranych w sali zauważyłem jakiś ruch i wiele osób pobiegło do okien, wychodzących na peron, i ciekawie przez nie wyglądać poczęło. To mnie zainteresowało mocno, więc zbliżyłem się także do okna i spostrzegłem stojącą na peronie przed otwartemi drzwiczkami do wagonu dru-

giej klasy, jakąś kobietę, tyłem do mnie zwróconą, ubraną w czarną, trochę podniszczoną merynosową suknię i chustkę na głowie. Figura, postawa, cały wygląd tej kobiety, szykowność we wszystkich poruszeniach, zdradzały, że należała do sfer lepszych, a w moim umyśle wzbudziła jakieś niejasne, zamglone wspomnienie, że ja tę postawę, tę wdzięczną kibić, te szykowne ruchy już gdzieś widziałem. Otaczało ją czterech karabinierów i widocznie była aresztowaną, i to zapewne w zebranych na sali gościach obudziło powszechną ciekawość.

Rzecz to w owe straszne czasy była dość pospolitą, a zajęty swojem własnem położeniem, miałem już odejść obojętnie od okna, zwłaszcza, że karabinierzy poczęli wołać, by nie wyglądano na peron, gdy zwrócił moją uwagę pojawiający się tamże oficer karabinierów. Tego odrazu poznałem: poznałbym go wśród tysiąca innych, tak głęboko wbił mi się w pamięć. Był to nie kto inny, tylko kapitan Rosotemplo, ten sam, który przed kilku tygodniami, tam... nad rzeką... owego posępnego świtu, gdym oczekiwał, pełen dręczącego niepokoju, przybycia generała Casobi, gdzie życie Sylwestra-Wiktora wisiało tylko na włosku, tam... w chacie przemytnika, zjawił się nagle na czele swych karabinierów. Tak, to on. Szedł brzęcząc szablą i ostrogami, i rzucając dokoła złemi, zaczerwienionemi od niewywczasu oczami, coś rozkazywał. W tejże chwili kobieta, dotąd stojąca do mnie tyłem, nagle odwróciła się i ujrzałem słodką, anielską twarzyczkę pani Teresy.

Poznałem ją odrazu i uczułem dziwnie bolesne ściśnienie serca. Stała przez chwilę ze swą śliczną, bladą, znacznie bledszą niż wtedy, w chacie przemytnika, twarzyczką, ze swemi jasnemi, jak złoto, włosami, zawsze starannie uczesanemi, ze swemi wielkiemi, czarnemi oczami, smutno poglądającemi przed siebie. Mogłem ją obserwować tylko przez krótką chwilę, bo kapitan Rosotemplo przybiegł i grzecznym, trzeba mu to przyznać, ruchem zaprosił panią Teresę do wagonu otwartego. Weszła tam szybko, uginając sukni i ukazując te śliczne, maleńkie nóżki, w trzewikach o formach wy-

twornych, acz wyszarzanych i dawno nie czyszczonych. Drzwiczki się za nią zatrzasły i cudowne to zjawisko znikło mi z przed oczów.

Sam kapitan Rosotemplo, porozmawiawszy przez chwilę z oficerem, który paszporta wizował, a który także zjawił się na peronie, siadł do sąsiedniego z panią Teresą przedziału, zamknął się tam, a obserwując go dalej z okna, widziałem, że owinął się płaszczem i prawdopodobnie położył się spać.

Niebawem i nas wypuszczono na peron, przyczem znów we drzwiach trzeba było pokazywać paszporta dwom stojącym tam karabinierom, i kazano siadać do wagonów. Zauważywszy, że trzeci przedział w wagonie, w którym znajdowała się pani Teresa, jest wolny, tak manewrowałem, żem się do niego dostał. Nikogo tam nie było, ale wkrótce zjawiła się jakaś para staruszków, z mnóstwem pakunków i pudełek, zajęła obok mnie miejsce, zabawnie się spiesząc, nerwowo układając swe pakunki, przyczem on ciężko wzdychał i pocił się mocno, choć dzień był chłodny, dzień późnej jesieni.

Dlaczegoż siadłem do tego, a nie do innego przedziału, wtedy na razie nie umiałbym powiedzieć. Chciałem poprostu być bliżej pani Teresy, żadnego innego nie mając zamiaru. Owinąłem się w płaszcz, czapkę nacisnąłem na oczy, udając śpiącego, choć po głowie ciągle przebiegała mi myśl, że jest to oczywiste zrządzenie Opatrzności, iż ja jednocześnie jadę do stolicy z kobietą, którą właśnie mam z więzów nieprzyjaciela uwolnić. Staruszkowie nakoniec uspokoili się i ukazał się konduktor, ostemplował nasze bilety, drzwiczki zatrzasnął i wreszcie pociąg ruszył.

Staruszek tymczasem wydobył cygaro, obciął je starannie, zapalił i puszczając kłęby dymu, rzekł głośno:

— Chwała Bogu, że już jedziemy. Teraz to tyle jest kłopotów z tą podróżą kolejami, tyle ambarasu, że tylko bardzo pilny i ważny interes, mocium dobrodzieju, może zmusić człowieka do podróży. Prawda, panie dobrodzieju?

Zwrócił się do mnie.

— Prawda, wielka prawda! — odrzekłem.

— A pan dobrodziej, daleko jedzie?

— Do stolicy.

— Hm... mocium dobrodzieju, nie zazdroszczę panu. Tam to prawdziwe piekło. Człowieka oglądają na wszystkie strony, jak zarażonego. My bo wysiadamy na następnej stacyi. Jedziemy do córki, która jest za mężem w tamtych stronach, na chrzciny jej pierwszego syna. Gdyby też nie to, mocium dobrodzieju, za nic w świecie w tych niespokojnych czasach nie bylibyśmy się ruszyli z domu. A to paszporta, pieczęcie, kat wie co...

Staruszek gadał tam coś jeszcze, ale ja już nie słuchałem, zajęty wiadomością, że za pół godziny najdalej, będę sam jeden w tym przedziale. Błysnęła mi bowiem myśl, czy nie dałoby się jakim sposobem porozumieć z panią Teresą, a może nawet, tu na kolei wyswobodzić ją z rąk nieprzyjacielskich. Zawsze byłem skłonny do śmiałych i ryzykownych kroków, a teraz jeszcze uśmiecha mi się myśl wyrządzenia dotkliwego psikusa kapitanowi Rosotemplo, do którego czułem serdeczną nienawiść, na którym pomściłbym się z chęcią za strach, jaki mi sprawił w chacie przemytnika i za to, że jest tak gorliwym zbirem, strzegącym pani Teresy. Postać tej ślicznej kobiety, rysowała się w mej wyobraźni z całym urokiem jej wdzięcznej postaci i byłbym dał dużo za to, by ją wyswobodzić z rąk kapitana. A przytem wykonałbym odrazu zadanie, po które jechałem do stolicy. Ale czy to było możliwe? Przedział, w którym siedziałem, był trzecim z kolei, a między mną i panią Teresą, znajdował się kapitan Rosotemplo.

To wszystko przebiegało mi przez głowę, a staruszek ćmił swoje cygaro, narzekał na okropne teraźniejsze czasy, opowiadał o swej córce, jej mężu i wnuczku, który w tak burżliwej i krwawej epoce przyszedł na świat. Słuchałem go, pogrążony w moich dumaniach, odpowiadałem czasem niewiedząc co, tak, że staruszek wziął mnie albo za głupca, albo za gbura i dał pokój pogawędce, zwróciwszy się wyłącznie do

żony. Zadowolony byłem z tego bardzo, bo myśl wykradzenia pani Teresy ćwiekiem utkwiła mi w głowie. Jak to zrobię, nie wiedziałem, jedynem mojem pragnieniem było, by ta nieznośna para starych gadułów, jak najprędzej opuściła wagon i zostawiła mnie samego.

Nareszcie rozległo się przeciągłe gwizdnięcie raz i drugi, pociąg zwolnił biegu, wreszcie stanął. Staruszkowie nerwowo i pospiesznie poczęli zbierać swe bagaże, on mi się pokłonił grzecznie i wyszli. Zostałem sam i wyjrzałem przez okno. Z sali stacyjnej wybiegło kilka osób z pakunkami; drżałem, by kto nie wszedł do mego przedziału. Ale na szczęście byli to podróżni ubodzy, lub kobiety samotne, które oczywiście nie chciały z jednym mężczyzną podróżować. Rozległo się głośne zamykanie drzwiczek, zawiadowca gwizdnął i pociąg ruszył. Byłem sam.

Przez cały czas postoju pociągu na stacyi, wyglądałem przez okno, gdyż prapnąłem się przekonać, czy kapitan Rosotemplo i pani Teresa się nie ukażą. Ale pierwszy widocznie spał, a druga może nie chciała się pokazywać, dość, że okna w obu przedziałach były szczelnie zamknięte.

Teraz należało sobie ułożyć plan działania. Wyglądając oknem i przypatrując się wagonom, powziąłem śmiały zamiar. Owoczesne wagony, przed trzydziestu kilku laty, miały tuż nad kołami długą ławkę, po której wchodziło się do przedziałów i po której nawet w biegu przesuwała się służba kolejowa. Była to dość karkołomna przechadzka, ale z przykładu tego postanowiłem skorzystać.

Pociąg biegł sapiąc i stękając, nareszcie wpadł do gęstego lasu. Wyjrzałem przez okno, aby zmiarkować czy mię kto nie zobaczy, ale na szczęście wiatr był mocny i chłodny i w dodatku drobny deszcz począł padać, więc nikt z podróżnych nie miał ochoty narażać swej głowy na takie nieznośne powietrze. Wszyscy się pochowali wewnątrz wagonów, las zapowiadał, że długo jeszcze ciągnąć się będzie, była to więc jedyna chwila przyjazna do działania.

Niewiele się namyślając, zrzuciłem ze siebie płaszcz, żeby mi nie przeszkadzał w niebezpiecznej podróży po oślizgłej i mokrej ławce wagonu, otworzyłem drzwi przy pomocy laski i ostrożnie zeszedłem na ową deskę. Szło teraz, żeby się przemknąć niepostrzeżenie koło okna przedziału, w którym znajdował się kapitan Rosotemplo.

— Jeżeli kapitan śpi — mówiłem sobie — wszystko będzie dobrze. Nie zobaczy mię. I zapewne śpi, bo by przecież przez prostą ciekawość był wyjrzał, gdy pociąg zatrzymał się na stacyi.

— A jeżeli nie śpi! Ha, w tym razie schylę się, przechodząc koło jego okna i przemknę się jak cień.

Z takiem postanowieniem ruszyłem śmiało naprzód. Była to podróż ze wszech miar niebezpieczna. Pociąg biegł szybko i dygotał cały, wiatr dął mocny, deska zmoczona deszczem była ślizka. Jedno fałszywe stąpnięcie, lub złe, słabe uchwycenie się antab, a mogłem spaść i znaleść śmierć niechybną.

Ale nie czas było o tem myśleć i nie myślałem też wcale. Jedynem mojem pragnieniem w tej chwili było, bądź co bądź dostać się do okna pani Teresy; ta myśl zapełniała mi cały mózg i rządziła mną samowładnie. Szedłem wolno i ostrożnie, a zbliżywszy się do okna kapitana Rosotempla, schyliłem się jak można najniżej, żeby prawie na czworakach przemknąć się koło niego. Gdym już znajdował się prawie po drugiej stronie jego przedziału, nagle ogarnęła mię nieprzeparta chęć zajrzenia przez to okno do wnętrza. Wyprostowałem się więc i ostrożnie, zachowując się jaknajciszej, wyciągnąłem głowę i rzuciłem okiem do środka. Kapitan Rosotemplo, jak przystało na bohaterskiego oficera karabinierów, otulony w swój płasz żołnierski, nakrywszy głowę, leżał wyciągnięty na siedzeniu przedziału i spał snem sprawiedliwego. Zdawało mi się nawet, że słyszę jego donośne chrapanie, ale było to zapewne złudzenie.

Teraz już o wiele spokojniejszy zbliżyłem się do okna pani Teresy. Gdym własnie głowę wychylił i zajrzał do wnę-

trza, siedziała ona na środku wagonu i miała twarz zwróconą w przeciwną stronę. Nie mogła mię więc widzieć i przez chwilę zapomniałem o mojem bardzo niebezpiecznem położeniu, o tem, że życie moje wisi na włosku, a wpatrzyłem się z niemym zachwytem w tę śliczną główkę, na której złocistych włosach nikłe blaski dżdżystego dnia kładły się jasnemi plamami. Siedziała widocznie głęboko zamyślona, smutna i zapatrzona, jak przed jej oknem migotały drzewa lasu, a drobny deszcz siekł niemiłosiernie szyby.

Mogłem był długo, bardzo długo w niemej kontemplacyi zachwycać się tą śliczną główką, ale właśnie deszcz wzmagający się i kłujący mię jak szpilkami, przypomniał mi moją sytuacyę. Trzeba było bądź co bądź zwrócić uwagę na siebie pani Teresy, zapukałem więc silnie w okno. Nagle i szybko odwróciła twarz w moją stronę, wielkiemi, przerażonemi oczami wpatrzyła się we mnie i z nieudanym przestrachem cofnęła się i głośno krzyknęła.

Naprożno dawałem jej różne znaki, ona wciąż na pół nieprzytomna od strachu, z oczami szeroko rozwartemi, tuląc się w przeciwny kąt wagonu wołała, donośnie:

— Kto to? co to? — precz! precz! ratunku!

Nie było tu co robić Krzyki jej były tak przenikliwe i tak donośne, że zdawało mi się, iż nietylko kapitana drzemiącego w sąsiednim przedziale, ale wszystkich śpiących w pociągu obudzić mogły. Nie mogłem się nie narazić na to, by mię spostrzeżono w mej zagadkowej pozycyi na ławce wagonu i spiesznie począłem powracać do siebie. Ale znów trzeba było przechodzić koło okna kapitana. Pewny, że teraz już nie śpi, pochyliłem się jak mogłem najniżej i właśnie gdym się już znajdował na drugiej stronie okna, usłyszałem jak ono trzeszczy pod energiczną ręką heroicznego żołnierza, usiłującego je otworzyć. Niebezpieczeństwo było bardzo groźne. Przyspieszyłem kroku i wkrótce wskoczyłem do mego przedziału i drzwiczki za sobą zatrzasnąłem. Kapitan właśnie w tej chwili otworzył swe okno i począł krzyczeć co miał sił:

— Hej konduktor! konduktor! a gdy to nie pomogło, bo turkot pociągu zagłuszał jego głos, wyjął pistolet i dał z niego ognia.

Oczywiście na ten huk mnóstwo głów wychyliło się z wagonów, wychyliła się i moja, ale dzięki nabytej w tej strasznej wojnie szybkości oryentowania się w sytuacyi, cofnąłem ją natychmiast, bo przyszła mi do głowy myśl, że kapitan Rosotemplo mógł widzieć, jak wskakiwałem do przedziału, a gdy pociąg na huk jego strzału się zatrzyma, przedewszystkiem do mnie się zabierze. Trzeba więc było niebezpieczeństwu temu zapobiedz. Ledwie ta myśl powstała w mej głowie, zrodziła zaraz odpowiedni projekt, do którego wykonania w tejże chwili się zabrałem. Czapka, którą miałem na sobie, została wyrzucona na nasyp kolei, ze strony przeciwnej i kufereczek mój ściągnięty gwałtownie z siatki, został otworzony i nowe suknie, których drugi egzemplarz otrzymałem był we wsi Vola, znalazły się na wierzchu. Przebrać się, zmoczone ubranie, które mogło mię zdradzić, zapakować do kuferka, włosy wzburzyć, jak u człowieka, który ze snu się zbudził, otulić się płaszczem, przyprowadzić wszystko do porządku, było dziełem jednej chwili. Ledwie ukończyłem tę metamorfozę mej osoby, pociąg zwalniając powoli w biegu, stanął. Wtedy dopiero powtórnie wychyliłem głowę i spojrzałem na prawo i lewo, by zobaczyć, co się dzieje.

Pierwsze oczy, które spostrzegłem, wlepione we mnie z dzikim i gniewnym wyrazem, były oczy kapitana Rosotempla, złe, zaczerwienione i szeroko rozwarte. Wytrzymałem przez chwilę to spojrzenie, poczem z miną najobojętniejszą począłem się rozglądać dokoła. Mnóstwo osób wyskoczyło na nasyp nadzwyczaj przerażonych, dopytując się konduktorów i służby co się stało, kobiety krzyczały, sądząc, że jaka straszna przytrafiła się katastrofa, słowem, zamęt i wrzawa były nie do opisania.

Tymczasem kapitan Rosotemplo również wyskoczył ze swego przedziału i w jednej chwili znaleźli się przy nim czte-

rej karabinierzy, z którymi porozmawiawszy chwilkę, dwóch ustawił przy drzwiach przedziału pani Teresy, a z dwoma skierował się wprost do mnie.

Stanął przedemną, znów wlepił we mnie swe przenikliwe oczy i zapytał:

— To pan wychodziłeś z przedziału?

— Co?... nie rozumiem pańskiego pytania!

— Proszę odpowiadać wprost na moje pytanie. Czy pan w czasie biegu pociągu wychodziłeś ze swego przedziału?

— Nie! jakim sposobem mogłem wychodzić? Czy to jest możliwe?

Spojrzał na mnie strasznym wzrokiem, otworzył drzwiczki i wszedł do przedziału, a ja rzekłem:

— Spałem w chwili wyjazdu z San-Pietro, obudziło mnie dopiero nagłe zatrzymanie pociągu.

— A! pan z San-Pietro jedziesz?

— Tak.

— Kto pan jesteś?

— Jestem kupcem z Kadyksu.

— To dość daleko. Dokąd pan jedziesz?

— Do stolicy... do Bilbao.

— Hm! a po co pan tam jedziesz?

— Po towary.

Stał, patrzał na mnie, i na jego zmęczonej, czerwonej, brzydkiej twarzy malował się taki wyraz, jakby sobie mówił: »Gdzie ja u djabła tę gębę widziałem!« Przytem oglądał me suknie bacznie i zauważywszy zapewne, że są suche, zażądał pokazania sobie paszportu. Uczyniłem zadość jego woli, obejrzał go starannie, jeszcze raz obrzucił mnie i cały przedział przenikliwym wzrokiem i wyszedł nic nie mówiąc.

Odetchnąłem i za odchodzącym wychyliłem głowę. Przetrząśnięto cały pociąg, poczem kapitan i jego satelici wrócili, i tym razem wszyscy trzej wsiedli do przedziału pani Teresy. i pociąg ruszył dalej. Rzecz na razie skończyła się, ale nie byłem spokojny co do jej ostatecznych wyników i przemyśli-

wałem nad tem, czyby nie było dobrze wymknąć się z przedziału na jakiej stacyi i inną drogą dostać się do stolicy. Zamiar ten wydał mi się koniecznym, ale że w tej chwili nie mogłem go uskutecznić, więc pozostawiłem go na później, w nadziei, że okoliczności mi dopomogą.

Byłem zresztą niezadowolony mocno ze siebie, a nadewszystko z tego, że mi się usiłowanie porozumienia się z panią Teresą nie powiodło. Przyznać jednak musiałem, że nie moja była w tem wina, tylko samej pani Teresy. Dlaczego krzyczała? Czyżby mię nie poznała?

Oczywista rzecz, że mnie nie poznała. Przez zbyt krótką chwilę ukazałem się w oknie, by kobieta przerażona mocno, jaką niewątpliwie była w owej chwili pani Teresa, mogła była mię poznać. Ubrany przytem w czapeczkę fantastyczną, z miną zapewne mocno wzburzoną, z twarzą zroszoną deszczem, nie mogłem na razie przypominać człowieka, ustrojonego w sukmanę chłopską, w której mię widziała owego mrocznego poranku w chacie swego mniemanego męża. To było więc wytłumaczonem, ale dlaczego krzyczała, i dlaczego całą postawą swoją, ruchami, szeroko rozwartemi oczami wyrażała najwyższy wyraz trwogi i przerażenia?

Odpowiedź na to w tem tylko przypuszczeniu znaleźć mogłem, że tego rodzaju nagłe pojawianie się mężczyzn przed tą kobietą nie pierwszy raz musiało się przytrafić, że widocznie pod tym względem groziło jej jakieś niebezpieczeństwo, że była tem mocno zdenerwowaną i wystraszoną, ta śliczna a tak nieszczęśliwa kobieta. Na tę myśl ogarniała mię wściekłość, niestety, w tej chwili bezsilna, ale przysięgałem sobie, że przyjdzie czas, gdy i w mojej parafii będzie święto, lecz wtedy strasznie pomszczę się na kapitanie Rosotemplo.

Tymczasem pociąg biegł, mijał stacye i nic już nie zakłóciło naszej podróży. Nad wieczorem o zmroku samym, stanęliśmy nakoniec w Bilbao.

Zaznaczyć mi tu wypada, że przed przybyciem do Bilbao, byłem na tyle przezorny i ostrożny, iż swoje zmoczone

suknie wyjąłem z kuferka i wysuszyłem je, jak najstaranniej rozwiesiwszy w wagonie. Zbyt krótko znajdowałem się na deszczu, by miały zupełnie przemoknąć. Uczyniłem to zaś dlatego, że w samem mieście obawiałem się, aby mi nie rewidowano kuferka i pod tym względem nie omyliłem się wcale. Zaledwie stanęliśmy przed dworcem kolejowym w Bilbao, gdy cały pociąg otoczyli karabinierzy i wszystkie osoby wpędzono do wielkiej sali, skąd po jednej wypuszczano, oglądano paszporty, rewidowano kufry i pakunki, a czasem nawet dokonywano osobistej rewizyi. Mnie ten ostatni wypadek nie spotkał, co znaczyło, że nie byłem wsale podejrzany, kufereczek tylko starannie przetrząśnięto, ale nic w nim nie znaleziono, bo oczywiście nie byłem tak nierozsądnym, bym miał ze sobą wieźć coś podejrzanego. Nakoniec zostałem wypuszczony na ulicę, wolny i swobodny, i ja, porucznik buntowników, znajdowałem się nakoniec w stolicy rządu, mieniącego się prawowitym. Myśl ta wprawiała mię w pewien rodzaj oszołomienia i dumy, ale nad tem wszystkiem zastanawiać się nie było czasu, najlepiej i najmądrzej było jak najprędzej zniknąć z oczów gęsto snującej się policyi, co też uczyniłem. Zawołałem pierwszą lepszą dorożkę i kazałem zawieźć się do hotelu »de Paris«. Napróżno oglądałem się na wszystkie strony, kapitana Rosotemplo i pani Terezy nigdzie dostrzedz nie mogłem.

## III.

Znużony podróżą i wrażeniami, jakich w niej doznałem, a nadewszystko mając łóżko wygodne i poduszkę pod głową, czego od dziesięciu miesięcy nie znałem wcale, zasnąłem snem kamiennym i obudziłem się nazajutrz wywczasowany wybornie, rzeźki, wesoły, niemal szczęśliwy. Jakaż to cudowna pora w życiu, ta młodość! jak się w niej wszystko w najlepszych, w najbardziej różowych kolorach przedstawia! Cieszyłem się z tego, że jestem w stolicy, drwiłem sobie z niebezpieczeństw

zagrażających mi tutaj i zacierałem ręce na myśl, że panią Teresę wyrwiemy z rąk tego zbója Rosotempla.

Myśląc o pani Teresie, której niepojęty przestrach i całe zachowanie się w pociągu, popsuło moje plany porozumienia się z nią, przypomniałem sobie słodką i dobrą Józefinę. Nie widziałem jej od chwili, gdym opuścił stolicę, a od tego czasu upłynęło już dziesięć miesięcy. Co się dzieje z tą najmilszą z kobiet? z tą idealną kochanką? z tą ubóstwianą przezemnie tak długo i tak wiernie? Przypomniała mi się jej twarz różowa jak róża, jej oczy czarne, słodkie, kochane! zdawało mi się, że czuję zapach jej warkoczy i ogarnęła mię nieprzeparta chęć ujrzenia jej znowu, ucałowania tych ślicznych, jak miód słodkich usteczek.

Niegdyś, w owe czasy, gdym jeszcze mieszkał w stolicy, knuł spiski, rzucał się w wir najniebezpieczniejszych przedsięwzięć, mieliśmy z Józefiną zwyczaj uwiadamiania się nawzajem o miejscu przyszłej schadzki za pomocą gazetki *Mercatora*, bardzo rozpowszechnionej i czytanej w Bilbao. Zwykle mieściłem w takich razach ogłoszenie następujące: »25 — 4« i inicyały mego nazwiska! znaczyło to, że czekam mej najmilszej z kochanek u siebie dnia 25. danego miesiąca, o godzinie 4-tej po południu, i nigdy się nie zawiodłem. Zawsze zjawiała się o naznaczonym terminie, śliczna, rozkochana, woniejąca, dobra i słodka, choć zawsze na pół tajemnicza. Tak samo, gdy ona chciała się ze mną zobaczyć, ogłaszała w *Mercatorze* w taki sam sposób, co znaczyło, że mam jej czekać u siebie dnia tego a tego, o tej a tej godzinie. Niekiedy pisywała do mnie, ale bardzo rzadko; w ogóle zachowywała co do siebie tak wielką tajemnicę, że nietylko nie wiedziałem czyją jest żoną, gdzie mieszka, ale nawet jak się nazywa. Gdym ją pytał o to, odpowiadała z właściwym sobie miłosnem uniesieniem, rzucając mi śliczne ręce na szyję i szepcąc wśród pocałunków:

— Co ci po mojem nazwisku? czy ono zwiększy naszą miłość? lepiej, że nie wiesz. Kochasz mnie, ja cię ubóstwiam, jestem twoją, wyłącznie twoją, czegóż chcesz więcej?

Istotnie, nic więcej nie chciałem i dalej nie pytałem, owszem tajemniczość, jaką otaczała się moja kochanka, dodawała jej niepospolitego, niezwykłego rzec można uroku. A przytem w szalonym wirze wypadków, wśród których się naówczas żyło, w tem nieustannem podnieceniu i gorączce, czyż można było myśleć o tajemnicach kobiety, wprawdzie mocno kochanej, wobec leżącej przedemną olbrzymiej tajemnicy przyszłości!

Przy rozstaniu, pełnem łez i pocałunków, przy którem obdarzyła mię medalikiem Matki Boskiej ta kochana kobieta, umówiliśmy się, że jeżeli kiedy wrócę do Bilbao, dam jej znać jak zwykle za pośrednictwem *Mercatora* o swojem przybyciu. Miałem mianowicie w ogłoszeniu tem pomieścić pierwszą literę mego nazwiska, ulicę na której zatrzymałem się, numer domu, dzień i godzinę, w której czekać będę na Józefinę. Przypomniawszy sobie to wszystko, zaraz zredagowałem ogłoszenie następujące:

»V... Hôtel de Paris, 27. września, 6«. Znaczyło to, że czekać ją będę tegoż samego dnia o godzinie 6-tej wieczorem.

Ubrałem się z całą elegancyą, na jaką mi pozwalały suknie, otrzymane we dworze folwarku Voli, zabierałem się już do wyjścia z zamiarem wstąpienia na śniadanie do kawiarni na ulicy Longa, w celu zbadania gruntu, gdzie dziś właśnie popołudniu miałem się spotkać z tajemniczym nieznajomym, wskazanym mi przez pułkownika Sigismondo, potem pójść do redakcyi *Mercatora* dla pomieszczenia w nim ogłoszenia, gdy nagle w ciszy, panującej w hotelu, usłyszałem tęskne dźwięki gitary i dobrze mi znany głos Karola Laskonogiego, nucący sentymentalną śpiewkę:

»Wyszła Filis do ogrodu
Gdyby jakie książę«...

A więc Laskonogi już przyjechał. Ucieszyło mię to bardzo. Prawdopodobnie siadł na pociąg nocny i przybył niedawno. Otworzyłem okno, chcąc się przekonać, skąd głos po-

chodzi i na wielką moją radość, ujrzałem w oficynie, naprzeciwko, siedzącego w oknie, Karola, w jego fantastycznym stroju, brzdąkającego na gitarze i nucącego z zapałem:

»Napotkała kupidyna jak wiązankę wiąże«.

Na trzask otwieranego okna spojrzał na mnie, ale był na tyle przezorny, że nie zmienił swej postawy, tylko improwizując, śpiewał dalej:

»Rzekł Kupido, otóż jestem moja miła;
Wcalem ci się nie spóźniła,
Gdzie cię spotkać mogę?«

Wiersze były nieosobliwsze, ale jako na prędce stworzone znośne, a nadewszystko miały tę zaletę, iż je doskonale odrazu zrozumiałem. Cofnąłem się w głąb pokoju, i na kartce papieru napisałem ogromnemi literami, co następuje:

»Wyjdź do kawiarni Julii na ulicy Longa«.

Przeczytał, wciąż brzdąkając na gitarze i nucił:

»Boska Filis w taką biedę,
Zaraz spieszę, zaraz idę..«

Włożyłem kapelusz na głowę i wyszedłem pierwszy. Na ulicy starałem się zachować minę, postawę i maniery dandysa wielkomiejskiego. Szedłem wolno, cieńką laseczką wywijałem, kobietom w oczy zaglądałem i tak doszedłem do kawiarni owej tajemniczej Julii. Była to sobie niewielka kamieniczka, z drzwiami szklanemi, na ulicę wychodzącemi, ze znakiem nad niemi, na którym wielkiemi, żółtemi literami było wypisane: »Kawa, herbata, czekolada, mleko« a pod spodem kryło się wstydliwie malenkiem pismem oznaczone imię »Julia« i nic więcej. Wszedłem i za tak zwanym »komtuarem«, trochę w ciemnej głębi umieszczonym, dostrzegłem otyłą, niemłodą już jejmość, ubraną ciemno, z jakąś kokardką fijołkowego koloru na czarnych i lśniących włosach. Dama ta, nosząca na twarzy wyraźne znamiona typu żydowskiego, niegdyś zapewne bardzo ładna, dziś usiłująca starzejące wdzięki

ratować przeróżnymi kosmetykami, obrzuciła mię wchodzącego okiem podejrzliwem i badawczem i gdym zażądał kawy, uśmiechnęła się uprzejmie nie spuszczając ze mnie wzroku i wskazując mi ręką otwarte drzwi do następnych pokojów, rzekła głosem wcale jeszcze miłym:

— Proszę pana dalej! Karolino! Pan chce kawy!

W drugim pokoju zjawiła się przedemną zgrabna acz niemłoda już panienka, zapewne owa Karolina, w biały fartuszek zalotnie przybrana, i trzymając obie ręce w kieszeniach tego fartuszka, zapytała:

— Pan chce kawy?

— Tak.

— Zaraz będzie.

I wybiegła, a ja obejrzałem się dokoła. W pokoju oprócz starego jakiegoś jegomości w okularach, ślęczącego w kącie nad gazetą, nikogo więcej nie było. W dwóch następnych także były pustki. Umieściłem się więc w trzecim, najmniejszym, trochę ciemnym, z oknem wychodzącem na dziedziniec domu i oglądając bacznie całe otoczenie, czekałem na kawę. Ale niebawem zjawiła się nowa panna, młoda, szatynka, wcale ładna, nerwowa nadzwyczajnie i obrzucając mię wzrokiem badawczem, zapytała:

— Czem panu służyć mogę?

— Prosiłem o kawę.

— Kogo pan prosił? mnie nie!

— Jakąś pannę... Karolinę, zdaje się.

— W tym pokoju ja posługuję. Czy pan tu chce pozostać?

— Tak.

— A więc ja panu przyniosę kawy. Czy pan kogo tu czeka? czy pan lubi mocną kawę?

Dziwnemi wydały mi się te pytania, więc odrzekłem trochę szorstko:

— Nie czekam nikogo, a choćbym czekał, to do rzeczy nie należy: kawę wolę mocniejszą.

Już nic nie rzekła, tylko ruszywszy pogardliwie ramionami, krokiem wolnym i majestatycznym wyszła, a niebawem usłyszałem piskliwy głos Laskonogiego, który wołał:

— Boska damo, racz posilić moje zwątlone członki gorącą, jak twe serce, kawą.

Zaraz też zjawił się we drzwiach pokoju, w którym siedziałem i chwiejąc się na swych cienkich i długich nogach, zawołał tonem patetycznym, zacierając ręce:

— Przebóg! kogo ja widzę: Don Diego! a cóż pan tu robisz?

— Jak się masz Don Carlosie — odrzekłem spokojnie — to ja raczej powinienem spytać, co ty tu robisz?

— Ja! los mną miota, jak wiatr liściem jesiennym... ale pozwól pan, że ośmielę się usiąść przy tobie, by napić się napoju najlepszego w świecie, jaki z rąk tej nowożytnej Hebe otrzymamy.

Ostatni komplement zwrócony był do usługującej, nerwowej dziewczyny, która przyniosła dla mnie kawę i nie przestawała bacznie nam obu przypatrywać się. Kiedy jej Karol oświadczył ze zwykłą sobie przesadą, że także pragnie kawy, i gdy wyszła, by spełnić to zlecenie, szepnąłem do niego:

— Bądź ostrożny! nic nie mów! ta dziewczyna widocznie ma oko na nas. Kiedy przybyłeś?

— Dziś rano. Strasznie jestem zmęczony.

— Nikt cię nie śledził?

Nikt.

— Wróć zaraz do siebie i siedź w numerze. Gdy będę potrzebował ciebie, napiszę wielkiemi literami na papierze, tak samo jak dziś. Zresztą nie znamy się wcale. Rozumiesz?

— Rozumiem!

— Czy nie wiesz nic o Burczymusze?

— Nic nie wiem.

— A teraz milczenie. Mówmy o rzeczach obojętnych i po wypiciu kawy rozejdźmy się zaraz. Atmosfera w tej kawiarni jest przesiąknięta podejrzliwością.

— Dobrze. Gdy ja będę chciał zobaczyć się z porucznikiem, to zaśpiewam przy dźwiękach gitary znany romans: »Ujrzałem raz i kocham już«. Czy dobrze?

— Wybornie, ale tss! dziewczyna nadchodzi.

Wypiliśmy kawę dość prędko, rozmawiając o rzeczach potocznych, o cenie towarów bławatnych i sukna, o ciężkich czasach na handel i t. p. Dziewczyna, owa nerwowa istota, ani na chwilę nie opuściła pokoju, w którym siedzieliśmy, ale zająwszy miejsce w kąciku, wyjęła z kieszeni jakąś robótkę kobiecą i niby nią wyłącznie była zajętą, a w rzeczy samej słuchała pilnie tego, cośmy mówili. Co prawda, nie miała czego bardzo słuchać, ale wszystko to świadczyło jak należy być ostrożnym na zwulkanizowanym gruncie stolicy.

To też gdyśmy razem z Karolem Laskonogim wyszli z kawiarni, szepnąłem mu na odchodnem:

— Bądź nadzwyczaj ostrożny i baczny na wszystko. Pamiętaj, że się nie znamy wcale. Do tej kawiarni więcej nie przychodź!

Karol kiwnął głową i wrócił do hotelu kołysząc się na swych nogach zabawnie i nucąc jakąś piosnkę, a ja poszedłem do redakcyi *Mercatora*, by umieścić ogłoszenie, przeznaczone dla mej ślicznej i nigdy nie zapomnianej Józefiny.

## IV.

Po południu tegoż dnia, punktualnie o godzinie trzeciej, zjawiłem się znowu w kawiarni Julii na ulicy Longa. Zastałem tu dużo osób i gwar nie mały. Siedząca za komtuarem pani Julia, obrzuciła mię jeszcze bardziej badawczym i podejrzliwym wzrokiem niż rano, ale uśmiechnęła się z wdziękiem, gdym się jej kłaniał; panna Karolina w pierwszym pokoju na mój widok pogardliwie wydęła różowe od różu usta i czułem, że mnie przeprowadza wejrzeniem swych piwnych oczu. W trzecim pokoju nerwowa panna Izabela, bo tak jej było na imię, jakem się później przekonał, z wyraźną niechęcią

mię powitała, co wszystko świadczyło, że moją figurę mają w mocnem podejrzeniu, i że nie jestem tu dobrze widziany.

W pokoju tym, teraz mroczniejszym niż rano, siedziało trzech mężczyzn, zajętych czytaniem gazet. Gęsty tytuniowy dym wznosił się obłokami pod powałą tej izby niskiej i małej i zaciemniał ją jeszcze bardziej, a atmosferę czynił duszną. Twarzy owych mężczyzn dostrzedz nie mogłem. Wszyscy mieli je zakryte gazetami, zresztą nie wypadało im bliżej przypatrywać się i spostrzegłem tylko, że jeden z nich, w chwili gdym wszedł do tego pokoju w kapeluszu na głowie, jak mi nakazywała instrukcya, wychylił z poza gazety duże, bystre, stalowej barwy oko, i obejrzał mię od stóp do głowy.

Zbliżyłem się do niezajętego stoliczka, zdjąłem kapelusz i kładąc go ostentacyjnie na stole dnem na dół, zawołałem głośno:

— Proszę kawy czarnej i gazety.

Panna Izabela bacznie spojrzała na mnie i natychmiast wyszła, a ja siadłem przy stoliku i począłem bębnić palcami marsza wojennego, z trzykrotnemi przerwami, nie oglądając się wcale.

W tejże chwili jeden z mężczyzn wstał i zbliżył się do mnie i wręczając mi gazetę, rzekł głosem stłumionym:

— Proszę pana, oto gazeta, już ją przeczytałem.

Na te słowa, jakkolwiek byłem na nie przygotowany, zmieszałem się mocno, zerwałem się na równe nogi i wpatrzyłem się w onego ofiarującego mi gazetę.

Przedemną stał mężczyza młody, może dwadzieścia kilka lat liczący, wysoki, szczupły, zgrabny i zręczny w ruchach, z miną pańską i imponującą. Twarz ściągła, o ostrych, dobrze zaakcentowanych rysach, włosy ciemne, fantastycznie rozwichrzone, wielkie, stalowego koloru oczy, przykryte binoklami, patrzące na mnie bystro i przenikliwie — ot portret nieznajomego.

Oprzytomniałem jednak bardzo prędko i biorąc gazetę rzekłem:

— Bardzo panu dziękuję za jego uprzejmość!

Wtedy mężczyzna obejrzał się szybko dokoła i palce położył na ustach i siadł na swem dawnem miejscu i począł pić najobojętniej na świecie kawę czarną.

Oczywiście nic mi nie pozostawało do roboty, jak zrobić to samo i czekać. Usiadłem więc i zabrałem się do odczytywania w gazecie jakiegoś nudnego artykułu, którego zresztą nic a nic nie rozumiałem, zajęty wyłącznie myślą, co dalej będzie. Niebawem zjawiła się panna Izabela niosąc dymiącą się filiżankę kawy czarnej i zauważyłem, że w przelocie spojrzała na mężczyznę, który mi ofiarował gazetę i który dał dziewczynie oczami jakiś znak porozumienia. Wtedy panna Izabela stawiając przedemną kawę, tak się umieściła, że do dwóch siedzących nieruchomie obcych mężczyzn zwróciła się tyłem i pod pozorem starcia fartuszkiem stolika, położyła przedemną kartkę, na której ołówkiem, pismem dość niewprawnem, zapewne przez samą pannę Izabelę skreślonem, znajdowały się słowa następujące:

»Ostrożność! Czekać aż dwaj szpiedzy wyjdą«.

Szybko przeczytałem tę kartkę, którą panna Izabela natychmiast zgniotła w ręku, i rzekłem:

— Dziękuję!

Potem zabrałem się do dalszego odczytywania nudnego artykułu o zalewie Europy przez zboże amerykańskie. W pokoju przez nas czterech zajętym panowała cisza, słychać było tylko szelest przewracanych kart gazety; z innych izb dochodził gwar rozmów, wesołe śmiechy, urywane słowa. Uprzedzony, że dwaj jegomoście, siedzący za mną, byli szpiegami, starałem się nieznacznie przypatrzeć ich fizyognomii, co mi dość trudno przychodziło, bo zakrywali się wielkiemi płachtami dzienników. Z tem wszystkiem obejrzałem ich niepostrzeżenie bardzo dobrze i fizyognomie wyryłem sobie w pamięci. Zwłaszcza twarz jednego z nich na zawsze mi będzie pamiętną, bo przyszło mi z nim zetknąć się kilkakrotnie później przy bardzo ważnych i bardzo niebezpiecznych dla mnie

wypadkach. Był to niemłody już, może czterdziestokilkoletni mężczyzna, z głową łysą jak kolano, którą jednak często jakem się z czasem przekonał, dla niepoznania pokrywał rudą peruką, o twarzy ospowatej, starannie wygolonej, dużej, nalanej i niezdrowej, ustach grubych, zmysłowych, wielkim podbródku i oczach, zakrytych ciemnemi okularami. Ubierał się niestarannie, klapy surduta miał zawsze mocno zaplamione, był otyły, ciężki, sapiący mocno. Teraz siedział za gazetą, z nogami wyciągniętemi, na których miał buty nieoczyszczone, wytarte i zabłocone i słychać było jego oddech głośny, świszczący, i czytał niby gazetę, ale co chwila okulary jego czarne wychylały się z poza wielkiej płachty *Gazety di Espana*, której tytuł tłustemi literami wydrukowany widziałem doskonale, i wpatrywały się we mnie bacznie.

Zauważywszy to, zachowywałem minę obojętną i zaczytywałem się w śmiertelnie nudnym artykule o zalewie Europy przez zboże amerykańskie, i obserwując szpiega, nie omieszkałem także przypatrywać się drugiemu jegomości, który zagłębiony był w *Mercatorze*. Ten stanowił zupełny kontrast z tłustym i brzydkim swoim towarzyszem: wysoki, chudy, ale tak chudy, że każda kość i każdy muszkuł na jego twarzy można było policzyć, ubrany był z pewną elegancyą, w czarny tużurek, w śnieżnej białości koszulę, pełną kosztownych zapinek, w krawat fioletowej barwy, spięty koralem, z włosami jasnego koloru, starannie uczesanemi na środku, bokobrodami po obu stronach twarzy, z wyrazem na niej słodkim i łagodnym, w butach lakierowanych, z laseczką, którą ściskał między kolanami, z łańcuszkiem od zegarka złotym i ozdobionym mnóstwem breloków, trzymał w białej, wytwornej choć chudej ręce, na której palcach świeciły pierścionki kosztowne, gazetę niedbale, niby czytał, ziewał głośno i łagodnemi niebieskiemi oczami spoglądał na mnie, na swego towarzysza, oraz na nieznajomego spiskowca, z miną niby znudzoną i obojętną.

Takie wzajemne obserwowanie się trwało jakiś czas, wreszcie ów ostatni elegant wstał, ziewnął, laseczką strzepnął

swe modnie skrojone spodenki i zadzwonił łyżeczką w filiżankę od kawy.

Zjawiła się panna Izabella.

— Żabciu! — rzekł słodkim głosem elegancik — chcę zapłacić.

— Proszę.

Wyjął pieniądze, położył je na stole, a gdy Żabcia je zbierała i sięgała ręką do kieszeni fartuszka, by wydać resztę, wziął ją pod brodę i głaskał po ładnej, ale mizernej twarzyczce dziewczynę. Ta cofnęła się, z całaj siły uderzyła go w rękę i rzekła szorstko:

— Tylko proszę bez tych poufałości... łapy przy sobie!

— Żabciu, serce — rzekł na to elegancik, śmiejąc się głośno — czemu dziś jesteś dla mnie tak okrutną?

Nic na to nie odrzekła, pogardliwie ruszyła ramionami, rzuciła na stół resztę, zabrała filiżankę i wyszła z pokoju.

Elegancik powoli włożył na ręce paliowego koloru rękawiczki, nadział na głowę lśniący cylinder i nucąc półgłosem jakąś aryę operetkową, ruszył naprzód. Przy samych drzwiach odwrócił się, popatrzał przez chwilę na mnie, a oczy jego nagle przybrały przerażająco zimny, stalowo przeszywający wyraz, potem spojrzał na jegomościa w ciemnych okularach i wyszedł.

Jegomość w ciemnych okularach siedział jeszcze przez jakiś czas, potem położył gazetę, dopił resztę kawy czarnej, uiścił na stole zapłatę za nią, nadział na głowę brudny i zmiętoszony kapelusz i z kąta wydobył grubą, sękatą laskę, podobną do pałki, i sapiąc głośno, potoczył się ku wyjściu. Zostaliśmy sami.

Zwróciłem się zaraz do siedzącego nieruchomie uprzejmego towarzysza i chciałem z nim zacząć rozmowę, gdy ten syknął, położył palec do ust i szepnął:

— On wróci. Umyślnie zostawił chustkę.

W rzeczy samej na krześle, na którem siedział otyły jegomość, leżała czerwona, kraciasta chustka niby przez zapo-

mnienie zostawiona. Zaraz też we drzwiach ukazała się Żabcia, z twarzą zwróconą do sąsiedniego pokoju, z ręką wyciągniętą do nas, jak gdyby dając nam znak, byśmy się nie ruszali. To też nie ruszyłem się wcale, wziąłem położoną na stole gazetę i znów począłem czytać z zapałem artykuł o zalewie Europy przez zboże amerykańskie.

Trwało to kilka minut, gdy nagle Żabcia poruszyła się, rzekłszy półgłosem:

— Idzie!

Znikła w sąsiednim pokoju.

Niebawem zjawił się ów tłusty, sapiący głośno jegomość, zadyszany, spocony. Przez chwilę zatrzymał się we drzwiach i z poza ciemnych swoich okularów obrzucił wzrokiem badawczo cały pokój. Ale w niczem nie spostrzegł zmiany. Mój towarzysz siedział tak samo jak przedtem na swojem miejscu, z nogą na nogę założoną i palił cygaro; ja ciągle w tej samej pozie rozczytywałem się w artykule o zbożu amerykańskim, zagrażającym produkcyi europejskiej.

— Zostawiłem tu tego... ten... gdzieś chustkę! — rzekł głosem stłumionym, zdyszanym i grubym, na pół do nas, na pół do Żabci, która się za nim ukazała.

— Pan zawsze musisz coś zostawić! — odrzekła Żabcia z ironią widoczną w głosie.

— Co robić, moje dziecko — odpowiedział pokornie — stary już jestem i pamięć mi nie dopisuje tego... ten... jak ty będziesz miała te lata co ja, to także tego... ten... nie będziesz miała pamięci.

Wydęła pogardliwie usteczka i rzekła!

— Cieszyłabym się bardzo, aby panu kto ukradł jego pozostawiane zawsze rzeczy.

— Hm... moje dziecko... życzenie brzydkie i niechrześcijańskie... a przytem tego... ten... do zakładu tego złodzieje przecież nie chodzą...

Nic nie odrzekła, tak samo jak przed elgancikiem pogardliwie wzruszyła ramionami i odwróciła się tyłem do sa-

piącego jegomościa. Ten wziął chustkę z krzesła i pakując ją, nieco zadługo do kieszeni, nie przestawał z poza ciemnych okularów obrzucać nas pozostałych podejrzliwym wzrokiem. Nakoniec wyszedł, a Żabcia znów umieściła się we drzwiach.

Wtedy nieznajony nie wstając z krzesła, pochylił się ku mnie i na pół głośno spytał:

— Czy porucznik Valery?

— Tak!

— Nie mamy czasu na dłuższą rozmowę. Idź pan zaraz na ulicę di Smola, pod numer ***, do mieszkania pani Rocric... zadzwoń trzy razy w równych przestankach i gdy ci otworzą, rzeknij: »Ferdynand i Izabela«. Do widzenia! ja tam także przybędę. A na ulicy zręcznie się oglądnij, czy ten szpieg gruby nie śledzi cię czasem. Pozdrowienie i braterswo!

To rzekłszy, włożył kapelusz na głowę, uścisnął rączkę Żabci i zniknął.

## V.

Posiedziałem jeszcze trochę w kawiarni, a gdy znów do pokoju weszło kilka osób, skorzystałem z zamieszania i gwaru stąd powstałego, i nieznacznie wymknąłem się na ulicę. Tutaj zatrzymałem się na chwilę i zapinając palto, a ziewając głośno, jak człowiek znudzony i nie mający celu przed sobą, wolno i obojętnie obejrzałem się na wszystkie strony. Ruch był duży; mnóstwo osób przechodziło, młodzież szkolna wracając z lekcyi z głośnemi rozmowami i swawolą biegła, cały szereg fiakrów z trzaskiem i hukiem się mijał. A choć bacznie i pilnie patrzyłem, nie dostrzegłem nic podejrzanego i owego grubego jegomościa, który miał być szpiegiem, wcale nie zauważyłem. Nie dowodziło to jednak niczego. Mógł się gdzie ukryć i stamtąd mię śledzić. Dlatego też zapiąwszy szczelnie palto i postawiwszy kołnierz, nacisnąłem kapelusz na głowę, bo zimny wiatr zerwał się i z rękami w kieszeniach, ale wytężonem okiem, ruszyłem naprzód.

Na skręcie na inną ulicę zatrzymałem się nagle przed piękną wystawą sklepową i nieznacznie na prawo i lewo rzuciłem okiem. O kilkanaście kroków za mną mój gruby jegomość stał także przed wystawą, ogromnie niby zajęty przyglądaniem się przedmiotom, ułożonym za szybą.

— Źle! — pomyślałem sobie — ten łotr mię szpieguje. Trzeba go się, bądź cobądź, pozbyć. Nie mogę go przecież zaprowadzić na ulicę »di Smola«, ani też do hotelu »de Paris«. Nie taki on widać głupi jak się zdaje. Uwagi jego nie uszły znaki porozumienia się mojego z nieznajomym w kawiarni. Szczwany to lis jakiś, ale czekaj, braciszku, trafiłeś na gracza, który ci nie mało narobi kłopotu.

Tak sobie mówiłem, ale w gruncie rzeczy byłem bardzo niespokojny. Wprawdzie, za mojego dawniejszego pobytu w stolicy, miałem nieraz szpiegów na swoich piętach i zawsze udawało mi się wyprowadzić ich w pole. Miałem w tym względzie dużą wprawę, a wojna kilkomiesięczna wprawę tę znacznie wydoskonaliła. Ale inna rzecz zacierać ślady w polu a inna w wielkiem mieście. Przytem było to bardzo złem, że zaraz z samego początku mojego przybycia do stolicy wpadłem w oko szpiegom. Trzeba było zatem użyć wszystkich sił, wszystkiej mojej inteligencyi i zręczności, by się wymknąć postępującemu za mną policyantowi.

Ale jak? Mogłem nagle skoczyć do pierwszego lepszego przejeżdżającego fiakra i skorzystać z krótkiej chwili nim szpieg znajdzie dla siebie powóz i tym sposobem uciec, ale z drugiej strony miałem przed sobą długą, pustą ulicę, pozbawioną na znacznej przestrzeni przecznic i ucieczka była niepodobną. Przy chodnikach stały całe szeregi fiakrów, oczekując na podróżnych i szpieg znalazłby zaraz dorożkę, którą puściłby się w pościg za mną. Przytem przypomniałem sobie rozporządzenie wydane niedawno, przez gubernatora miasta, aby fiakry na każde skinienie policyantów się zatrzymywały. Mógł ścigający mnie szpieg gwizdnąć, mógł pierwszemu lepszemu policyantowi wskazać moją dorożkę i mogłem być

złapany, osaczony jak zwierz dziki. Nie! najlepiej powierzyć się własnym nogom.

Męcząc mój umysł dla wyszukania jakiego wyjścia z arcyniebezpiecznego położenia, w jakiem się znalazłem, przypomniałem sobie, że ścigający mię szpieg jest otyły i ma krótki oddech. Ja zaś byłem szczupły, wysuszony wichrami i znojami kilkomiesięcznej walki i umiałem biegać doskonale.

— Zdystansuję łotra! — szepnąłem sobie.

Ale ponieważ dotąd szedłem dość wolno, jak człowiek nie mający nic do roboty i przechadzający się dla zabicia szasu po ulicach, trzeba było czemś usprawiedliwić moje nagłe przyspieszenie kroku. Na szczęście znalazłem się przed sklepem zegarmistrza. Zatrzymałem się przed nim i wyjąłem zegarek dla porównania niby, czy się zgadza z godziną wskazywaną przez wielki cyferblat, wystawiony w oknie. Stojąc tak, nieznacznie rzuciłem okiem za siebie i dostrzegłem, że mój jegomość ciągle w jednakiej za mną odległości postępuje.

Patrzę więc na zegar i nagle uderzam się ręką w czoło, jak człowiek który sobie coś przypomniał, poprawiam kołnierza u palta i posuwam się krokiem możliwie najszybszym naprzód. Wiedziałem, że na końcu ulicy, przy zetknięciu się jej z inną, znajduje się dom przechodni. Postanowiłem wpaść do tego domu, przebiedz przezeń i znalazłszy się na jednej z najpryncypalniejszych arteryj miasta, skoczyć tam do fiakra i obiecawszy mu dobrą zapłatę, uciec. Biegnę więc i chcąc się przekonać, jak się zachowuje wobec tej nowej ewentualności mój szpieg ścigający mię, rzucam się nagle w poprzek ulicy na drugą jej stronę i pod pozorem uniknienia nadjeżdżającego fiakra, spoglądam w bok. Na moje wielkie przerażenie, widzę, że odległość wcale się między nami nie zmniejszyła, że mój szpieg mimo tuszy, jest piechurem doskonałym, wyćwiczonym, widocznie przywykłym do tego rodzaju pościgów.

— No! — pocieszam się — z początku to jeszcze jako tako, ale niedługo będziesz mógł wytrzymać taki szalony bieg.

Lecę więc dalej i wpadam w sień domu przechodniego. Przebiegam ją z przyspieszoną szybkością i gdy się wydostaję na ową pryncypalną ulicę, zatrzymuję się chwilę by spojrzeć, czy fiakra niema w pobliżu, oraz oglądam się poza siebie. W odległości może dziesięciu kroków, w głębi sieni domu przechodniego, widzę mego szpiega.

Na ten widok ogarnęła mię rozpacz i wściekłość. Miałem ochotę rzucić się na niego i zdusić w rękach to wstrętne indywidyum. Ale oczywiście to nie uratowałoby mię wcale; to też głucha ogarnęła mię rozpacz, bo się pokazało, że dotychczasowa moja taktyka do niczego nie prowadzi i biłem się z myślami, co dalej robić.

W tejże chwili, tuż przy mnie, ozwał się jakiś słodki, znany mi dobrze, pełen rozkosznych dla mnie wspomnień, głosik kobiecy:

— Valery!

Tak, to ona, moja ubóstwiana Józefina stała przedemną. Ubrana ciemno, wykwintnie, z właściwym sobie wytwornym gustem, z całym wdziękiem swej uroczej postaci, wyciągała do mnie maleńką rączkę i pełnemi nieopisanej łagodności czarnemi oczami, patrzała na moją rozognioną twarz. Zjawisko to było dla mnie tak niespodziewane, że skamieniałem na miejscu, ale zaraz przyszedłem do siebie i ogarnięty szałem budzącego się uczucia, zapomniałem o mem rozpaczliwem położeniu, o tem, że po piętach szpieg mi depce, o wszystkiem, a tylko chwyciłem tę śliczną rączkę, i całowałem ją namiętnie, szepcząc:

— Tak, to ja, to ja, Dusiu! — tak ją zdrobniale nazywałem — ja, twój Valery... twój do śmierci.

Ale nagle, przez jeden z tych instynktów właściwych człowiekowi znajdującemu się w niebezpieczeństwie, obejrzałem się i ujrzałem o kilka kroków mojego szpiega, który stał i swemi złemi oczami przypatrywał się niespodziewanej zapewne dla siebie scenie. I wtedy stało się coś dla mnie niepojętego. Szpieg nagle zbliżył się, uśmiechnął ukazując szereg

czarnych zębów, sapiąc głośno, i z wielkiem uszanowaniem ukłonił się Dusi. Ta spojrzała na niego i ledwie raczyła kiwnąć główką, a szpieg wolnym krokiem oddalił się i znikł mi wkrótce z oczu.

Zdumiony nadzwyczajnie tem niespodziewanem postąpieniem policyanta, zwróciłem się do Dusi i zawołałem tonem może nieco za gwałtownym, ale usprawiedliwionym mojem nerwowem podrażnieniem:

— Jakto! ty znasz tego człowieka?

— Tak, jest to znajomy mego męża.

— Twego męża? a wiesz, kto jest ten człowiek?

Na jej ślicznych, pobladłych mocno usteczkach, zawisł bolesny uśmiech i szepnęła, patrząc mi miłośnie w oczy:

— Prawie... domyślam się tego...

— Czy wiesz, że ten człowiek od godziny mię szpieguje, depce mi po piętach — to jest szpieg!

Z jej ust znikł ów bolesny uśmiech i rzekła poważnie:

— Bądź spokojny, najmilszy... przynajmniej w tej chwili jesteś od niego wolny...

— Ale dlaczego? co się stało?

— Dlatego, że cię zobaczył witającego się ze mną.

— Dlatego?... któż więc ty jesteś, co masz taki wpływ na szpiegów rządowych?...

— Ja... ja... jestem niby żoną, niby mego męża...

— A któż jest twój mąż?...

— Przez chwilę milczała, wreszcie rzekła:

— Tyle razy cię prosiłam, byś mię o to nie pytał — i znowu zatruwasz mi tem pytaniem chwilę, gdym cię po tylu miesiącach niespodzianie ujrzała. Czy dawno jesteś w Bilbao?

— Od wczoraj wieczór, pomieściłem nawet w *Mercatorze* zwykłe ogłoszenie, uwiadamiające cię o mojem przybyciu i zapraszające na schadzkę na dziś, na godzinę szóstą po południu.

— Już późno... szósta dochodzi... a zresztą — dodała po chwilowem namyśle — wszystko mi jedno. Tak jestem

zatęskniona za tobą, żem na wszelkie niebezpieczeństwa gotowa. Prowadź mię do siebie... bo zapewne u siebie chciałeś mię przyjąć...

Słowa te przypomniały mi, że ja mam iść na ulicę »di Smola«. Zapomniałem z kretesem najprzód pod wpływem grożącego mi ze strony szpiega prześladowania, a potem pod czarem oczów Dusi, o zleceniu jakie otrzymałem od nieznajomego w kawiarni. Zapomnienie to było ze wszech miar karygodnem. Oprzytomniałem zupełnie.

— Przebacz, moja najmilsza z kobiet... przebacz — rzekłem — nie mogę cię teraz przyjąć. Nie obliczyłem się z czasem. Mam ważne do spełnienia zlecenie, muszę tam zaraz biedz.

Stała przedemną nadzwyczajnie niespokojna, co chwila oglądała się i powoli w czasie rozmowy, wciągnęła mię w ciemną sień domu przechodniego.

— Trzeba się rozstać — rzekła wreszcie — ale koniecznie musimy się zobaczyć. Nasze położenie jest bardzo... bardzo złe.

W oczach jej zajaśniały łzy i dodała z tem namiętnem uniesieniem, stanowiącem tło jej charakteru:

— O, jakże ja cię kocham! Po tylu miesiącach niewidzenia, ujrzeć cię znowu i w takiem położeniu! Jedna chwila, fatalizm jakiś, wszystko popsuł, wszystko naraził.

— Nie rozumiem cię Dusiu, wytłumacz mi co znaczą twoje obawy?

— W tej chwili nie mogę. Czyż nie widzisz, że stoję jak na rozpalonych węglach? Musimy się zobaczyć koniecznie, jaknajprędzej. Wtedy wszystko ci wytłumaczę. O! mój najdroższy, jacyśmy nieszczęśliwi!

Łzy po bladej twarzyczce ciec poczęły kroplami.

— Widzieć cię — dodała półgłosem — i nie módz cię ucałować, objąć twej szyi, umrzeć w twoich objęciach!... Ale — dodała siląc się na spokój, dość tego... kiedy i gdzie mogę cię zobaczyć?

— Nie wiem kiedy wrócę. Ale sądzę, że za dwie godziny... dzisiaj o godzinie ósmej wieczorem będę wolny. Stoję w »Hôtel de Paris« numer szesnasty!

— Dziś wieczorem o ósmej! — powtórzyła — to prawie niemożliwe. Ale... postaram się, nie mamy chwili czasu do stracenia. Musimy się naradzić. Gdybym jednak dziś nie mogła być u ciebie, czekaj mię jutro o dziesiątej rano.

— Dobrze, będę czekał.

— A teraz do widzenia, mój najdroższy, mój jedyny, mój! mój!

Zrobiła taki ruch, jakby mi się chciała rzucić na szyję, ale przemogła się, podała mi śliczną rączkę, uścisnęła mię mocno i szlochając cicho, znikła.

Patrzałem przez chwilę na odchodzącą z sercem ściśniętem i pełen bolu nieopisanego, smutku i najgorszych przeczuć, ruszyłem na ulicę »di Smola«.

## VI.

Zstąpiłem ze schodów kamiennych, które od strony ulicy prowadziły do domu przechodniego i oglądając się dokoła, czy nie zobaczę gdzie ukrytego otyłego szpiega, zawołałem dorożkę. Kazałem mu podnieść budę i jeszcze raz rzuciwszy badawczo okiem na prawo i lewo, i nie spostrzegając nic podejrzanego, skoczyłem do powozu, mówiąc woźnicy by ruszył na ulicę »di Smola«.

Przybywszy tam po wskazany numer, wyszedłem z dorożki i płacąc za kurs pilnie rozglądałem się na wszystkie strony, czy nie jestem ścigany. Ulica »di Smola«, wązka, ciasna, zabudowana wysokiemi kamienicami, mało ożywiona, była prawie pustą. Ani jednego fiakra na niej nie było, a kilku przechodniów biegło otulonych w płaszcze i palta, bo zimny wiatr jesienny wył przeraźliwie i mroził do kości.

Przekonany, że jeżeli po rozstaniu się z Dusią, otyły szpieg śledził mię gdzie z jakiego ukrycia, to teraz wymkną-

łem mu się zupełnie, wszedłem, uspokojony przynajmniej co do tego, pod wskazany mi numer. Odźwierny wskazał mi mieszkanie pani Rocric. Znajdowało się ono w niewielkiej oficynie bocznej na pierwszem piętrze.

Zadzwoniłem trzy razy z przestankami, jak mi nakazywała instrukcya i po stosunkowo dość długiem oczekiwaniu, usłyszałem szelest sukni kobiecej, drzwi cicho się otworzyły i ujrzałem przed sobą niemłodą, może czterdziestoletnią, nieco otyłą, silną brunetkę, ze śladami niepospolitej niegdyś piękności. Stała, trzymając drzwi na pół uchylone i wpatrywała się we mnie badawczo z niemem pytaniem na ustach. Skłoniłem się i szepnąłem:

— Ferdynand i Izabela.

Roztworzyła drzwi szeroko i półgłosem rzekła:

— Proszę!

Gdym wszedł, zamknęła za mną drzwi starannie na zasuwę i tym samym półszeptem spytała:

— Czy porucznik Valery?

— Tak.

— Generał czeka na pana oddawna. Proszę tutaj!

Przeszła przez ciemny korytarzyk, na który wychodziło czworo drzwi, jedne z nich otworzyła i giestem zaprosiła mię do wejścia. Gdym to uczynił, drzwi za mną zamknięto.

W niewielkim pokoiku, o jednem oknie, starannie osłoniętem firankami, oświeconym przez lampę, bo mrok już padał, zastałem siedzącego przy biurku generała Casobi, zajętego przeglądaniem jakichś papierów. Gdy usłyszał moje wejście, odsunął papiery, przykrył je przyciskiem, powstał i przystąpiwszy parę kroków, wyciągnął do mnie rękę i rzekł głosem stłumionem, nieomal szeptem:

— Jak się masz, poruczniku? Oczekuję cię z niecierpliwością. Spóźniłeś się nieco i dlaczego?

— Niemogłem przybyć wcześniej — odrzekłem głośno.

W tejże chwili, generał kładąc palec na ustach, przerwał mi:

— Tss! mów ciszej. Tam — tu wskazał na drzwi — pracują...

I siadając na swem miejscu przy biurku, wskazał mi proste, wyplatane krzesło i nachylając się do mnie, ciągle tym samym półszeptem, spytał:

— Dlaczego to nie mogłeś przyjść wcześniej?

— Dlatego, że śledził mię szpieg jakiś i ledwie mu się wymknąłem, ale musiałem na to stracić nieco czasu.

Wiadomość ta zainteresowała nadzwyczajnie generała.

— Śledzono cię?... już... ledwieś przybył, już są na twym tropie? to bardzo źle, bardzo źle, mój poruczniku. Dlatego wezwano cię z głębokiej prowincyi, że jesteś nieznany policyi, a przynajmniej miała ona czas zapomnieć o tobie, a tymczasem pokazuje się, że jest inaczej. Ale wszystkiemu sam jesteś winien i muszę cię surowo zganić, że nie wypełniasz poleceń ci danych. Wiedz o tem, że gdyby nie dawniejsze zasługi i nie to, że znam twoją odwagę i poświęcenie, jakiego złożyłeś dowody w czasie mego przybycia do kraju, byłbyś oddany pod sąd wojenny...

Mówił to wszystko tym samym denerwującym szeptem, wśród głuchej ciszy, jaka w tym dziwnym domu panowała, patrzał na mnie surowo i groźnie.

— Raczy generał darować — rzekłem — ale zupełnie niewiadome mi są powody tych wyrzutów. Co zrobiłem? w czem niewypełniłem instrukcyi?

— Instrukcya nakazywała panu pójść do kawiarni na ulicy Longa o godzinie trzeciej po południu, wszak tak?

— Tak generale, ja też o trzeciej się tam stawiłem.

— Tak, ale rano tam także byłeś, a instrukcya panu tego nie nakazywała.

— Ale i nie zakazywała.

— To prawda, lecz w tem jest właśnie błąd i wina twoja. Nie wolno ci nic więcej robić nad to, co instrukcya nakazuje. Nie przypuszczałeś, byś idąc rano do tej kawiarni, w czemkolwiek wykroczył, a jednak zaszkodziłeś tym kro-

kiem mocno sobie i sprawie. Zauważono cię zapewne i oto skutki... Jak wyglądał ten szpieg, który cię śledził?

Opisałem generałowi jak mogłem najdokładniej fizyognomię owego otyłego szpiega, od którego tak dziwnym sposobem uwolniło mię spotkanie się z Dusią.

— Aa! wiem... znam go! — zawołał generał — mamy tu nawet jego fotografię, to Tuan Merinos, prawa ręka kapitana Rosotemplo... łotr nad łotrami, przebiegły, wytrwały... pochodzi z rodziny maurytańskiej i zachował we krwi wszystką przebiegłość i wschodnią podstępność tej rasy. Junta narodowa skazała go już oddawna na śmierć, a on sobie drwi z tego i przechadza się spokojnie po ulicach Bilbao. Raz trzeba z nim skończyć...

Wszystko to generał mówił z widocznem uniesieniem na pół do siebie, na pół do mnie, wreszcie spytał:

— Czy pewny jesteś, że stracił twój ślad?

— Jak najpewniejszy.

Byłem w obawie, by generał nie spytał się, na czem opieram tę moją pewność, gdyż w tym razie musiałbym kłamać, do czego zawsze czułem wstręt nieprzezwyciężony, a prawdy ze względu na Dusię, powiedzieć przecież nie mogłem. Ale na szczęście generał widocznie czem innem był zajęty bo nagle wstał i rzekł:

— Poruczniku Valery, przedstawię cię za chwilę pułkownikowi Fidebona, prezesowi junty narodowej. On ci da rozkazy i instrukcyę, jemu masz być posłuszny. Ja wyjeżdżam dziś wieczorem z Bilbao... zaczekaj tu!

To rzekłszy ruszył na palcach do drzwi, znajdujących się w głębi i trzykrotnie dyskretnie zapukał. Rozległ się głos: »proszę?« i generał znikł za drzwiami.

Zostałem sam i począłem rozglądać się po pokoju, maleńkim, pełnym włóczących się po kątach cieni, prawie pustym, bo oprócz biurka i paru prostych, wyplatanych krzeseł, nic tu więcej nie było. Otaczała mię niczem nie zakłócona, przygnębiająca cisza. Wszystko w tym domu zdawało się być

wymarłem. Byłem tak smutny, zostawałem pod tak bolesnem wrażeniem spotkania się z Dusią, do której cała moja dusza się rwała, że nawet nie ciekawy byłem poznania owego tajemniczego prezesa junty narodowej, do którego w innych warunkach mego serca i umysłu, byłbym się zbliżał z niezmiernym interesem. Teraz było mi to obojętnem, myślałem tylko o tej ślicznej kobiecie, którą kochałem namiętnie, którą po tylu miesiącach niewidzenia, ujrzałem znowu w tak osobliwych okolicznościach. Łzy ciekące po jej bladej twarzyczce, jej niepokój, wzruszenie, obawy jakieś straszne, dreszczem mię przejmowały. Radbym jaknajprędzej wyrwać się stąd, z tego domu zanurzonego w jakiejś rozpaczliwej ciszy i biedz do mego hotelu, gdzie może na mnie oczekiwała najmilsza i najsłodsza z kobiet.

I czas dłużył mi się niesłychanie. Była chwila, żem się chciał zerwać i nie czekając na generała, uciec stąd i polecieć lotem strzały do hotelu, do mej ukochanej. Na szczęście generał się zjawił. Wszedł jak zwykle bardzo cicho, drzwi za sobą zamknął i zbliżywszy się do mnie rzekł:

— Pułkownik Fidebona czeka na pana, mości poruczniku. Ja wychodzę. Życzę ci byś cało wyszedł, byś nie przepadł na palącym bruku stolicy. Podaj mi rękę... pozdrowienie i braterstwo!

To rzekłszy, otworzył owe tajemnicze drzwi w głębi i wpuścił mnie do pokoju, w którym miałem ujrzeć mitycznego niemal dotąd dla mnie prezesa junty narodowej.

Przy wielkiem biurku, zarzuconem papierami, oświeconem przez dużą lampę, osłoniętą abażurem, tak, że górna część pokoju ginęła w mętnych, zielonawych cieniach, stał mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, mizerny, jasny, popielaty niemal blondyn, z niewielkimi wąsami, twarzą bladą, z wyrazem głębokiego zamyślenia, powagi i skupienia się w sobie. Oczy niebieskie, spłowiałe nieco, rozmarzone, jakby zapatrzone nie zewnątrz, ale wewnątrz siebie, miał zakryte okularami i patrzał spokojnie, ale badawczo na mnie, gdym wszedł i stanął

w pozie wojskowej przy drzwiach. Przez chwilę w tym pokoju w tej ciszy niczem nie zamąconej, tak głuchej, że aż szumiało od niej w uszach, rozległ się głos łagodny, miękki, stłumiony:

— Zbliż się, poruczniku!

Uczyniłem jak mi kazano, a pułkownik Fidebona siadając sam, wskazał mi ręką krzesło obok biurka i rzekł:

— Usiądź, mamy ze sobą do pomówienia...

Przez chwilę znów panowało to denerwujące milczenie i ta cisza, która działała na mnie jak niezdrowy narkotyk, aż wreszcie pułkownik Fidebona po jakimś głębokim namyśle, rzekł tym swoim półszeptem miękkim, łagodnym:

— Kazałem cię wezwać poruczniku tutaj, bo jesteśmy w takiem położeniu, że należy skupić koło władzy najwyższej narodowej wszystkich ludzi dzielnych, wszystkie serca odważne i poświęcające się. Mam o panu jaknajlepsze relacye i pewny jestem, junta narodowa jest pewną... że znajdzie w tobie człowieka, który wielkie usługi może sprawie oddać.

Skłoniłem się w milczeniu, choć przyznać muszę, że chwycił mię za serce tym swoim tonem spokojnym, równym, przenikającym do głębi duszy.

— Dotychczasowa działalność — mówił dalej — do niczego nie doprowadziła; na innych podstawach musimy walkę prowadzić, ufać Opatrzności, nie lękać się niczego. Jesteśmy wszyscy skazani na śmierć z ręki wroga. Wcześniej czy później padniemy ofiarą, ale czyż dlatego mamy ręce założyć i nic nie robić?

Umilkł znowu, głowę spuścił na piersi i zdawał się pogrążać w jakieś posępne dumy, które w atmosferze drzemiącej tego pokoju rosły, ogarniały wszystko sobą, owładały nawet mym trzeźwym umysłem. Od tej głowy pułkownika Fidebona, na pół łysej, o wielkiem czole, szedł jakiś mistyczny prąd biernej ofiarności, poświęcenia cichego, przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa. Owionął mię jakiś senny duch spokojnej ofiary, jakieś nieziemskie uniesienie, egzaltacya wielka, ale spokojna, a pułkownik tymczasem szeptał:

— Chciałem pana poznać, bo dobrze jest znać ludzi, z którymi się działa, z którymi ma się iść na szubienicę... Nie dam panu w tej chwili żadnych instrukcyj... nie... Gdy będę miał jakie rozkazy dla pana, zakomunikuję je panu przez jednego z moich sekretarzy, pana Sumini... Znasz go?

— Nie.

— Owszem, znasz go. On cię tu dzisiaj przysłał.

— Ach! to ten pan... w kawiarni?

— Tak. On panu powie co masz czynić, jak również gdybyś miał jakiś interes, nie przychodź tutaj, ale zakomunikuj mi go przez Suminiego. To wszystko. A teraz jedno ostrzeżenie. Unikaj wszelkich znajomości, staraj się być w Bilbao człowiekiem zupełnie obcym dla każdego i wszystkich. Nie jest to tylko ostrzeżenie, ale rozkaz. Zbyt ważne sprawy, mam nadzieję, powierzone ci zostaną, by je można było lekkomyślnie narażać.

Wstał i gdym to samo uczynił, podniósł rękę, pożegnał mię i szepnął:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Westchnął ciężko i dodał:

— Idź już. Podaj mi rękę. Pozdrowienie i braterstwo!

Wyszedłem głęboko wzruszony. W pokoju, w którym rozmawiałem poprzednio z generałem Casobi, na jego miejscu przy biurku, tyłem do drzwi siedział jakiś mężczyzna, z głową wspartą na obu rękach i widocznie zamyślony głęboko, gdyż nie słyszał mego wejścia. Dopiero gdy postąpiłem parę kroków, zerwał się szybko i zwrócił do mnie. Po fantastycznie rozburzonych, ciemnych włosach, po ostro zarysowanym profilu i stalowem wejrzeniu dużych oczów, poznałem mego nieznajomego z kawiarni, pana Sumini, jak go nazywał prezes junty. Zbliżył się do mnie i podając rękę, rzekł tym półszeptem denerwującym, którym tu wszyscy w tym domu mówili:

— Wiem o wszystkiem.

— O czem?

— Ścigał cię Merinos. Ale, bój się pan Boga, skąd znasz żonę kapitana karabinierów, Rosotemplo?

Na razie nie mogłem zrozumieć o co panu Sumini idzie, więc spytałem:

— Ja?... żonę kapitana?...

— Nie zapieraj się, widziano cię rozmawiającego z nią, i ona to uwolniła cię od pościgu Merinosa.

Teraz zrozumiałem wszystko. Jak błyskawica przebiegła mi przez głowę jasna, wyraźna myśl. Więc Dusia, moja ubóstwiana Dusia, jest żoną tego łotra Rosotempla, z którym przypadek, który sobie lubi z ludzi nieraz dotkliwie żartować, zetknął mię dwukrotnie w mem życiu, w okolicznościach najdramatyczniejszych i najdziwaczniejszych. Teraz pojąłem odrazu dlaczego Józefina tak starannie zawsze ukrywała nazwisko swego męża, otaczała się taką tajemnicą i dlaczego szpieg Merinos, ujrzawszy mię z nią, z widocznym wyrazem zdziwienia na twarzy, ukłonił się jej i przestał mię ścigać. Oczywiście widząc mię rozmawiającego poufale z żoną swego bezpośredniego zwierzchnika, wyciągnął stąd wniosek, że ja nie mogę być osobą podejrzaną, może nawet nabył przekonania, że ja należę do ich łajdackiej konfraterni. Wszystko to w jednej chwili przebiegło mi przez głowę, oblało purpurą moją twarz i ukazało mi straszne następstwa takiej dziwnej sytuacyi. Zmieszany mocno, odrzekłem:

— Znam ją oddawna, ale daję panu słowo uczciwego człowieka, że nie wiedziałem, że ona jest żoną kapitana Rosotemplo.

Nie bardzo temu dowierzał, na jego wązkich ustach zawisł ledwie dostrzegalny uśmiech i rzekł:

— Nie mam żadnego prawa robienia panu uwag, lub też wchodzenia w pańskie stosunki prywatne. Muszę jednak ostrzedz pana... że w sprawie takiej, jak nasza... należy zapomnieć o istnieniu kobiet na świecie. Przytem dam panu dobrą radę. Policya nasza... mówię nasza... ma pana w mocnem podejrzeniu, wskutek owego dziwnego spotkania z panią

Rosotemplo... Radzę panu zobaczyć się z tak zwanym Miguelem Zezowatym... jest to jego pseudonim i wyjaśnić mu tajemnicę pańskiego osobliwszego stosunku.

— A gdzie ja mogę z tym panem zobaczyć się?

— On będzie u pana... może dziś jeszcze... może jutro... A teraz jeszcze słówko. Widziałeś się pan z prezesem?

— Wracam od niego!

— Czy mówił co panu o pani Teresie?

Zapomniałem zupełnie o tej kobiecie, która jak cień przesunęła się przez moje życie, dla której niedawno popełniłem najryzykowniejszy, jaki można było uczynić, krok, dla zwolnienia której zostałem wysłany do stolicy. Jej śliczna, blada, melancholijna twarzyczka, stanęła mi przed oczami tak wyraziście, jakbym ją naprawdę widział przed sobą.

— Nie — odrzekłem — nic mi nie mówił. Cóż się z nią dzieje?

— Wiemy dobrze — zauważył pan Sumini — o pańskim ryzykownym kroku na kolei.

— Wiecie panowie! — zawołałem — a skąd u licha!

Sumini uśmiechnął się tym swoim zaledwie dostrzegalnym uśmiechem i szepnął:

— My o wszystkiem wiemy, ale o to wcale nie idzie. Mogę tylko panu powiedzieć, że krok ten, którego nie pochwalam, bo inne rozwiązanie sprowadziłoby bardzo opłakane następstwa, w oczach naszej policyi zrobił pana bohaterem. Oni tam lubią takie czyny... szalone, i to zaciera do pewnego stopnia złe, bardzo złe wrażenie, wywołane wskutek osobliwszego pańskiego stosunku z żoną pana Rosotemplo. Ale to do rzeczy nie należy. Pan znasz Wiktora, zwanego także Sylwestrem?

— Znam.

— To dobrze. A teraz do widzenia, wkrótce dam panu znać o sobie. Pozdrowienie i braterstwo!

Skłonił się, nie podając mi ręki i na palcach podszedł do drzwi, za którymi znajdował się pułkownik Fidebona i dyskretnie potrzykroć zapukał.

Nie miałem tu już co robić i wyszedłem na korytarz, gdzie spotkałem panią Rocric z zapaloną latarką w ręku.

— Czekałam na pana — szepnęła — już jest ciemno, a pan może nie wiesz, że u nas, w Bilbao, nie wolno jest chodzić w nocy bez latarki zapalonej. Weź ją pan, jutro mi oddasz. Do widzenia!

Otworzyła drzwi na schody i wypuściła mię nieomal wypychając. Wyszedłem z głową pełną najróżnorodniejszych i najprzykrzejszych myśli.

## VII.

Na ulicy wiatr wył i jęczał i płakał, jakby się użalał nad głupotą i nędzą ludzką. Płomienie latarń miotane wichrem, rzucały nagłe, migotliwe blaski na wysokie i ciemne domy, i na rzadkich przechodniów, przemykających się szybko, otulonych w płaszcze z latarkami drżącemi w ich rękach. Szedłem wolno, zamyślony, smutny nieskończenie. Z tego wszystkiego com widział i słyszał w tajemniczem, milczącem, jakby sennem mieszkaniu pułkownika Fidebona, pozostało mi tylko jedno wrażenie, że moja ukochana Józefina, jest żoną kapitana Rosotemplo, najniebezpieczniejszego i najgroźniejszego z moich wrogów. Byłem wówczas jeszcze młody, kobieta i miłość zajmowały pierwszorzędne miejsce w mym umyśle. W owej nocy wietrznej i burzliwej, gdym szedł wolno po pustej uliczce »di Smola«, nie myślałem wcale o mogącem mi zagrażać niebezpieczeństwie, o surowem napomnieniu, niezasłużonem zupełnie, generała Casobi, o ofiarnej postaci i słowach biernego oddania się falom losu pułkownika Fidebona, o napomnieniach pana Sumini, że jestem źle widziany przez jego współtowarzyszy, wszystko to zatarło się i znikło z mej głowy, a została w niej tylko smętna postać zapłakanej Józefiny, żony Rosotempla! Cóż za dziwny zbieg okoliczności, jaka złośliwa komplikacya przypadku! Trzebaż było, żeby los rzucił mię w objęcia najmilszej z kobiet i żeby ta kobieta była żoną mego wroga.

W tych pogrążony myślach, szarpany przez najróżnorodniejsze a zawsze gorzkie przypuszczenia i wnioski, wyszedłem na najbardziej ożywioną ulicę miasta, gdzie latarnie gęściej ustawione, jak na ulicy »di Smola«, liczne sklepy rozsiewające z poza okien swoich jarzący blask, oświecały doskonale szereg pędzących wszelkiego rodzaju dorożek i powozów i licznych przechodniów, biegnących szybko zawsze z latarkami w rękach, całość o silnym kontraście z ciszą i milczeniem, jakie mię poprzednio otaczało.

Tu ocknąłem się z zadumy i przypomniałem sobie, że należy zachowywać wszelkie ostrożności, by nie zwrócić na siebie uwagi gęsto rozstawionych »algasilów«. Przypomniałem sobie, że może gdzieś, w jakiem zagłębieniu bramy, gdzieś w tłumie biegnących po chodnikach przechodniów, może się ukrywać wstrętna postać Merynosa i mieć mię na oku. Obejrzałem się dokoła, otuliłem w płaszcz, kołnierz postawiłem a kapelusz nacisnąłem na oczy i puściłem się naprzód. Biegłem szybko, co jakiś czas zatrzymując się przed jaką świetną wystawą sklepową, by rzucić okiem na prawo i lewo i zobaczyć, czy jaka podejrzana osobistość mię nie śledzi. Ale nic podobnego nie dostrzegłem i szczęśliwie przybyłem do mego hotelu. Tu zapytałem się odźwiernego czy nikt do mnie się nie zgłaszał; odpowiedział mi, że nie, więc ani Józefina, ani ów Miquelo Zyzowaty, którego wizytę zapowiedział mi pan Sumini, u mnie nie byli. Wprawdzie uczułem pewnego rodzaju zadowolenie, że ów pan Zyzowaty nie odwiedził mię wcale; byłem tak znużony fizycznie i moralnie, że nie czując się zdolnym do rozmowy, a może walki z owym panem, pragnąłem spokoju i spoczynku: ale na wiadomość, że moja śliczna Dusia nie była, ścisnęło mi się serce od jakiegoś złowróżbnego przeczucia. Była już godzina ósma, mogła jeszcze przyjść i pragnąłem tego z całej duszy; nieprzybycie jej bowiem świadczyłoby, że zaszła jakaś bardzo poważna przeszkoda, że sytuacya nasza stała się arcyniebezpieczna.

— Gdyby przyszła jaka dama — rzekłem do odźwiernego — i zapytała o mój numer, proszę jej wskazać go zaraz.

Spojrzał na mnie głupiemi ale chytremi oczami, mrugnął niemi znacząco, uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze, sennor! to się samo przez się rozumie.

Poszedłem do siebie. Gdym otworzył drzwi i stanął w pokoju, jakiś papier zaszeleścial mi pod nogami. Podniosłem go, zapaliłem świecę i na wielkie moje zdziwienie, ujrzałem kartkę cieniutkiego, błękitnego papieru z wydrukowanym na niej tytułem:

»Junta narodowa, wydział policyi narodowej«.

Pod tym tytułem, drobniutkiem, równem, czytelnem pismem skreślone były te słowa:

»Do obywatela Don Diego Orosco.

Jutro o godzinie 12-tej w południe masz się stawić obywatelu w ogrodzie miejskim, w alei lewej od wejścia, przy ławce czwartej z kolei. Pozdrowienie i braterstwo«.

Pod tem wszystkiem mieściła się doskonale mi znana pieczęć.

Zmiąłem tę kartkę z pewnem gniewnem uniesieniem.

— Czego oni chcą u wszystkich djabłów odemnie? Dlaczego mi nie dają chwili spokoju? Co ja mam wspólnego z policyą? Co za głupie wezwanie? Klucze były u odźwiernego, pierwszy lepszy sługus hotelowy mógł wejść do tego numeru i znaleźć tę kartkę, jak ja ją znalazłem. Co za osły i barany! Niech ich wszyscy djabli wezmą. Jutro wytrę im za to porządnie kapitułę!

Gdym w uniesieniu i rozgoryczeniu mego ducha wymawiał te słowa, nagle dobiegł mię dźwięk słodki i melancholijny gitary. Oczywiście nikt tu inny nie grał tylko Karol Laskonogi. Spojrzałem w jego okno! było oświecone i otwarte, a on sam siedział przy niem i z uniesieniem i dziwacznemi wygięciami całego ciała, odpowiadającemi rytmowi muzyki, przesuwał palcami po strunach. Uchyliłem okna i do uszów moich dobiegły wyrazy:

»Ujrzałem raz i kocham już,
Mój słodki Almeida jest tuż,
Jest tuż! jest tuż!«

Rymy były nieosobliwsze i widocznie poetycka wena nie dopisywała Laskonogiemu, ale ja doskonale rozumiałem o co idzie. Burczymucha był w Bilbao i prawdopodobnie stanął w tym samym co ja i Karol Laskonogi hotelu. Ponieważ w tej chwili nie miałem ani jemu, ani Burczymusze nic do zakomunikowania i że mi szło o spokój, o poważne namyślenie się nad mojem położeniem, więc zamknąłem okno, myśląc, że to przekona Laskonogiego, by swej muzyki zaprzestał, gdyż wiem już, co miałem wiedzieć. Ale mój poeta niefortunny siedział ciągle w oknie, pomimo przejmującego chłodu, i coraz silniejszym dyszkantem zawzięcie nucił:

»Mój słodki Almeida jest tuż!
Jest tuż! jest tuż!«

— Niechże cię wszyscy djabli wezmą z twoim słodkim Almeidą! — zawołałem — jeszcze zwróci na siebie uwagę wszystkich mieszkańców hotelu!

Stanąłem przed oknem i usiłowałem rękami dać mu znać, by przestał swej muzyki, która mię drażniła i niepokoiła mocno. Ale czy nie widział moich znaków, czy ich nie rozumiał, dość, że nie przestawał coraz namiętniej brzdąkać na gitarze i coraz głośniej wrzeszczeć o »słodkim Almeidzie«. Wobec tego trzeba było coś postanowić, by niefortunnemu śpiewakowi zamknąć usta. Zadzwoniłem na służącego, a gdy się zjawił rzekłem:

— Proszę cię, pójdź do tego pana naprzeciwko i poproś go odemnie, żeby przestał śpiewać o jakimś »słodkim Almeidzie«, bo mi się spać chce, a muzyka ta drażni mię. Służący uśmiechnął się i rzekł:

— To jakiś dziwny ten pan. Prawie cały dzień siedzi w domu i dopiero wieczorem zachciewa mu się śpiewów.

Rzekłszy to, wyszedł, a ja stanąłem przy oknie i ponieważ pokój Karola Laskonogiego był dobrze oświecony, więc

mogłem widzieć jak służący wszedł, jak mówił do Karola, jak ten zaraz przestał grać i śpiewać, ale zerwał się, skoczył do biurka i napisawszy coś na kartce papieru, wręczył ją służącemu. Patrząc na to, podrażniony już i tak wypadkami tego pamiętnego dnia w mojem życiu, wpadłem w szalony gniew:

— Ten osioł pisze do mnie! Jeszcze tego brakowało! A to trzeba być ostatnim bałwanem! A! gdybyś ty był ze mną w polu, jak mi Bóg miły, oddałbym cię pod sąd wojenny. Ależ to przechodzi wszelkie pojęcie!

Na szczęście gniew mój pohamować musiałem, bo służący zjawił się z powrotem i śmiejąc się rzekł:

— Temu panu tam z przeciwka to brak jednej klepki. Niech sennor przeczyta, co on tu napisał. Ha! ha! ha!

Chwyciłem kartkę i na niej przeczytałem co następuje:

»Czcigodny sąsiedzie. Chciałem wyśpiewać całą balladę o losach słodkiego Almeidy, który okradziony doszczętnie z pieniędzy, przybywa do stolicy i czeka na pomoc — ale skoro to przeszkadza twemu spoczynkowi, przerywam i zasyłam życzenie dobrej nocy.

Don Carlos Negro, muzyk i poeta«.

Doskonale zrozumiałem treść tego listu, ale należało grać komedyę dalej przed służącym, który nie przestawał śmiać się głośno:

— To jakiś waryat! — zawołałem — ale skoro przestał śpiewać, wszystko mi jedno. Możesz odejść, jesteś mi niepotrzebny.

To rzekłszy, podarłem kartkę Karola na drobne kawałki i rzuciłem w kominek, na którym gorzał wesoły ogień. Gdy służący wyszedł, szepnąłem sobie:

— Nowa katastrofa! To bydlę Burczymucha musiał się upić w jakiej karczmie przydrożnej i okradziono go z kretesem. Co tu teraz robić? z czego żyć? A bodaj was siarczyste pioruny biły!

Ale moje przekleństwa i pomstowanie do niczego doprowadzić nie mogło. Należało coś wymyślić. Lecz byłem tak

zmęczony, tak zbity tym pierwszym moim dniem pobytu w Bilbao, tak moralnie zgnębiony i tak nieskończenie smutny, że myśleć nawet nie mogłem. Zeszedłem na dół do restauracyi hotelowej, zjadłem coś prawie przymuszając się, przeczytałem parę gazet, w których dziwy opisywano o naszem powstaniu, i że już była późna godzina i niczyjej wizyty spodziewać się nie mogłem, poszedłem spać.

Takim był pierwszy dzień mego pobytu w Bilbao.

## VIII.

Nazajutrz, po nocy bardzo źle i niespokojnie przespanej, pełnej snów i marzeń niezdrowych, obudziłem się dość wcześnie i leżąc jeszcze w łóżku, zadzwoniłem na służącego.

Gdy się zjawił i wysłuchał moich poleceń, rzekł:

— Czy pan nic w nocy nie słyszał?

— Nie, nic! cóż takiego?...

— A proszę pana, co się tu działo! Wszyscy nie spaliśmy. O godzinie pierwszej po północy zeszła policya, karabinierzy z samym kapitanem Rosotemplo na czele. Pan zna kapitana Rosotemplo?...

Nie widziałem potrzeby przyznawać się do tej niebezpiecznej znajomości i odrzekłem:

— Nie, nie znam. Skądżeby?

— A! to jest najważniejsza figura w Bilbao. Niech Bóg broni jaki przebiegły i mądry. Straszne mamy czasy!

— Że straszne, to ja wiem. Ale cóż się tu stało?

— A to, proszę pana, że wczoraj nad wieczorem przybył do naszego hotelu jakiś, z przeproszeniem, wieprzarz... pan wie, taki, co trzodę skupuje. Choć piechotą przyszedł, przyjęliśmy go, bo wiadomo, że tacy wieprzarze mają trzos dobrze nabity. Pan gospodarz kazał mu dać numer 22, tam na dole w oficynie poprzecznej, z oknem wychodzącem na ogród z tyłu. Trochę tam ciemno i wilgoć jest, ale dla takich ichmościów i to dobre.

Łatwo sobie wyobrazić, że byłem jak na szpilkach. Nie ulegało wątpliwości, że była tu mowa o Burczymusze, ale musiałem udawać obojętność, żeby się nie zdradzić i słuchać gadatliwego famulusa.

— Otóż, proszę pana, kapitan Rosotemplo po niego przyszedł. Widać miał tam jakieś wskazówki. Ledwie wszedł do biura hotelowego, zaraz się zapytał, gdzie tu wieprzarz stoi? Cóż robić? gospodarz musiał powiedzieć, bo pan wie, czasy gorące i z panami wojskowymi nie można żartować. Prawda, panie?

— Oj, prawda, prawda — odrzekłem, ale miałem ochotę rzucić się na tego kpa i porządnie go obić za to, że moją cierpliwość wystawiał na tak ciężką próbę.

— Otóż to! otóż to, proszę pana. Ano cóż? poszli hurmem algasile, karabinierzy, kupa tego była, może ze dwudziestu, wprost do numeru wieprzarza. Ale dobić się do niego nie mogli. Spał jak zabity, bo trzeba panu wiedzieć, że kazał sobie wczoraj wieczorem podać dwie butelki mocnego wina i wypił je doszczętnie. Ciekawa rzecz, kto teraz zapłaci gospodarzowi za to wino?

— A któż? — rzekłem obojętnie — kapitan Roso... Rose... jakże mu tam?

— Rosotemplo, wszyscy go tu znają. Ale co do tego, żeby miał zapłacić, proszę pana, to mowy o tem być nie może. Gospodarz nawet bałby się upominać!

— Rozumie się. Ale cóż się stało z wieprzarzem?

— A cóż? gdy się do niego dobić nie mogli, wyłamali proszę pana drzwi... szkody gospodarzowi narobili na kilka realów... ciężkie czasy! bardzo ciężkie!

— A cóż wieprzarz?

— A cóż? wtedy dopiero się obudził! Aj panie, co to się nie działo! Patrzałem na wszystko własnemi oczami, bośmy się tam wmieszali między algasilów przez ciekawość. Przytem jednego z nich znam. Sebastyan mu na imię, chłop dobry, ale strasznie jucha zawzięty na tych karlistów.

— A wieprzarz?

— A wieprzarz cóż? Zerwał się panie z łóżka, bo gbur jakiś, nawet się nie rozebrał i buciskami na nic pościel zawalał. To także nowa szkoda, bo trzeba dać do prania. Przecież nikt z gości w zabłoconej pościeli spać nie będzie chciał. Prawda, panie?

— Prawda! prawda! — odrzekłem — a w duszy życzyłem gadule, żeby go wszyscy djabli wzięli. No i cóż ten wieprzarz? — zapytałem.

— A panie! Zerwał się, chłop powiadam panu olbrzymi jak niedźwiedź. Co to? ryknął. A kapitan Rosotemplo wysunął się naprzód i powiada: Jesteś aćpan aresztowany. Trzeba było panie widzieć wieprzarza wtedy. Ślepie mu zaiskrzyły się jak u wilka, spojrzał dokoła i pyta:

— A za cóż to? Dowiesz się później! — zawołał kapitan — a teraz marsz! Wtedy panie wieprzarz jak nie ryknie, aż mrowie po mnie przeszło, jak nie skoczy, jak wytnie kapitana pięścią między oczy, to ten tylko zachwiał się, rękami strzepnął i padł jak długi zalewając się krwią. Zrobił się panie sądny dzień. Wszyscy algasile, karabinierzy, rzucili się jak psy na odyńca, na mojego biednego wieprzarza, pouczepiali mu się u rąk, nóg, gdzie który mógł. Ale, czy pan uwierzy temu? Szarpnął się tylko raz i drugi, tego w kark, tamtego w łeb pięścią, owego nogą kopnął i jak gruszki z drzewa, kiedy niem zatrząść, tak oni padali; ten w kąt, tamten pod stół, ów pod krzesło, a każdy jęczał i krwią się zalewał. Jak żyję, panie, takiej siły nie widziałem. Ale to nic dziwnego. Chłop tęgi, samem mięsem żyje, ciągle na świeżem powietrzu, to i siła jest. Nie tak jak my, co to w mieście ciągle tylko zaduchem oddychamy. Prawda sennor?

— Prawda, prawda! ale cóż wieprzarz?

— A cóż, panie. Jak to wszystko poodpadało od niego, ryknął jak niedźwiedź, zaklął straszliwie, kopnął buciskami podkutemi jednego z algasilów... biedaczysko, nie wiele mu się już będzie należało, bo widziałem jak go potem wynosili,

bo, panie, łeb miał rozbity, jak garnek, a krew z niego ciórkiem ciekła. Straszna rzecz, powiadam panu, nic podobnego nie widziałem.

— A z wieprzarzem co się stało?

— A nic. Skoczył panie do okna, jednem uderzeniem pięści je wywalił i drapnął do ogrodu. Ogród jest duży i dokoła murem oddzielony od sąsiednich posesyj. Musiał przez ten mur przeleźć, i ścigaj wiatr w polu.

— Czy nie gonili go? nie szukali?

— Gonili, panie. Ale nim przyszli do siebie, nim oprzytomnieli, to on już był zapewne daleko. Cały ogród przetrząśli, ale wszystko napróżno. Wieprzarz umknął.

Odetchnąłem z uczuciem niewysłowionej ulgi. Po tej olbrzymiej walce, jaką stoczył, poznałem mego Burczymuchę, niepospolitego siłacza i szermierza. A tymczasem służący opowiadał dalej, jak algasile i karabinierzy lizali się po tej walce krwawej, jak trzeźwili kapitana Rosotempla, który zemdlał, a gdy przyszedł nakoniec do siebie, to oczy miał zapuchnięte i zasiniaczone zupełnie, okropnie klął i wymyślał. Cała ta nieudana wyprawa Rosotempli sprawiała służącemu widoczne zadowolenie, bo sobie drwił dobrodusznie ze zbrojnych policyantów i karabinierów.

— Nie mieli oni szczęścia tej nocy, niech ich djabeł porwie. Spać ludziom tylko nie dają, jak psy węszą wszędzie. Ale dostali dobrą pamiątkę. Trzeba było, panie, widzieć, jacy byli wściekli! A kapitan Rosotemplo, jak tylko przyszedł do siebie, zaraz kazał iść do numeru tego pana, co wczoraj śpiewał i grał na gitarze, tego półgłówka, co pisał do pana taki śmieszny list.

Przeszło mię mrowie. Więc i o Laskonogim wiedzą!

— Jakto, do niego poszli? — zawołałem przerażony.

— Tak, panie. Tu w hotelu muszą oni mieć swego szpiega, bo trzeba panu wiedzieć, że wieprzarz jak tylko przybył, zaraz pytał się o tego muzykanta, zdaje mi się Negro się nazywa, i widzieli się ze sobą i długo gadali. Szpieg widać

o tem doniósł kapitanowi Rosotemplo, bo gdy wieprzarz uciekł, kazał brać zaraz muzykanta. Ale i ten nie głupi, nie czekał aż do niego przyjdą, ha! ha! ha!

— Jakto nie czekał? więc uciekł?

— A tak, panie. Widać usłyszał hałas i zrozumiawszy co się święci, ubrał się, zabrał wszystko co miał, zostawił na stole dwa reale, kartkę do gospodarza, że pieniądze te są zapłatą za numer, przyzwoity widać jakiś człowiek, i wyszedł. Z korytarza okna wychodzą także na ogród, otóż otworzył jedno z tych okien i frunął sobie do ogrodu. Ha! ha! ha! to ich panie wziął na muchę. Co prawda, panie, to trzeba mieć odwagę nie lada i takie długie nogi, jak ten pan Negro, żeby z wysokiego pierwszego piętra skakać. Ale gdy człowiekowi grozi niebezpieczeństwo, to na wszystko się odważy. Prawda panie.

— I nie znaleźli tego pana Negro?

— Co mieli znaleźć! albo to nie miał czasu uciec, gdzie pieprz rośnie? Zapewne zdybali się w ogrodzie z wieprzarzem i razem już zmykali... Ha! ha! ha! Ale swoją drogą, proszę pana, nie chciałbym być w ich skórze. Z miasta nie łatwo się wydostać. Wszystkie rogatki są strzeżone, a dokoła stoją konne straże z karabinierów i innych kawalerzystów. Mysz się nie przemknie, żeby jej nie widzieli. A w mieście też ani wieprzarz, ani ten pan o cieńkich nogach, nie długo będą się mogli ukrywać, bo ich kapitan Rosotemplo będzie szukał, choćby przez zemstę, za poczęstunek jaki otrzymał. Ha! ha! ha! żeby pan widział, jak on strasznie i śmieszie zarazem wyglądał, jak się pienił ze złości, jak wymyślał na swoich karabinierów, to pęknąć można było ze śmiechu.

Relacya ta wstrząsnęła mną do głębi. Widoczną było rzeczą, że jeszcze przed przybyciem do Bilbao, policya była na tropie Burczymuchy i śledziła go pilnie. Musiał stary pijak, gdzieś, w jakiej karczmie wygadać się w stanie nietrzeźwym i zwrócić na siebie uwagę. Śledzono go odtąd pilnie. I trzebaż było jeszcze nieograniczonej jego głupoty, że przyszedłszy

do hotelu, zaraz skomunikował się z Karolem Laskonogim. Całe szczęście, że mnie wtedy nie było i żem surowo zakazał widywania się ze mną. Gdyby nie to, ten stary osioł byłby mnie z pewnością naraził na nową wizytę kapitana Rosotemplo.

Ale stało się! i nie o tem trzeba było myśleć, ale o zapobieżeniu dalszym skutkom tej nieoczekiwanej katastrofy. Cała rzecz polegała na tem, żeby Burczymucha i Laskonogi nie wpadli w ręce policyi. Należało więc wywiedzieć się gdzie się ukryli po nocnej ucieczce, zobaczyć się z nimi i cichaczem wyprawić ich z miasta, bo pobyt ich tutaj wprost już był niemożliwym. Policya zapewne miała najdokładniejsze ich rysopisy, po nocnej walce uchodzić musieli w jej oczach za bardzo niebezpiecznych spiskowców i z tych względów poszukiwani będą z zapałem i gorliwością. Ten zapał i tę gorliwość podsycać będzie kapitan Rosotemplo, który zapewne nie zechce darować poczęstunku, jaki otrzymał z rąk Burczymuchy, i póty nie spocznie, póki mego biednego wachmistrza nie ujrzy na szubienicy.

Cóż więc pozostawało do czynienia? Ja oczywiście nic nie mogłem zrobić, ale przypomniałem sobie, że mam się stawić o godzinie dwunastej w ogrodzie miejskim. Zapewne będzie tam ktoś z organizacyi rewolucyjnej, więc opowiem mu co się stało i domagać się będę pomocy; teraz dziękowałem Bogu, że dotąd ocalałem, że nikt nie wiedział o moim stosunku z Burczymuchą i Laskonogim. Gdyby służący hotelowy był łotrem, mógł Rosotemplowi powiedzieć o tem, że Karol wczoraj do mnie pisał, i to z pewnością wystarczyłoby, by sam pan kapitan przybył do mnie w odwiedziny. A kto wie, czyby mnie teraz nie poznał. Na szczęście tak się nie stało i ja tym razem ocalałem, ale czy na długo? Z uwagi, że wskutek ostatnich wypadków, policya ma zwrócone oczy na »hotel de Paris«, postanowiłem z niego dziś jeszcze wynieść się gdzieindziej i tym sposobem ślad za sobą zatrzeć. Bądź co bądź, przez te kilkadziesiąt godzin przeżyłem tyle silnych wra-

żeń na bruku stolicy, że ogarnęła mnie prawdziwa tęsknota za borami i górami Santa-Cruz, gdzie przynajmniej człowiek miał szablę przy boku i umrzeć mógł, broniąc się do ostatka. Ale czy mogłem opuścić Bilbao? czyż wolno mi było to uczynić? czy nie byłem niewolnikiem ślepo wykonywającym rozkazy, których znaczenia i potrzeby nie rozumiałem?

Wśród tych niewesołych rozmyślań ubrałem się i zamierzałem wyjść, gdy wśród ciszy panującej w hotelu, usłyszałem szybkie kroki, następnie szelest sukni kobiecej, który zatrzymał się u mych drzwi i do których zaraz zapukano.

— To nikt inny, tylko Józefina! — pomyślałem sobie, i z uczuciem ogromnej pociechy w duszy, szczęścia i radości, zagłuszającej trapiące mię przed chwilą ponure myśli, pobiegłem do drzwi i otworzyłem je na oścież.

Tak, to była ona. Stała przedemną spłoszona, przerażona, oglądająca się na wszystkie strony i wbiegła natychmiast do pokoju, wnosząc ze sobą woń fiołków, które tak zawsze lubiłem. Wbiegłszy, padła, lecz nie siadła, na krzesło z głębokiem, do jęku podobnem westchnieniem, a ja już klęczałem u jej nóg i całowałem namiętnie z uniesieniem jej białe rączki. Zapomniałem o wszystkiem, o Burczymusze, o Laskonogim, o jej mężu, panu Rosotemplo, o grożącem mi niebezpieczeństwie, o tem, że miałem naznaczoną schadzkę w ogrodzie miejskim, o wszystkiem jednem słowem, a myślałem tylko o tej kobiecie, najmilszej z kobiet, o tej słodkiej i kochanej, której urok, dotknięcie rąk, sukni upajało mnie, jak narkotyk, budziło we mnie wszystkie żądze i wszystkie namiętności. Miałem ją znów u siebie, znów przy sobie, byłem z nią po tylu miesiącach niewidzenia, sam na sam, mogłem całować te ręce, kolana, tę pierś, te usta...

Ale widok jej ślicznej twarzyczki, gdy uchyliła zasłony, dziwnie bolesne na mnie zrobił wrażenie. Zbladła, schudła, a wielkie jej czarne oczy, te cudowne oczy pełne ognia i łagodności, palące jak słońce południowe i jak miód słodkie, były mocno zaczerwienione, otoczone siną obwódką i załzawione.

— Co się stało? Czego płaczesz? — pytałem.

— Nie! nie płaczę — odrzekła tym swoim melodyjnym, śpiewnym głosem, który oddziaływał na mnie, jak śpiew najpiękniejszy, już nie płaczę... — dodała. — Ale jestem okropnie niespokojna i doprawdy, sama nie wiem, co robię.

— Ale o co idzie?

— Czyż nie domyślasz się? czyż nie widziałeś wczoraj? czyż nie grozi mi widoczne, oczekiwane niestety! oddawna, najstraszniejsze niebezpieczeństwo? — wołała z tem namiętnem, a jej właściwem uniesieniem, nadającem niewypowiedziany wdzięk i urok jej postaci.

Zrazu oszołomiony jej obecnością, ogłuszony falą krwi młodej, którą obudziła we mnie jej postać, wonią bijącą od niej, jej pocałunkami, tą kobiecością wreszcie drgającą w atmosferze mego pokoju, nie zrozumiałem jej narzekań i skarg.

— O co idzie? — spytałem — o jakiem mówisz niebezpieczeństwie?

— O najstraszniejszem ze wszystkich. Mój mąż...

Zerwałem się na równe nogi, bo nagle wyraz ten przypomniał mi rzeczywistość, oblał mię zimną wodą.

— Tak, wiem wszystko! jesteś żoną kapitana karabinierów, Rosotemplo... najzajadlejszego naszego wroga...

Słowa te wypowiedziałem tonem surowym, jak gdybym pragnął jej przez nie dokuczyć, zawstydzić ją, znieważyć wreszcie. Przez jeden z tych szczególnych objawów złożonej natury ludzkiej, w tej chwili nienawidziłem prawie tę kobietę, której przed chwilą kolana i ręce całowałem, i czułem w sobie chęć zamordowania jej, zduszenia w moich ramionach. A przecież to była kobieta, którą gorąco i jedynie w mem życiu naprawdę kochałem!...

Na moje słowa zrazu nic nie odrzekła, tylko patrzała mi w oczy, tem swojem słodkiem, głębokiem wejrzeniem, wreszcie rzekła:

— I cóż ci z tego przyszło, żeś się o tem dowiedział? Czy to zmieniło twoje serce? czy miłości naszej nada inny

smak, moim objęciom mniej namiętności? czy zmieniło słodycz mego pocałunku, rozkosz moich uścisków? Powiedz, że tak, a wstanę i odejdę stąd i skończy się... poemat mego tak smutnego życia.

I znów dźwięk melodyjny jej cudownego głosu, słodkie wejrzenie jej oczów, które mię zawsze porywało, porwało mię i teraz. Ukląkłem u jej nóg i obejmując jej kibić, całowałem i wołałem:

— Przebacz! przebacz Dusiu najdroższa! cóż to może zmienić w naszej miłości, że ty jesteś żoną Rosotempla. Kocham cię, jak zawsze, i chcę... pragnę, byś była znów moją jedyną, jak przedtem, jak dawniej...

Lekko wysunęła się z moich objęć i szepnęła:

— Wiesz, że jestem twoją niewolnicą, twoją rzeczą, możesz ze mną robić co chcesz. Ale chciałam z tobą pomówić wprzódy. Czyż nie widzisz, jak poważne, jak groźne nad nami wisi niebezpieczeństwo?

Byłem tak oszołomiony, że nie mogłem zrozumieć o jakiem niebezpieczeństwie ona mówi.

— Gdzie? Co takiego? — pytałem.

— Przypomnij sobie, że wczoraj, gdyśmy się spotkali, ścigał cię jeden z najzręczniejszych szpiegów mego męża... Tuhan Merinos... i że widział nas obojga, i tylko dzięki temu, przestał dalszego pościgu...

— Tak, prawda... przypominam sobie. Ale bo w tej chwili przeżyłem tyle zdarzeń, że mogłem o tem zapomnieć. Więc cóż ten Merinos? Albo, niech go szatan porwie! mów mi o sobie, jakiego lękasz się nieszczęścia?

— Właśnie o tem mówię. Już zaraz wczoraj przewidziałam tę burzę, jaka się nad moją głową zbiera, przewidziałam, że Merinos przedewszystkiem pójdzie do mego męża i opowie mu całe zdarzenie...

— Więc cóż z tego?

— Jakto, czyż nie rozumiesz następstw tego? nuż mię spyta się z kim ja rozmawiałam? cóż mu powiem?

— Ależ to głupstwo! — zawołałem — powiedz mu pierwsze lepsze prawdopodobne nazwisko. Czyż nie możesz znać nikogo poza kołem znajomości twego męża? Jeżeli to takie niebezpieczeństwo, to żartuj sobie z niego.

Śmiałem się, ale ona nie śmiała się, tylko w koronkach czarnych na głowie, drżących za każdem jej poruszeniem, zachowała tę powagę chłodną w postawie i trwogę w swych ślicznych oczach.

— O! mylisz się, zupełnie się mylisz, biorąc te rzeczy tak lekko, nie wiem gdzie cię spotkał Merinos, ale jest on zanadto przebiegły i zanadto mądry, by nie miał poważnych co do ciebie podejrzeń. Nie wątpiłam ani na chwilę, że doniesie o wszystkiem mężowi, jakoż tak było. Na szczęście, mąż mój zajęty był wczoraj wieczorem tak, że nie mógł Merinosa przyjąć, potem poszedł na jakąś wyprawę nocną, z której wrócił strasznie pobity...

— No! — rozśmiałem się — wiem coś o tem.

— Jakto wiesz?

— A bo się to tutaj... w tym hotelu działo. Twój szanowny małżonek chciał aresztować kogoś... no! poco mam ukrywać przed tobą? jednego z moich znajomych i ten go tak poczęstował. Ha! ha! ha!

Śmiałem się, ale ona się nie śmiała wcale. Zachowywała ciągle swą postać poważną i swój wyraz strasznej trwogi w oczach.

— I cóż to za znajomy? powiedz mi, Valery, powiedz wszystko, bo tylko w takim razie może będę mogła ocalić i ciebie i siebie...

— Bój się Boga, Dusiu! — zawołałem obejmując ją namiętnie — co tobie? czego się lękasz?

— Wszystkiego. Nasze wczorajsze spotkanie było nieszczęściem. Czyż możesz przypuszczać, że Merinos nie opowie memu mężowi o tem, że ciebie ścigał i że ścigany zna się ze mną? Ani na chwilę, znając ich obu nie wątpiłam o tem. I nim wróciłam do domu, Merinos już tam był. Ale,

powtarzam, dotąd nie mógł zakomunikować swych wiadomości panu Rosotemplo. Dziś od rana siedzi w przedpokoju i czeka, aż mąż będzie go mógł przyjąć. Ale nic z tego, przynajmniej w tej chwili. Kapitan tak strasznie wygląda, że za nic w świecie nie pokaże się swoim podwładnym. Jednak nie należy na to liczyć. Merinos może napisać do niego i o wszystkiem mu donieść. I cóż ja wtedy powiem? czem się wytłumaczę?

Znowu umilkła i znów jej oczy śliczne powlekły się mgłą tej posępnej trwogi i zadumy, która nadawała im wyraz pełen nieokreślonej poezyi.

— Przecież tysiące można będzie znaleźć tłumaczeń — odrzekłem — czyż nie możesz znać kogoś, o którym twój mąż nie wie?...

— Nie; zna on doskonale całe moje życie, wszystkie moje stosunki, moją przeszłość... Nie! takie tłumaczenie byłoby gorszem od samej prawdy, bo obudziłoby jego podejrzenia... jego policyjne instynkta... O! jakże ja pogardzam, jak nienawidzę tego człowieka! — zawołała z tem właściwem sobie i namiętnem uniesieniem, podnosząc ręce do góry, jakby błagała Boga, by pioruny spuścił na głowę jej męża.

— Jak się to stało, Dusiu, żeś poszła za niego?

Uśmiechnęła się melancholijnie.

— Dziwne pytanie w takich okolicznościach, w jakich my się w tej chwili znajdujemy! I co ci z tego przyjdzie, że się dowiesz? Nie poruszajmy zresztą przeszłości? po co budzić echa przebrzmiałych niepowrotnie chwil? Myślmy o teraźniejszości, która jest straszną i nieopisaną trwogę budzi w mojem sercu...

— Doprawdy, nie rozumiem, czego ty się tak lękasz?

— Czego? wszystko mię przeraża... Merinos w tej chwili może opowiada mojemu mężowi o wczorajszem naszem spotkaniu. O! nie sądź, żeby on był taki głupi i ścigając cię, nie widział w tobie podejrzanej osoby. Ręczę za to, że na ten hotel ma ktoś zwrócone oczy i trzeba tylko mego

zaślepienia, szału, który ogarnął me serce i duszę, zapomnienia o wszystkiem, by tu przyjść dzisiaj.

— Zapewne, że ten hotel jest pod ścisłą obserwacyą — odrzekłem — i niewątpliwie cię widziano, jeżeli ten, którego tu ustawiono, zna ciebie.

— O! zna mię z pewnością! — zawołała — oni wszyscy mnie znają, cała ta niegodna zgraja.

Zerwała się nagle i poczęła wzburzona biegać po pokoju i wołać:

— Co za życie! co za życie!

— Bądź co bądź, Dusiu — rzekłem obejmując ją ramionami — nie trzeba rozpaczać. Niema takiego położenia, z któregoby nie było wyjścia. Przedewszystkiem ja się muszę wynieść z tego hotelu, bo po wypadkach tej nocy, niebezpiecznie tu jest mieszkać.

— Może to tutaj mój mąż został tak strasznie pokaleczony? Opowiedz mi, co się stało. Kto jest ten, którego tu gorliwie poszukiwano?

— Mój znajomy. Są to rzeczy, których ci powiedzieć nie mogę, Dusiu. Tajemnica nie jest moją wyłączną własnością. Wybacz, ale milczeć muszę.

— Masz słuszność! — rzekła — nie powinnam się o to pytać. Ale za długo już tu siedzę. Musimy się rozstać. Gdzie i kiedy się zobaczymy?

— Dam ci znać za pomocą ogłoszenia w *Mercatorze*. Sam jeszcze nie wiem, gdzie się przeniosę.

— Dobrze! bądź ostrożny, o mój najdroższy, mój jedyny, moje słońce, moja nadziejo!

Rzuciła mi się w ramiona i objęła mię namiętnym uściskiem, przypominającym słodkie dni dawniejsze. Potem poprawiła sukni i kapelusza i obrzuciwszy mię jeszcze raz swym słodkim, tyle pieszczot obiecującym wzrokiem, wyszła szeleszcząc koronkami swej sukni, unosząc z sobą upajającą woń fijołków i tej nieuchwytnej kobiecości, która taki urok nadawała jej postaci. Zostałem sam smutny, rozbolały, przejęty

zazdrością i żalem, że tej kobiety nie mogę nazwać swoją, że ona wyłącznie do mnie nie należy.

## IX.

Ale tym żalom nie męskim i do niczego nie prowadzącym, bo tego co się stało, żadna siła ludzka cofnąć nie mogła, surowa rzeczywistość koniec położyła. Przypomniałem sobie moją sytuacyę, niebezpieczeństwo, w jakiem pozostawałem, bo nie mogło ulegać wątpliwości, że policya hotel »de Paris« miała na oku i zapewne widziała wchodzącą do niego Józefinę, wreszcie konieczność udania się do ogrodu miejskiego, gdzie miałem naznaczoną schadzkę. Już było po godzinie dziesiątej i należało się spieszyć. Wyprawa nie była bardzo bezpieczną, ale na to nic poradzić nie mogłem.

Włożyłem więc płaszcz na siebie, kapelusz nacisnąłem na oczy i pełen najsmutniejszych przeczuć, zdenerwowany do głębi, wyszedłem na ulicę. Starałem się przybrać postawę człowieka swobodnego, zajętego tylko swymi interesami, nie mającego żadnych obaw i kłopotów. W bramie zatrzymałem się i paląc cygaro udawałem, że się przypatruję ruchowi ulicznemu, a w rzeczy samej na prawo i lewo rzucałem badawczo spojrzeniem, czy jakie podejrzane indywidyum nie kręci się w okolicy.

Ruch na chodnikach i na środku ulicy był duży: mnóstwo dorożek pędziło, przechodnie spieszyli się, bo poranek acz słoneczny był chłodny i trudno było w tym tłumie dostrzedz, czy ktoś nie ma mię na oku, zwłaszcza, że szpieg musiał się starannie ukrywać. Nie mając więc możności przekonania się czy jestem, czy nie, śledzony, podniosłem kołnierz u płaszcza i puściłem się w drogę, obiecując sobie, że gdziekolwiek, przy pierwszej lepszej sposobności, zatrzymam się i obejrzę się za siebie. Sposobności takich kilka się przydarzyło, czy to przy przejściu przez ulicę na drugą jej stronę, czy przy wspaniałych wystawach sklepowych i zdawało mi

się, że nie jestem wcale ścigany, ale oczywiście za to zaręczyć nie mogłem.

W ogrodzie miejskim, gdzie o tej porze nie wiele było osób, we wspaniałych alejach wysadzonych olbrzymimi, stuletnimi kasztanami, znów się zatrzymałem i przypatrując się przepysznym rabatom kwiatowym, obejrzałem się pilnie dokoła. Przez bramę usuwało się kilka osób i paru mężczyzn dość podejrzanego wyglądu, ze trzy kobiety spieszące z koszykami, nic więcej. Znudziło mię już to ciągłe oglądanie się i trzymanie się na baczności, splunąłem z gniewem i ruszyłem do alei wskazanej mi na kartce wczoraj przysłanej.

W alei tej na czwartej ławce, na wielkie moje zdziwienie siedziała jakaś kobieta, czarno ubrana z fioletowemi kwiatami u kapelusza, należąca widocznie do sfer wyższych, do sfer paktujących z rządem, wiernych kościołowi i noszących miano »fiołków«. Ale oprócz stroju, przynależność do tych sfer zdradzała postawa zręczna i wykwintna, ruchy pełne elegancyi i wdzięku. Siedziała, bawiąc się parasolką także fiołkowego koloru i końcem jej rysując jakieś figury geometryczne na piasku alei. Dama ta, nie była sama. Obok niej siedział na ławce jakiś staruszek siwy już, zgarbiony, kaszlący głośno i wsparty oburącz na lasce.

Para ta siedziała właśnie na tej ławce, która mi została wskazana jako miejsce schadzki i miała wygląd, jak gdyby po długiej przechadzce przysiadła na chwilę dla wypoczynku.

— Prawdopodobnie niedługo wstaną i pójdą sobie. Trzebaż właśnie, żeby usiedli na czwartej ławce, kiedy wszystkie inne są puste i żywej duszy niema w alei.

Takem sobie mówił, ale właśnie ta okoliczność, że wszystkie inne ławki były niezajęte, że w alei oprócz paru nianiek z dziećmi, nikogo więcej nie było, zastanowiła mię nieco.

— Czyżby ci, którzy mi schadzkę naznaczyli, jeszcze nie przyszli? Byłoby to bardzo szczęśliwie, bo już jest kwadrans na jedynastą. A może już odeszli? a może, widząc ławkę zajętą, krążą gdzie w okolicy?

Obejrzałem się bacznie dokoła. W alei głównej, równoległej do tej, w której ja się znajdowałem, szło kilka osób, przeważnie jednak kobiet, widocznie dążących za rozmaitemi sprawami, bo biegły szybko. W alei lewej zato, dalszej nieco, krokiem wolnym, z rękami w tył założonemi, w których chwiała się gruba, sękata laska, przechadzał się jakiś mężczyzna, ubrany z waszecia ale dostatnio, którego postawa, ruchy przypominały mi mglisto kogoś, kogo dawno widziałem, ale gdzie i kiedy, tego sobie na razie przypomnieć nie mogłem, zwłaszcza, że twarzy owego spacerowicza dostrzedz nie mogłem, bo był za daleko odemnie i głowę trzymał odwróconą. Dostrzegłem tylko, że ma ciemny bardzo zarost.

Wszystkie te spostrzeżenia do niczego nie prowadziły i zajmującego mię pytania nie rozwiązywały. Nie wiedziałem co robić: czy usiąść na czwartej ławce, i czekać, czy też iść dalej i schadzkę uważać za uchybioną. W każdym razie zdawało mi się, że na wszelki wypadek należy dobrze przypatrzyć się czarnej damie i jej kaszlącemu towarzyszowi. Przeszedłem więc wolno koło nich i z impertynencyą lowelasa, który niema nic do roboty, obejrzałem od stóp do głowy najprzód damę, a potem mimochodem opartego na kiju jegomościa. Dama była jasną blondynką o bujnych lokach, efektownie odbijających od czarnej zasłony, o dużych, jak niebo jasnych oczach, bardzo bystrych i przenikliwych, któremi śmiało patrzała na mnie i ani na chwilę ich nie spuściła. Twarzy pod ciemną zasłoną dobrze zaobserwować nie mogłem. Co do jej towarzysza, to ten kaszlał nieustannie, miał czuprynę i zarost szpakowaty i oczy zezowate, któremi spoglądał na mnie bardzo podejrzliwie.

Przeszedłem koło nich i tak sobie rozumowałem:

— Zapewne niedługo wstaną z ławki i pójdą sobie dalej. Bądź co bądź, ponieważ wyznaczono mi tutaj schadzkę, a na ławce jest jeszcze miejsca dosyć, więc siądę koło tej pary, która mi tak nie w porę weszła w drogę. Wprawdzie spóźniłem się nieco, ale w każdym razie wypada usiąść i czekać.

Powziąwszy takie postanowienie zawróciłem i na ławce obok damy usiadłem. Spojrzała ona na mnie z ukosa i przez chwilę panowało milczenie, wreszcie na wielkie moje zdziwienie dama nagle zwróciła się do mnie i głosem grubym, męskim, prawie w bas wpadającym, spytała ostro:

— Przepraszam, pana, która godzina?

Wydobyłem zegarek i odrzekłem:

— Dwadzieścia minut po dziesiątej.

— Dwadzieścia minut! — zawołała i po niejakim czasie obejrzawszy się dokoła, dodała:

— Widzi pan, jak to źle jest spaźniać się. Punktualność nietylko jest grzecznością królów, ale i zwykłych śmiertelników. Trzeba o tem pamiętać, tem więcej, że w czasach obecnych jedna chwila stanowi częstokroć o najważniejszych wypadkach.

Lekkie to napomnienie, wypowiedziane głosem męskim i tonem surowym, zdumiało mnie i co ważniejsze obraziło. Nie zdając sobie sprawy z położenia, powodowany jedynie krewkością mej natury żołnierskiej, zwróciłem się do jasnej, księżycowej blondynki o głosie grenadyera i zapytałem dość szorstko:

— Któż pani do krocset djabłów jesteś, że śmiesz mi takie uwagi robić?

W tejże chwili kaszlący jegomość, wsparty na lasce, wyprostował się nagle i patrząc na mnie czarnemi zezowatemi oczami, spytał:

— Wszak pan jesteś porucznik Valery, zwany inaczej Don Diego Orosco?

— Tak.

— A więc miałeś pan rozkaz stawić się tu o godzinie dziesiątej, a stawiłeś się o dwadzieścia minut później. Dlatego ta dama (tu uśmiechnął się szydersko), dała panu napomnienie, do czego ma zupełne prawo. Ale tu o to nie idzie i nie mamy czasu na próżne gadaniny. Mówiono panu zapewne o mnie. Jestem Miguelo, znany w organizacyi pod pseudoni-

mem Zezowatego; ten pan (tu wskazał na księżycową blondynkę) jest Filipem, noszącym miano Białego. To panu wystarczy. A teraz muszę panu powiedzieć, obywatelu, że powinieneś wynieść się z hotelu »de Paris«, bo policya ma na niego oko. Mieszkania nie potrzebujesz szukać, bo czeka na ciebie gotowe oto i adres.

Tu wręczył mi kartkę i mówił dalej:

— Przeniesiesz się tam dziś jeszcze, im wcześniej, tem lepiej. Twoi towarzysze, z którymi przybyłeś z prowincyi, również mają się przenieść. Oto adresa nowych ich mieszkań, które zechcesz im, obywatelu, przy zachowaniu wszelkich ostrożności wręczyć.

— To jest niemożliwe! — rzekłem — gdyż nie wiem gdzie obaj ci towarzysze moi w tej chwili się znajdują.

Tu opowiedziałem obu tym panom, Miguelowi Zezowatemu i Filipowi Białemu, przebranemu za piękną damę, wypadki zaszłe w nocy w hotelu »de Paris«, których ofiarą padł Burczymucha i Laskonogi. Wysłuchali tego w milczeniu, ale z wyrazem zdumienia na twarzy, a gdym skończył, efektowna blondynka zaklęła jak dorożkarz, wołając:

— Do wszystkich djabłów, nic o tem nie wiem. No! już ja tym hyclom moim zmyję głowę...

I zwracając się do mnie, rzekła:

— Mój obywatelu, biegnij do siebie i wynieś się jak najprędzej. Co się tyczy dwóch twoich towarzyszy, to...

Ale nie skończyła, bo nagle na początku alei, w której siedziediśmy, ukazał się ów mężczyzna z waszecia ubrany, z czarnym zarostem i począł kaszlać i pluć tak mocno, że wszyscy zwróciliśmy na niego uwagę. Zaraz też obaj panowie, pan Zezowaty i pan Biały, zerwali się z ławki i szepnęli mi szybko:

— Uciekaj, idź tam!...

To rzekłszy wzięli się pod rękę, jak mąż z żoną, i ruszyli ku owemu kaszlącemu jegomości, na którego gdym baczniej spojrzał, na moje wielkie zdziwienie poznałem w nim

Huana, przemytnika, mniemanego męża pani Teresy. Ale nie było czasu teraz zastanawiać się nad tem osobliwszem i całkiem niespodziewanem spotkaniem; należało uciekać, gdyż widocznie jakieś niebezpieczeństwo nieznane zagrażało mnie i tamtym. Kazano mi iść w stronę przeciwną, w głąb ogrodu; nie namyślając się więc ruszyłem żwawo naprzód, rzucając dokoła baczne spojrzenia, i nie widząc nic podejrzanego. Dzień był chłodny, ale słoneczny i mnóstwo osób, kobiet, nianiek z dziećmi przechadzało się, napawając się świeżem powietrzem ogrodu i resztkami jesiennych blasków słońca. W tym tłumie łatwo mi było zniknąć z oczów szpiega, jeżeli mię śledził. Ale zdaje się, że tym razem nie miał mię nikt na oku, gdyż zajęty nadzwyczajnemi zdarzeniami, na które teraz patrzałem, wstrząśnięty do głębi swoją dziwną sytuacyą względem naczelnika policyi rządowej kapitana Rosotemplo, którego żonę kochałem, pełen smutku głębokiego, wobec smutnej i najgorszą wróżącej sobie przyszłość Józefiny; nakoniec zdumiony widokiem mężczyzn, przebranych za kobiety, zapomniałem zupełnie gdzie się znajduję i zmęczony moralnie i fizycznie siadłem na ławce w jednej z bocznych alei ogrodu i w posępne pogrążyłem się dumanie.

Przedemną olbrzymie kasztany zieleniały jeszcze resztkami letnich swych koron, inne drzewa, niemniej stare i niemniej wielkiego wzrostu, zdobiły się całą krasą jesieni, a słońce przedzierając się przez liście kładło się złotemi plamami na kamiennym posągu, przedstawiającym sprawiedliwość i ważącym na szalach losy i przeznaczenia ludzkie. Pewna poezya leżała w tym ogrodzie, w tem słońcu, w tym posągu kobiety pięknej i na pół nagiej, z oczami przepaską zawiązanemi, dzierżącej w dłoni wagę, na której metalowych krążkach zapalały się od promieni słonecznych oślepiające blaski. Siedziałem zamyślony głęboko, zdziwiony tem wszystkiem na co dotąd patrzałem, przerażony nieco niebezpieczeństwami, które w tem wielkiem mieście, na każdym kroku zdawały się czyhać na mnie, zasłuchany w wesoły gwar dzieci, które nieo-

podal odemnie, na niewielkim placyku wesoło się bawiły. Dokoła mnie kręciło się mnóstwo tych dzieci, przechadzały się poważnie ich bony, niańki, matki i dozorczynie, i ogród cały brzmiał tysiącem wesołych odgłosów życia i rozmów kobiecych. Mężczyzn w ogóle nie wielu zauważyłem. Kilku starców, wspartych na kijach, posuwało się wolnym krokiem, rozprawiając głośno, przerzynając się z trudem śród gromady dzieci, zastępujących im drogę. Nie widząc zatem nigdzie żadnej podejrzanej figury, uspokoiłem się zupełnie i zadowolony z tego wrzącego życia, które mię otaczało, z tych drzew i ich szumu, przypominającego mi lasy Santa-Cruz, z tego słońca, które mię obrzucało masą swych promieni, rozsiadłem się wygodnie na ławce i myśląc o tem wszystkiem com tu w okolicy widział, właściwie o niczem nie myślałem, wpadłem w jakiś słodki stan bezczynu duchowego. Oczy moje błądziły po twarzach kobiecych, po ich strojach, i ruchach; wsłuchiwałem się w gwar ich rozmów, w szelest ich sukien, ale właściwie przestałem myśleć, oddany zupełnie słodkiemu spoczynkowi ciała i duszy.

Nagle skądś z ubocza, w tę gromadę krzyczących dzieci i gwarzących kobiet, wsunął się mężczyzna, w którym po jego długich nogach, po chwiejącym się chodzie żórawim, poznałem mego Karola Laskonogiego. Ze zdumiewającą spokojnością po nocy tak burzliwie przepędzonej i wobec niebezpieczeństwa tak groźnego, wiszącego nad jego głową, posuwał się on wolno, kołysząc się jak bocian, w kapeluszu z fantazyą na głowę włożonym, podpierając się jakąś laseczką, z miną dandysa arcyśmiesznego w swym stroju, trzymał w ręku szkło, przez które impertynencko przypatrywał się niemal każdej kobiecie, koło której przechodził. Miał minę swobodną, laseczką wywijał, brał się pod boki, stawał w pozach bohaterskich, uśmiechał się do kobiet, i temi swemi ruchami i pozami wysoce zabawnemi, powszechną na siebie zwracał uwagę.

Przyznaję się, że na widok Laskonogiego skamieniałem i zarazem przeraziłem się następstwami lekkomyślnego jego

postępowania. Zamiast siedzieć gdzieś w ukryciu, nie pokazywać się nikomu na oczy, przeczekać burzę, która nad jego głową się zebrała, on sobie wyszedł do ogrodu publicznego na przechadzkę i z miną niepokonanego podbójcy serc niewieścich, szuka jakiej przygody miłosnej. Kobiety oczywiście nie zachwycały się wcale cienką, kołyszącą się i wysoce zabawną postacią Laskonogiego, ale przypatrywały się mu ciekawie i śmiały się z niego po cichu, pokazując go sobie oczami, a on myśląc, że budzi zachwyt powszechny dokoła, jeszsze bardziej się giął, przybierał komiczne miny, krygował i z wdziękiem rzucał strzeliste spojrzenia dokoła.

Rozgniewany tem wszystkiem, już chciałem wstać i ruszyć do mego towarzysza, z zamiarem surowego skarcenia, gdy on, rozglądając się dokoła, spostrzegł mię nakoniec. Na chwilę zatrzymał się, ale potem nagle wyciągając swe długie i cienkie nogi, w paru skokach znalazł się przy mnie i zawołał ze zwykłym sobie patosem w głosie.

— Co za szczęście! jak to dobrze, że cię spotykam, czcigodny Don Diego Orosco! Gdybym nie wierzył w Opatrzność, musiałbym teraz uwierzyć, że czuwa ona nad ludźmi i krokami ich kieruje. Słowa poety, mniejsza o to którego, że nie trzeba rozpaczać w najgorszem nawet położeniu, sprawdziły się na mnie w sposób zdumiewający. A wiesz, czcigodny panie, w jaki sposób sprawdziły się? Oto w taki, że ciebie spotkałem. Składam za to niebiosom podziękę i jak mi tylko czas pozwoli, ułożę pyszną pieśń dziękczynną, pisaną sekstynami!

Mówił to, chwiejąc się na swych nogach, rzucając dokoła zabójcze spojrzenia na kobiety, cienkim dyszkantem dominując nad gwarem krzyków dzieci i rozmów niewieścich. Milcząc wskazałem mu miejsce obok siebie. Usiadł, starając się przybrać pozę romantyczną, wyciągnął swe długie nogi i począł poprawiać zbyt krótkie spodenki.

— Przedewszystkiem — rzekłem z gniewem — bądź cicho i nie krzycz tak do wszystkich djabłów!

Spojrzał na mnie uważnie i rzekł głosem przyciszonym:

— O! o! niech się Don Diego nie gniewa. To uczucie radości przepełniające me serce na widok pana, spowodowało ten wybuch uniesienia! I czego się tu gniewać? Bogowie! powiedzcie czego się tu gniewać? Czy te anielskie istoty, które nas osaczają, których szelest sukień wszystkie nerwy mego ciała napawa niewysłowioną rozkoszą, mogą nam grozić jakiem niebezpieczeństwem?

— Milcz do stu tysięcy par rogatych djabłów! — zgrzytnąłem — trzeba być ostatnim osłem, żeby po tem, co cię w nocy spotkało, włóczyć się po ogrodzie publicznym i swem głupiem zachowaniem zwracać na siebie powszechną uwagę.

— Przebóg! — zawołał — czcigodny Don Diego Orosco, nie rozumiem powodów twego Jowiszowego gniewu. Czyż nie zachowuję należytych ostrożności? czyż nie nazywam cię jak należy? A co się tyczy tego, że zwracam na siebie uwagę tych boskich istot, które słodkiemi swemi wdzięki, przejmują mą duszę do głębi, to sądzę, że nie głupie moje miny, jak raczyłeś to powiedzieć, a co ci wspaniałomyślnie przebaczam, ale niezwykła moja postać, poetyczne natchnienie, rozlane na mej twarzy, jest tego powodem. Wreszcie, co do mej przechadzki, to powiedz, o! czcigodny Don Diego Orosco, co ja mam czynić innego, skoro w tem wielkiem mieście jestem jakby na pustyni, jak wygnaniec, który niema gdzie głowy swojej schronić? Oto obadwaj, z potężnym ciałem ale słabym co do inteligencyi Sebastyanem Almeidą, bo takie szlachetne obecnie nosi miano, wypędzeni nocnym napadem zbirów z ciepłych i wygodnych łóżek, całą noc błądziliśmy po ogrodach, a teraz za dnia po ulicach...

— I to właśnie jest głupie! — zawołałem — chyba chcecie, żeby was pierwszy lepszy algasil schwytał. Wszak do tej pory wszyscy oni muszą mieć wasze rysopisy.

— Co do mnie, wątpię bardzo, gdyż mojej natchnionej twarzy, żaden z nich nie widział; co się zaś tyczy Almeidy, to jest prawdopodobne.

— Skoro więc tak sądzisz, jakże możecie włóczyć się po ulicach!

— A cóż mamy robić, o! najlepszy z naszych zwierzchników. Zważ jeno proszę, że ani ja, ani Almeida nie mamy ani jednego nędznego pesosa przy duszy, i co gorsza od wczoraj nic w ustach nie mieliśmy, a słońce dobiega już swego południowego zenitu. Wprawdzie ja żyję więcej natchnieniem, karmię się widokiem tych niebiańskich istot, których szelest sukień napawa mię niewypowiedzianą rozkoszą, ale Almeida, istota na wskróś cielesna...

— Przestań do licha pleść cudaków i mów do mnie po ludzku. Mówisz, że nie macie pieniędzy. Gdzieżeście je więc podzieli? Wszak przy rozstaniu we dworze Vola dałem ci dwadzieścia pięć realów.

Laskonogi skrzywił się, załamał rozpaczliwie ręce, spojrzał, przewracając haniebnie oczami, i zawołał z patosem:

— Dwadzieścia pięć realów! dwadzieścia pięć realów! O! mój poczcz... przepraszam, czcigodny Don Diego Orosco, cóż to jest dla duszy tak poetycznej jak moja, dwadzieścia pięć realów! Wszak podróż do Bilbao, życie, płeć nadobna...

— Osioł jesteś i basta! — zawołałem — nie masz prawa rozrzucać pieniędzy, krwawego grosza. Odpowiesz mi za to. I mam ochotę za karę zostawić cię twojemu losowi, niech cię piekło pochłonie. A ten stary dureń Burczy...

— Przepraszam cię, czcigodny Don Diego, on się zowie Almeida.

Uwaga ta uspokoiła mię nagle. Obejrzałem się dokoła, czy nikt nas nie szpieguje, i rzekłem:

— Za długo z sobą gadamy. Trzeba się nam rozejść. Powiedz mi tylko, co się stało z pieniądzmi, które miał Almeida, wszak dostał około pięciuset realów?

— Ach Almeida! Almeida! wszak wiesz, o czcigodny Don Diego Orosco, że to jest tęga ręka ale słaba głowa. Szedł piechotą i nie mógł się powstrzymać, by nie wstępować do wszystkich austeryj po drodze. W jednej z nich tak się ura-

czył, że zapomniał o Bożym świecie i okradziono go, doszczętnie go okradziano!

Co prawda wiedziałem już o tem, ale na chwilę zapomniałem, a teraz wiadomość ta doprowadziła mię do szalonego gniewu.

— Nie! — zawołałem — to przechodzi wszelkie pojęcie! I takie bałwany, takie pijaki, takie lekkoduchy chcą służyć dobrej sprawie...

— Porucz... przepraszam Don Diego... kobiety zaczynają na nas zwracać uwagę. Zaklinam cię na wszystkie bogi Olimpu i Parnasu, uspokój się!

Jokoż przywykły w tem życiu, jakie od paru lat pędziłem, do panowania nad sobą, uspokoiłem się natychmiast, choć przykro mi było, że mój podwładny musiał mi to przypominać. Wstałem i wręczając Laskonogiemu pięć realów, rzekłem:

— Oto są pieniądze na dzisiaj. Jutro zobaczymy. Tu zaś macie kartki z adresami mieszkań, do których możecie się zaraz zakwaterować. Zakazuję wam pod najsurowszą odpowiedzialnością pokazywać się na ulicach. Jutro lub pojutrze odwiedzę was osobiście. A teraz ruszaj mi z oczów i nie irytuj mię więcej swą głupią miną!

To rzekłszy odwróciłem się i poszedłem krokiem wolnym, bo pragnąłem wzburzenie i gniew, jaki wrzał we mnie, uspokoić. Baczną przytem zwracałem uwagę, czy mię kto nie śledzi, ale nikogo podejrzanego nie dostrzegłem w pobliżu. Po ogrodzie przechadzało się ciągle mnóstwo kobiet i dzieci, które gwarem swym napełniały starożytne kasztany alei. Gdy uszedłem kilkanaście kroków, obejrzałem się i dostrzegłem w oddali barczystą postać Burczymuchy, jak stał i pilnie słuchał co mu Laskonogi opowiadał. Do hotelu swojego dostałem się spokojnie i jak się zdaje przez nikogo nie szpiegowany.

## X.

Zaraz po rozstaniu się z Laskonogim, którego maniery i poufałość, z jaką ośmielał się do mnie mówić, nadzwyczajnie mnie zgniewały, wyniosłem się z hotelu »de Paris«. Udałem, że wyjeżdżam z Bilbao, służącemu mówiłem, że »mam już dosyć waszych tutaj porządków«, że to com słyszał o wypadkach w nocy, tak mię przeraziło, że za nic w świecie więcej siedzieć tu nie chcę.

— Wyjeżdżam do domu, do siebie i niech was Pan Bóg sekunduje! — mówiłem do służącego — nie wiele brakowało, że i do mnie w nocy nie przyszli. Gdyby się byli dowiedzieli, że ten pan, co grał na gitarze i śpiewał o jakimś Filonie, pisał do mnie, z pewnością byliby mnie zabrali. Dziękuję za to, ja jestem spokojny obywatel i nikomu wody nie mącę, ale nie chcę by i mnie mącono.

Wyruszyłem więc żegnany przez służbę, którą hojnie obdarzyłem, na dworzec kolei, a pokręciwszy się tu trochę, wziąłem inną dorożkę i pojechałem do mojej nowej kwatery na ulicy Dora. Sądziłem, że tym sposobem zatrę za sobą wszelkie ślady: niestety! jak się pokaże później, miałem arcynaiwne pod tym względem pojęcia o przebiegłości policyi rządowej.

Nowa moja kwatera mieściła się nieomal przy samym końcu ulicy Dora. W owe czasy, była to miejscowość oddalona od środka miasta, prawie pusta, pełna ogrodów, placów pustych i zarosłych trawą, oddzielonych od ulicy tylko parkanami lub wcale nie oddzielonych. Na niektórych z nich były składy olbrzymie drzewa i desek, na innych nic nie było, służąc za pole schadzek dla chłopaków z całej okolicy, lub dla tłumu podejrzanych indywidyów płci obojej. Niewątpliwie dobrze mi wybrano kwaterę. Znajdowała się ona w niewielkim domku drewnianym, w głębi podwórza dużego wzniesionym, samotnym, nie mającym prawie żadnego sąsiedztwa. Domek ten był piętrowy. Na dole po obu stronach sieni mieściło

się parę rodzin ubogich; po jednej, szewc kuternoga, którego młotek cały Boży dzień rozlegał się po domu, w akompaniamencie wrzasków jego godnej połowicy i krzyku licznych jej dzieci, z których dwoje najmłodszych, jak się zdaje bliźniaków, cały dzień nosić musiał terminator. Po drugiej stronie sieni mieszkała praczka z dwoma córkami, które nic nie robiły, tylko spały lub malowały swe ładne niegdyś, a obecnie mocno zniszczone buziaki, a gdy mrok zapadł, znikały z domu. Sąsiedztwo więc nie było zbyt przyjemne i krzywiłem się na nie trochę, ale później dopiero przyszło mi przekonać się, jak złote, jak wielkie i poświęcające się serca biły w piersiach i tego szewca pijaka, i jego krzykliwej małżonki, i tych dwóch malowanych dziewcząt, noszących romantyczne imiona Julii i Adolfiny.

Moje mieszkanie mieściło się na piąterku, na które się wchodziło po wydeptanych i szkaradnie skrzypiących schodach. Składało się ono z trzech pokoików okna, których dawały widok i na dziedziniec domu i na jego tyły, gdzie niegdyś był dość duży ogród, a teraz czerniało kilka umierających na suchoty śliw i jabłoni, a natomiast błyszczałe całe zagony kapusty, marchwi i innej ogrodowizny, zdeptanej mocno, pożółkłej i co rano błyszczącej kroplami nocnej, jesiennej rosy. Mieszkanie było nizkie, ubogie. W pierwszym pokoiku była kuchenka i rezydowała w niej stara już kobieta, zasuszona, zawiędła, chuda, jak kościotrup, w czepcu na głowie, kilku kosmykami siwych włosów przyozdobionej. Zwała się ona Franciszka, pani Franciszka, i gdym się tu zjawił przyjęła mię dość obojętnie i szorstko:

— A wiem, wiem, że jegomość masz się tu sprowadzić — mówiła oglądając mię od stóp do głowy surowemi i przenikliwemi oczami — nowy kłopot będzie. Pokój pański jest ostatni z widokiem na ogród. Okno się tam łatwo otwiera, piąterko niewysokie. Ho! ho! gdy ja byłam młoda, to z większych wysokości skakałam i dzięki Bogu nic mi nie było, a ja przecież byłam dziewucha, a jegomość jesteś mężczy-

zna, chłop. Za ogrodem to zaraz wał i pola, a choć po polach stoją tam te hycle karabiniery, to od czegóż głowa? No i czego jegomość stoi i przypatruje mi się, jak gdyby nigdy nie widział starej z przeproszeniem baby. Idźno jegomość, idź do ostatniej izby, rozgość się tam i siedź cicho jak mysz na pudle. A możeś głodny?

Juścić głodny byłem trochę, ale nie zdawało mi się, bym miał prawo żądać jedzenia od tej kobiety, która mię w tak dziwny sposób przyjęła. Odpowiedziałem więc, że nie. Spojrzała na mnie bacznie i rzekła:

— Dobrze jegomość robisz, że mówisz cicho, bo choć dom tu jest bardzo porządny, to zawsze trzeba się mieć na ostrożności, bo i ściany mają uszy. No! idź już jegomość do siebie, a ja ci tam zaraz obiad przyniosę. Obiad u mnie po staremu, punkt jest o dwunastej.

To rzekłszy, odwróciła się i poszła do kuchenki, na której w paru garnkach gotował się widocznie kapuśniak, bo zawiesista jego woń czuć się dawała.

Przechodząc przez następny pokój zauważyłem w kącie parę sprzętów, przypominających kaszty drukarskie, osłoniętych jakąś brudną szmatą. Rozrzucone na podłodze czcionki świadczyły wymownie, że się nie myliłem. Mieściła się tu tajemna drukarnia junty narodowej, o czem wkrótce miałem sposobność dowodnie się przekonać, gdyż w godzinę może po mojem przybyciu do tego domu, zjawiło się dwóch młodych ludzi i zajęło się najspokojniej składaniem jakiejś zapewne ognistej odezwy, których takie mnóstwo wtedy się pojawiało. Pokój ten zresztą, oprócz dużego stołu pod oknem, kufra jakiegoś w kącie, nic więcej w sobie nie zawierał.

Moja izdebka, ostatnia z kolei, także świeciła pustką, ale była czystą, widną i cichą. Okno, jakem rzekł, wychodziło na ów opustoszały ogród z kapustą, i pięterko w rzeczy samej nie było wysokie, tak, że można było zeń wyskoczyć w razie potrzeby, bez narażenia się na potłuczenie lub kalectwo. W dali widać było aleję starych drzew i wał miejski

i pola szerokie, na które tęskne oko zwróciłem, bo mi już duszno było w murach wielkiego miasta, murach przepełnionych wszelkiego rodzaju zasadzkami i niebezpieczeństwami. W pokoiku, wyklejonym błękitnym papierem, oprócz łóżka żelaznego z pościelą, małego stoliczka pod oknem, paru krzesełek, nic więcej nie było. Ale na stoliczku na moje wielkie zdziwienie znajdowała się książka od nabożeństwa p. t. »Złoty ołtarzyk«, zużyta i z zakładką w środku. Gdym ją w tem miejscu otworzył, znalazłem zakreśloną ołówkiem czerwonym »Modlitwę w niebezpieczeństwie«. Mimowoli począłem ją czytać. Była ona pełna prostoty i gorących próśb do Wszechmogącego, rezygnacyjnego oddania się na wolę Opatrzności. Czy skutek smutnego stanu mej duszy, poczucia wiszącego nademną każdej chwili kataklizmu, czy też z innych przyczyn, których badać nie myślę, dość, że modlitwa ta prosta, szczera, pełna smętnej jakiejś rezygnacyi, tak oddziałała na mnie, żem ją odczytał całą i odtąd nie było dnia, żebym jej wieczorem, kładąc się spać, nie odmawiał po cichu, w wielkiem skupieniu ducha i serca. Pokrzepiała mię ona silnie, wlewała pogodę w moją duszę i zwykle po jej odmówieniu zasypiałem spokojny, cichy, szepcząc:

— Niech się dzieje wola Boża!

W tym pokoiku przepędziłem parę dni z rzędu nie wychodząc prawie nigdzie, wsłuchując się w stuk młota szewca kuternogi, w krzyki jego małżonki i śpiewy panny Julii czy Adolfiny. Jedna z najpierwszych moich czynności, było zawiadomienie mej ukochanej Józefiny, za pośrednictwem *Mercatora* o miejscu mego nowego zamieszkania. Pisemko to zaprenumerowałem i stanowiło ono miłą i jedyną dla mnie rozrywkę podczas długich jesiennych wieczorów i niczem nie zakłóconej ciszy, jaka zwykle o tej porze w odosobnionym domku panowała. Szewc kuternoga przerywał swą robotę, krzyczące jego dzieci spały, panna Julia i Adolfina opuszczały dom, a pani Franciszkowa w kuchni drzemała nad pończochą. I taka była cisza, że słychać było wszelki ruch

na ulicy, szelest liści spadających ze starych śliw w ogrodzie, oniemal bicie mego serca.

W tej to ciszy, nie mając nic innego, odczytywałem od deski do deski *Mercatora*, ale po mojem ogłoszeniu napróżno szukałem jakiej wieści od mojej ukochanej Józefiny. Nie zjawiała się ona wcale na ulicy Dora, jakem się tego spodziewał i nie dawała żadnego znaku życia. Byłem tem nadzwyczajnie zaniepokojony, najprzód dlatego, że ogarniała mię od czasu do czasu niepowstrzymana tęsknota do tej kobiety, jedynej którą naprawdę w życiu kochałem, która w tych ponurych i krwawych czasach, była blaskiem, nadzieją i rozkoszą życia mojego, a potem, że świadczyło to, iż jej obawy co do męża sprawdziły się. Na skutek raportu Merinosa podejrzywa on jej stosunek do mnie, zapewne jej strzeże pilnie, a mnie niewątpliwie jego zbiry szukają po mieście.

Cóż mi wobec tego czynić wypadało? Rozsądek, chłodny, filisterski rozsądek nakazywał mi siedzieć cicho, nie wytykać nosa na ulicę i takiem ukrywaniem się przez parę tygodni, przeczekać burzę do czasu, póki gorliwość zbirów Rosotempla nie ochłodnie trochę, ale serce mi co innego mówiło. Pomijając już tęsknotę, która mię nieprzepartą siłą ciągnęła do Józefiny, to obowiązkiem moim było ratować kobietę, którą tak gorąco kochałem, i która z mojej przyczyny narażona jest na przykrości. Ale jak ratować? co robić i czy robić?

Wśród tych wahań moich, pewnego dnia wczesnym rankiem zjawiła się u mnie panna Adolfina z dołu. Jeszcze leżałem w łóżku, i słyszałem jak w kuchni pani Franciszka spierała się z dziewczyną:

— Czego panna tu chcesz? czy mało masz kawalerów, że i tego myślisz zbałamucić. Idź no panna, idź, on nie ma czasu teraz z takiemi jak panna się zadawać, co innego on ma na głowie.

Rozmowa ta, w której głosik panny Adolfiny doskonale poznałem, zwróciła moją uwagę. Nie wątpiłem ani na

chwilę, że dziewczyna inne ma powody, niż te, jakie przypuszczała stara Franciszka, i dla których chce się ze mną widzieć.

— Niech no pani Franciszka nie gada głupstw — wołała dziewczyna — ja muszę widzieć się z tym panem. Mam do niego ważny interes. Ja zaraz wyjdę, tylko mu coś oddam.

Zaciekawiony niezmiernie, zerwałem się z łóżka, okryłem się czem mogłem i wyszedłem do kuchni. Stała przedemną dziewczyna smukła, młoda jeszcze, niegdyś może bardzo ładna, o ognistem spojrzeniu, ale z twarzą zmęczoną, zepsutą przez kosmetyki.

— Czy to panna do mnie masz interes?

— Tak, do pana. Wszak pan się nazywasz Valery?

— Tak.

— Proszę pana, tu jest liścik do pana.

To mówiąc odwróciła się wstydliwie bokiem i z pod chustki, którą była okryta, z za gorsa wydobyła różowy liścik, który mi wręczyła z uśmiechem zalotnym, obrzucając mię wejrzeniem ognistem. Ledwiem rzucił okiem na adres, poznałem zaraz po charakterze pisma, że jest to list od Józefiny; sama woń fiołków, którą papier był przesiąknięty, przekonywała mię o tem

— Kto pannie oddał ten list? — spytałem gwałtownie, wzruszony mocno.

— Ej, proszę pana, co to o tem mówić! niech pan przeczyta, bo to pilne. A jeżeli będzie jaka odpowiedź, to proszę mi ją dać przed wieczorem. Niech pan będzie pewny, że dojdzie do rąk właściwych.

Stała przedemną otulając się w chustkę, ubrana w krótką spódniczkę, z pod której widać było jej małe, drobne nożyny w przydeptanych, niegdyś różowych pantofelkach atłasowych, dziś spłowiałych i zniszczonych.

Oczywista rzecz, że posłuchałem jej rady. Cofnąłem się do drugiego pokoju, gdzie stała kaszta drukarska, o tej wczesnej porze jeszcze pustego, i gorączkowo list otworzyłem. Tak,

był on od mej ślicznej, ukochanej Józefiny. W kilku wierszach, widocznie szybko i ukradkiem pisanych, donosiła mi, że mąż jej ma silne podejrzenie, że nie pozwala jej wychodzić z domu, że ją strzeże, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo, że prawdopodobnie nakazał swym zbirom aby mię szukali, że niepowinienem wychodzić na ulicę, ukryć się dobrze, że ten list wysyła przez swą służącą, którą obfitym datkiem zyskała, a która przyrzekła, że pismo to do rąk własnych moich dostawi; wreszcie prosiła mię, bym tą drogą dał jej kilka słów odpowiedzi, a w *Mercatorze* ogłoszeń nie robił, gdyż mogą one wpaść w oczy męża i straszne za sobą skutki sprowadzić.

Przeczytałem to wszystko jednym tchem i przedewszystkiem chciałem wiedzieć, jakim sposobem to drogie pismo dostało się do rąk panny Adolfiny. Stała ona jeszcze w kuchni i rozmawiała z panią Franciszką. Wychyliłem głowę przez drzwi i zawołałem:

— Panno Adolfino, słóweczko. Proszę tutaj!

Weszła, wahając się, z uśmiechem zalotnym na swych wybladłych, ładnych jeszcze dziś usteczkach, otulając się starannie chustką, usiłując ukryć swe nogi w spłowiałych pantofelkach. Zamknąłem za nią drzwi i spytałem:

— Skąd panna masz ten list?

— Ach, mój Boże! — rzekła uśmiechając się i obrzucając mię oczami — czy to konieczne, żeby pan wiedział?

— A czy panna nie możesz tego powiedzieć?

— No... mogę... tylko... ale co tam! powiem panu. To jest list pani kapitanowej Rosotemplo. U niej służy za garderobianę moja siostra przyrodnia, Izabela, może ją pan zna, ładna, tylko głupia dziewczyna. Zachorowała na cnotę...

Uśmiechnęła się cynicznie, ciągle zalotnie z boku na mnie spoglądając i mówiła dalej gwarą miejscową, powtarzając ciągle wyraz »więc«.

— Więc dziś bardzo rano, wracając do domu spotykam ją na naszej ulicy, jak chodzi i szuka jakiegoś numeru. Py-

tam jej, czego ty tu Bela chcesz? Powiada mi, że szuka domu takiego a takiego, że jej bardzo pilno, że znaleźć nie może. Więc powiadam jej, że ja mieszkam w tym domu; więc rozgadałyśmy się i ona mi ten list dała, bom jej przyrzekła, że go sama panu wręczę. Bela bała się dłużej pozostać na ulicy, bo mówiła, że ją może szpiegują szpiegi męża pani Rosotemplo. To bardzo ładna kobieta ta pani Rosotemplo i pan ma gust dobry!

Śmiała się, kręciła, oglądała dokoła i ciekawie przypatrywała kasztom drukarskim z czcionkami. Nie podobało mi się to bardzo, wyrzucałem sobie, że nieoględnie nieznajomą mi zupełnie dziewczynę i z natury już swojej lekkomyślną, wprowadziłem do tego pokoju, gdzie mieściła się jedna z największych tajemnic junty, najstaranniej ukrywana i strzeżona. Adolfina nieustannie strzelająca na mnie z ukosa zalotnemi oczami, zauważyła moje wejrzenie i niepokój, bo rzekła:

— O! pan może myśli, że ja nie wiem co to są te skrzynie? ha! ha! ha! wiem ja oddawna co się tu robi. Ale niech pan nie sądzi, żeby odemnie mógł się ktoś niepotrzebny o tem dowiedzieć. Ja jestem sobie taką dziewczyną ladaco... jak to powiada pani Franciszka, ale dobrą Hiszpanką i zjedzą oni z przeproszeniem sto djabłów, nim się czego odemnie dowiedzą!

Uśmiechnęła się, ukazując szereg białych i ładnych zębów i nie przestawała stroić zalotnych minek.

— W każdym razie — rzekłem — może panna Adolfina przejdzie do mego pokoju, tam swobodniej pogadamy i przygotuję odpowiedź.

— O! z odpowiedzią niema się pan co spieszyć. Ja z Belą nie zobaczę się, aż dopiero wieczorem. Do pańskiego pokoju? — zapytała, robiąc wstydliwe minki — pani Franciszkowa się na to oburzy!

Tak mówiąc, roześmiała się głośno srebrzystym śmiechem i w paru skokach znalazła się w trzeciej izdebce. Tu zatrzymała się na środku i ciekawie rozglądać dokoła poczęła.

— A! firanek pan wcale niema i ani jednego kwiatka nawet na oknie. Jak tu pusto! Pani Franciszkowa zna się doskonale na kuchni i nabożna jest bardzo, ale proszę pana, niedba wcale o to, żeby tu było ładnie. Żebym się pana nie bała, bo pan taki smutny i taki poważny, tobym panu przyniosła parę doniczek. Mam bardzo ładną fuksyę z ponsowymi kwiatami. Przynieść panu?

— Dziękuję pannie Adolfinie, ale ja nie mam czasu chodzić koło kwiatków.

— Ha! ha! ha! — śmiała się swym srebrzystym, pustym śmiechem — gdyby kto nie wiedział, toby temu uwierzył. Ale ja wiem doskonale, że pan nic nie robi i nudzi się tu w tym pustym pokoju i patrzy przez okno po całych dniach na kapustę w ogrodzie. Zresztą, niech się pan nie kłopocze. Ja albo Julka codzień tu zajrzemy i kwiatki podlejemy. Dobrze?

— Dobrze. Ale wróćmy do rzeczy.

— O! widzę, że pan bardzo jest zajęty panią Rosotemplo. Słowo daję, ładna kobieta i wygląda na wielką damę. Ślicznie się przytem ubiera.

Nie podobało mi się to bardzo, że tego rodzaju dziewczyna, jak Adolfina, mówi w tak poufały sposób o kobiecie, którą ubóstwiałem, która była moim ideałem, czcią i miłością moją. Wrażenie to musiało się odbić na mojej twarzy, bo nagle Adolfina przerwała, przestała się śmiać i rzekła:

— Niech więc pan liścik przygotuje, a przed wieczorem ja tu wstąpię po niego i zabiorę. Może pan być pewny, że pani Rosotemplo odbierze go dziś jeszcze. A teraz do widzenia!

Ukłoniła mi się zgrabnie, obrzuciła mię zalotnym spojrzeniem i drepcąc w swych przydeptanych pantofelkach, miała się do wyjścia.

— Jeszcze słówko, panno Adolfino! — rzekłem.

— A! (zatrzymała się z wyrazem zdziwienia na swej zmęczonej twarzyczce). A! pan wie, jak mi na imię?

— Wiem, ale o to nie idzie.

— A o cóż idzie?

— Czy pani nie wie, gdzie mieszkają państwo Rosotemplo?

Wpoiła we mnie swe palące oczy i widać było, że myśl jej nad czemś pracuje i po chwili rzekła:

— Wiem, co nie mam wiedzieć? Ale poco panu ta wiadomość? czy pan chce tam iść?... ale dlaczego nie? Mój Boże, przecie ja czytałam nieraz w książkach, bo i ja proszę pana, czytuję romanse, że mężczyźni dla kobiet kochanych narażają się na największe niebezpieczeństwa. To mi się bardzo podoba, i gdyby mnie jaki mężczyzna tak kochał, to byłabym dla niego bardzo dobrą. Ale co ja też plotę! czy mnie może kto kochać?

Zaśmiała się głośno, a w śmiechu tym czuć było bolesną, łzawą nutę i przymus. Trwało to jednak tylko chwilę, bo zaraz swym lekkim tonem, kręcąc się, szastając i strzelając dokoła oczami, mówić zaczęła:

— Ten Rosotemplo to zbój ostatni. Pan go widział kiedy? Brzydki, czarny, zły jak pies. Ja nie wiem, jak mogła tak śliczna kobieta wyjść za takiego hycla. Jeżeli pan tam chce iść, to trzeba to bardzo ostrożnie zrobić, i ja to panu ułatwię. On mieszka na ulicy »di Mareschalchi«, ale na samym jej końcu, pod rogatkami. Ma tam dom, w głębi podwórza, a z tyłu jest ogród, dotykający okopów i dokoła wysokim murem otoczony. W murze tym od okopów jest furtka, zawsze zamknięta, ale ja przez Belę dostanę klucza i oddam go panu.

Panna Adolfina zaśmiała się i klaszcząc w swe chude rączyny wołała wesoło:

— To będzie dobrze, bardzo dobrze! Urządzimy temu zbójowi śliczny kawał. Ja zawsze mam litość dla nieszczęśliwych kochanków i gotowa jestem im dopomódz. Klucz będzie pan miał jutro, a do pani Rosotemplo, niech pan napisze o wszystkiem, żeby wiedziała jak ma postąpić. To będzie dopiero sztuka!

Klaskała w ręce, śmiała się i z radości zaczęła tańczyć, świewając:

— Tra la la! tra la la!

Ale nagle z wrażliwością swej lekkiej natury, zatrzymała się, spoważniała, i rzekła głosem przyciszonym, zarumieniona od tańca, chwytając powietrze zmęczonemi piersiami:

— Tylko, panie, trzeba być ostrożnym, bardzo ostrożnym. Ja ten dom znam, bom tam u Beli parę razy była, choć ona niechętnie przyjmuje odwiedziny takiej ladacznicy, jak ja. Ale my się zawsze kochamy. Jesteśmy przecie siostry.

Umilkła na chwilę, ręką przycisnęła piersi, oddychając ciężko i dalej mówiła:

— Tam, proszę pana, pełno się kręci karabinierów, szpiegów, zbirów. Ach, co to za zbóje, żeby pan wiedział. Raz jak tam do Beli przyszłam, to jeden z nich, opasły jak wieprz, Merinos się nazywa, począł się do mnie zalecać po swojemu. Dureń jakiś. Ja jestem sobie nic wartą dziewczyną, każdy mię może kupić, ale nie taki szpieg. Nie dla psa kiełbasa. Palnęłam go, proszę pana, w papę, aż mu się w ślepiach zaświeciło. O! był zły, taki zły, że myślałam, że mię zabije. Ale ja sobie drwię z niego i jego gniewu. Śmiałam mu się w oczy i nawymyślałam co mi ślina do ust przyniosła. Ale ja tu gadam głupstwa i nudzę pana. Do widzenia więc! Wieczorem po liścik wpadnę i o kluczu nie zapomnę!

Dygnęła mi zgrabnie, uśmiechnęła się zalotnie i skoczyła ku drzwiom. Tu zatrzymała się i rzekła:

— Niech pan jednak sam tam nie chodzi. Niech pan weźmie ze sobą jakiego przyjaciela, żeby pilnował. Bo tam jest bardzo niebezpiecznie, te zbóje po nocach węszą, jak psy wszędzie. Do widzenia!

Dygnęła jeszcze raz, ręką przesłała mi pocałunek i śmiejąc się głośno, frunęła.

## XI.

W rzeczy samej panna Adolfina odgadła moje zamiary. Postanowiłem bądź co bądź zobaczyć się z Józefiną, a skoro tego nie mogłem uczynić u siebie, więc musiałem u niej. To co mi dziewczyna opowiedziała o domu i ogrodzie, utwierdziło mię w tym zamiarze. Nie ukrywałem wcale przed sobą niebezpieczeństwa takiej wyprawy, ale nie miałem innego wyboru; oprócz ogarniającej mię coraz silniej tęsknoty do tej ukochanej kobiety, obowiązkiem moim było nieść jej pomoc w położeniu, w jakiem się znajdowała. A czyż mogłem co zrobić, nie widząc się z nią wprzódy, nie dowiedziawszy się jak rzeczy stoją i to od niej samej, bo ona jedna mogła mię tylko objaśnić najlepiej i najdokładniej o wszystkiem.

W tej myśli napisałem liścik do Józefiny. Przedstawiłem jej potrzebę widzenia się i zaklinałem ją na wszystko, by mi nie odmówiła schadzki w ogrodzie własnym, prosiłem tylko by naznaczyła której to nocy i o której godzinie może nastąpić, oraz w którem miejscu, gdyż ogrodu jej wcale nie znam. Oczywiście użyłem wszystkich zaklęć, jakie mi tylko serce podyktowało, i domagałem się, by schadzka odbyła się zaraz następnej nocy, gdyż w czasach, w których żyjemy, nikt nie jest pewny jutra i nic nie można na później odkładać.

Napisawszy ten liścik, skreślony w słowach, pełnych gorącego uczucia dla kobiety, którą istotnie i jedynie kochałem, począłem rozmyślać nad sposobem wykonania mego zamiaru. Leźć w paszczę tygrysa, jakim względem mnie był Rosotemplo, i leźć dobrowolnie, było czynem, który tylko zakochany mógł wykonać. Doskonale oceniałem niebezpieczeństwo tego przedsięwzięcia i przypomniałem sobie radę panny Adolfiny, by mieć do pomocy w tym względzie przyjaciela.

— Przyjaciela! — szepnąłem — a skądże ja tu, w Bilbao, wezmę takiego przyjaciela, któryby chciał dla mnie narazić swą głowę?

Ale nagle przyszedł mi na myśl Laskonogi i Burczymucha.

Co do pierwszego, to po namyśle zaniechałem zamiaru użycia go do pomocy. Był gadatliwy, i aczkolwiek osobiście bardzo odważny, ale lekkomyślny i fizycznie słaby. Mnie trzeba było człowieka silnego, który w razie potrzeby mógłby mię pięścią wyrwać z rąk nieprzyjaciół. Szło bowiem o to, żeby na przypadek zdrady, lub wprost wpadnięcia w sieci Rosotempla, można się było z nich wydobyć cicho i bez skandalu. A do tego Burczymucha nadawał się jak najlepiej, był milczący, bajecznie silny i odważny. W ostateczności zdecydowany byłem wziąć ze sobą mój rewolwer, który udało mi się, dobrze ukryty, pomimo licznych rewizyj, przywieźć ze sobą do stolicy.

Postanowiłem więc udać się do poczciwego Burczymuchy, którego adres mieszkania miałem, i którego od czasu rozstania się we dworze w Voli nie widziałem, chyba zdaleka w ogrodzie miejskim. Moje odwiedziny zresztą u obu towarzyszy były i z tego względu konieczne, że z pewnością nie mieli oni ani grosza, a przynajmniej resztkami już gonili z owych pięciu realów, które dałem Laskonogiemu w ogrodzie. Nie namyślając się więc wiele, zarzuciłem płaszcz na siebie, nacisnąłem kapelusz na głowę i ruszyłem na oddaloną, już nad rzeką leżącą ulicę »D'Industria«, gdzie w domu jakiegoś robotnika dano kwaterę Burczymusze; Laskonogi mieszkał niedaleko stamtąd na ulicy Negro.

Mało znałem tę dzielnicę miasta, a właściwie wcale jej nie znałem i z trudnością pewną przyszło mi odszukać tak samą ulicę, jak i dom, w którym mieszkał Burczymucha. Zajmował on, podobnie jak ja, pokoik na piętrze, w którym oprócz tapczana ze szpetnie podartą i zniszczoną poduszką skórzaną, stolika o trzech nogach i jednego krzesełka, mocno także poszwankowanego, nic więcej nie było. Przez maleńkie, zakopcone okienko widać było kominy fabryk, słychać huk młotów, a powietrze przesycone było dymem i czadem węglowym. Była to bowiem część miasta fabryczna i zamieszkała przeważnie przez klasę wyrobniczą.

Burczymuchę zastałem siedzącego na tapczanie i zajętego czytaniem jakiejś obszarpanej i mocno zabrudzonej książki. Zdziwiło mię to nadzwyczajnie, bo mój dzielny wachmistrz należał do rzędu tych ludzi, którzy uważali zawsze czytanie i pisanie za próżne marnowanie czasu.

— Jak się masz, stary? — rzekłem podając mu rękę.

Burczymucha zerwał się z tapczana, wyprostował po żołniersku i rzekł:

— Do usług pana porucznika. Prawdę powiedziawszy, mopanku, źle się mam i chyba przyjdzie człowiekowi zgnić marnie w tem przeklętem mieścisku.

— Dlaczegoż to?

— A choćby dlatego, że z głodu zdechnę, mopanku. Ale skoro pan porucznik jest, to wszystko dobrze.

— Czyż nie macie już pieniędzy?

— Ja nie mam mopanku, a z Laskonogim nie widuję się, bo szpiegi tu krążą, jak psy. Niech ich siarczyste kule biją! Nie wychodzę nigdzie, bo prawdę rzekłszy, boję się.

— Sameś sobie winiem — odrzekłem — miałeś znaczną sumę.

— Ha! cóż robić mopanku, panie poruczniku! Prawda, zawiniłem, to też za to teraz pokutuję.

Nie chciałem mu robić wyrzutów. Siadłem na chwiejącem się i trzeszczącem mocno krzesełku i rzekłem:

— Cóż to? widzę czytasz książkę?

— Hm! juścić czytam, co prawda to prawda. Wstyd mopanku, że wachmistrz drugiego pułku takiem bzdurstwem się zajmuje, ale człek już na psy poszedł.

— Nic w tem złego. Cóż to za książka?

— A czy ja wiem. Jakieś okropnie mopanku ciekawe historye. Anim mógł przypuszczać, że się takie rzeczy działy na świecie. Uważa pan porucznik, tu opisana jest historya jakiegoś widma, które w zielonym płaszczu chodziło. Dała mi tę książkę córka mojego gospodarza, poczciwa dziewczyna. Człek zabija czas jak może i przynajmniej głodu tak nie czuje.

Wziąłem obszarpaną i zabrudzoną książkę do ręki. Była to powieść pana d'Arlincourt pod tytułem »Zielony płaszcz«, znana mi z moich młodzieńczych czasów, gdym w szkołach zaczytywał się w romansach, pełna okropności, widm, duchów, morderstw i zdrad. Tymczasem Burczymucha mówił:

— Z przeproszeniem pana porucznika, długo my tu tak gnić będziemy?

— Nie wiem, to zależy od władz wyższych.

— A! niech je tam, te władze wyższe kule biją! Jeszcze tu człeka złapią i powieszą jak psa. Już mię raz szelmy chciały chwycić i ledwiem się z ich łap wydobył.

— Przyszedłem właśnie do ciebie, by ci zaproponować jedną wyprawę, bardzo niebezpieczną, z góry cię o tem uprzedzam.

— Wedle rozkazania pana porucznika, jestem gotów. Choćby największe było niebezpieczeństwo, zawsze mopanku będzie lepszem, od gnicia tutaj w tej dziurze.

Opowiedziałem mu o co idzie. Słuchał pilnie i widocznie myśl jego pracowała usilnie, bo gdym skończył rzekł:

— Nie wiem, poco tam pan porucznik do tego ogrodu iść chce, ale to mniejsza. Co mi tam do tego mopanku! kiedy trzeba, to trzeba i ja jestem gotów. A cieszę się też, że to wleziemy do ogrodu tego psubrata kapitana karabinierów. To on był tam w hotelu, kiedy mię chcieli złapać. Poczęstowałem szelmę uczciwie pięścią między ślepie, ale nic to nie szkodzi, mam jeszcze ochotę powtórnie łaźnię mu sprawić. Przytem mam ja moją myśl.

— Jaką myśl?

— Nie mogę powiedzieć, ale pan porucznik zobaczy, tylko że mi trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy.

— Ileż tak naprzykład?

— Ja tego dokładnie nie wiem, może trzydzieści, może czterdzieści realów.

— Dobrze, dam ci czterdzieści realów.

— Dziękuję, to wszystko co mi trzeba mopanku.

— Ale powiedz mi co chcesz zrobić?

— Niech się pan porucznik nie pyta, bo nie powiem, zapewniam tylko, że wszystko będzie dobrze. Dopiero to zadamy fernepiksu tym hyclom karabinierom. Ha! ha! ha! aż śmieję się z uciechy.

Nie nalegałem, bo szczerze mówiąc, nie przywiązywałem żadnej wagi do tych obietnic Burczymuchy. Jakże się omyliłem! Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wachmistrz zapytał mię, kiedy zamierzam się wyprawić do ogrodu Rosotempla.

— Nie wiem jeszcze.

— Bo to, widzi pan porucznik, mopanku, ja muszę porobić pewne przygotowania, a że nie bardzo mogę wychodzić, bo nuż na jakiego szpicla wlezę, o co łatwo, bo Anusia, córka mego gospodarza, poczciwości dziewczyna, powiada mi, że ciągle się tu kręcą, więc potrzebuję czasu.

— A skądże ta twoja Anusia wie o tem, że tu szpiegi kręcą się?

— A! już ja tam o tem nie wiem. Ale oni tu wszyscy, robotnicy fabryczni mają się na wielkiej baczności. Anusia powiada, że niby te szpiegi, mopanku, zwąchali, że na którejś z tutejszych farbryk robią się bomby i dlatego się tak kręcą.

— Bomby? a na co bomby?

— Bomby czy granaty ręczne, ona tam oczywiście, jako dziewczyna, nie wie dobrze. Na co oni mopanku owe granaty robią czy robili, bo teraz już nie robią, to ja dobrze nie wiem. Anusia powiada, że podobno junta narodowa chce zabić niemi regenta, księcia di Monti. Ale czy to tam prawda, nie wiem... babskie gadanie mopanku i kwita.

Słowa te zainteresowały mię mocno, bo nagle błysnęła mi myśl czy czasem ja z moimi zuchami nie na to zostałem sprowadzony do stolicy, by wziąć udział w zamachu. Ale myśl tę odrzuciłem, jako nieprawdopodobną, a Burczymucha mówił dalej:

— Anusia opowiada, że dawniej, przed kilku tygodniami, zjawiało się tu często na fabryce, ale której, nie wiem mopanku, dwóch ichmościów, z których jeden zwał się Alonso, przezwany Okularnikiem, bo zawsze miał okulary na nosie, a drugi Miguelem Zezowatym, że to patrzał dziś na jutro. Ichmoście ci właśnie mieli owe bomby zamawiać i rysunki dawać, jak mają być odlane.

— No! — zawołałem nadzwyczajnie zdziwiony wiadomościami — jeżeli to wszystko jest prawda, to ci panowie Okularnik i Zezowaty djablo są nieostrożni, skoro wszyscy o tem wiedzą, a nawet dziewczęta!

— To z przeproszeniem pana porucznika nic nie znaczy. Robotnicy, mopanku, tutejsi są dzielne chłopy i prędzejby się dali posiekać w kawałki, niżby słówko pisnęli. Anusia zaś jest zuch dziewucha!

Na tem skończyła się nasza rozmowa. Powiedziawszy Burczymusze, że go o dniu wyruszenia na wyprawę zamierzoną uwiadomię listem, który mu przyniesie pewna panna, imieniem Adolfina, miałem się już do wyjścia, gdy Burczymucha mię zatrzymał i rzekł:

— A! Niech pan porucznik nie adresuje do Sebastyana Almeidy, jak mnie pan pułkownik Sigismundo ochrzcił, bo ja się teraz inaczej nazywam.

— Jakże się więc teraz nazywasz?

— Poprostu Ignacy.

— I nic więcej?

— A nic.

— Dlaczegoż ta zmiana nazwiska?

— A no... z przeproszeniem, przecież musiałem się zameldować, a że tam w hotelu wiedzieli o Almeidzie, więc zmieniłem nazwisko, mopanku, i kwita.

— Przecież tutaj, w Bilbao, koniecznie potrzebny jest do zameldowania paszport.

— Ja też mam paszport.

— Skąd?

— Od Anusi. O! panie poruczniku, to sprytna dziewczyna i żeby to inne czasy i człek nie taki stary, to kto wie coby to było. Krew mopanku nie woda, a ja też jestem ułan do krocset!

— I ten paszport jest na imię Ignacego?

— Tak... wszystko w porządku.

— Skoro tak — rzekłem — to dobrze że wiem. Panna Adolfina będzie szukała Ignacego. Do widzenia, stary!

— Do usług, panie poruczniku.

Wyszedłem pełen najróżnorodniejszych myśli. Przedewszystkiem utkwiła mi w głowie wiadomość o przygotowaniu granatów i że w tych przygotowaniach brał udział mój pan Miguelo Zezowaty, którego miałem zaszczyt poznać w ogrodzie miejskim wraz z imponującą blondynką, mówiącą grubym basem. Widoczną było rzeczą, że przygotowują się jakieś ważne wypadki, a przeczucie mówiło mi, że ja w tych wypadkach odegram także rolę. Nie przypuszczałem jednak nigdy, by rolę tę tak prędko mi powierzono, jak się to w rzeczy samej stało.

## XII.

Spieszyłem do domu co miałem sił, bo dwunasta godzina była bliską, a z nią obiad pani Franciszki, która nie lubiała czekać i już parę razy dała mi poznać, że tego nie znosi. Przytem jeść mi się chciało potężnie, bo przebiedz pieszo taki kawał drogi, jak z końca ulicy Dora na koniec ulicy »d'Industria«, dla kawalerzysty, nie przywykłego do marszów pieszych, nie było rzeczą łatwą. Dzień był w dodatku ciepły, jesienny i ja w ciężkim płaszczu zmęczyłem się bardzo i spociłem mocno.

W bramie parkanu, otaczającego dziedziniec tego domu, w którym mieszkałem, spotkałem pannę Adolfinę. Spostrzegłszy mnie, przyłożyła palec do ust i szepnęła:

— Umyślnie wyszłam naprzeciwko pana.

— Poco?

— Jakiś jegomość bardzo podejrzanej fizyognomii czeka na pana od pół godziny.

— Gdzie czeka?

— W mieszkaniu pańskiem.

— W mojem mieszkaniu? Przez Boga żywego, poco go tam wpuszczono? Wszak tam jest drukarnia!

— Już ja nie wiem co tam było, ale pani Franciszka wpuściła go. A że mnie się zdaje, że jegomość ten należy do psiarni kapitana Rosotemplo, więc wyszłam pana ostrzedz.

— Dziękuję ci panno Adolfino, bardzo dziękuję. Ale to nie może być szpieg, bo by go pani Franciszka nie puściła.

— A cóż miała robić? Stara jest i ze strachu zapewne głupstwo popełniła. Ja ręczę, że to jest szpieg. Niech pan ucieka, mój drogi panie, niech pan ucieka. Wieczorem niech pan przyjdzie do restauracyi na rogu ulicy »Dora« i »Mareschalchi«, ja tam będę i zobaczymy co dalej robić.

Jej duże, czarne, ogniste oczy błyszczały trwogą i przestrachem, chude swe rączyny złożyła jak do modlitwy i cała jej postać wyrażała serdeczne, szczere błaganie.

— Ale to być nie może, panno Adolfino, to nie jest szpieg. Wszak sam jest?

— Sam.

— A więc nie mam się czego bać i idę.

Chwyciła mię za rękę i powstrzymując silnie, szeptała błagalnie:

— Nie chodź pan, nie chodź! Ja mam przeczucie, że się coś złego stanie. Mój Boże, któż słyszał, aby dobrowolnie narażać się na niewolę.

Było tyle szczerego, serdecznego błagania w głosie tej dziewczyny, że mimowoli zatrzymałem się i rzekłem:

— Mogę nie pójść, skoro chcesz tego, panno Adolfino, ale zważ, że on jest sam i tak łatwo wziąć mu się nie dam. Na ulicy pustki i przypatrz się dobrze, wszak niema nikogo więcej. Co on mi zrobić może? A z drugiej strony może to

jest jaki przyjaciel, który mi przynosi jaki rozkaz lub ostrzeżenie. Muszę, trzeba, żebym poszedł.

Ledwie dała sobie wytłumaczyć, że pójść powinienem i puściła mię, przyrzekając, że zatrzyma się w bramie i w razie gdyby się jakie podejrzane indywidua ukazały, da mi znać. Ruszyłem więc śmiało naprzód, więcej zaciekawiony kto do mnie mógł przyjść, jak zaniepokojony.

W kuchni zastałem panią Franciszkę zajętą przy gotowaniu, spokojną jak zwykle.

— Gdzie to jegomość się włóczy! — zawołała — obiad od kwadransa gotowy. Naleśniki wysuszą się na nic. A niechno jegomość tam idzie, ktoś czeka na pana, jeno prędko.

Słowa te uspokoiły mię zupełnie i gdy wszedłem do mego pokoju, spostrzegłem tam, zdziwiony nadzwyczajnie, siedzącego na krześle Sylwestra-Wiktora.

Ubrany był w długi, dostatni surdut czarny, szczelnie zapięty, a obok niego na stole leżał cylinder i teka skórzana z papierami. Siedział wsparty oburącz na grubej lasce. Gdym wszedł i zdziwiony nadzwyczajnie tym niespodziewanym widokiem człowieka, którego chciałem powiesić w chacie przemytnika Huana, o którym zupełnie zapomniałem, spojrzał na mnie swemi przenikliwemi oczami i z miejsca nie ruszając się rzekł:

— Jak się masz, poruczniku Valery? Dziwisz się tak bardzo, że tu jestem?

— W rzeczy samej... nie spodziewałem się... nie wiedziałem, że jesteś w Bilbao?

— O! jestem tu oddawna. Ale nie mamy czasu do stracenia. Przyszedłem cię ostrzedz.

— Ostrzedz? a przed czem? A najprzód skąd wiesz, że jestem w Bilbao i że tu mieszkam?

— O! ja o wszystkiem wiem i to do rzeczy wcale nie należy. I nie po to tu zresztą przyszedłem, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, ale po to, by ci powiedzieć, że dziś rano przyszła z prowincyi denuncyacya, że ty, wach-

mistrz Ignacy, zwany Burczymuchą, i niejaki Karol, zwany Laskonogim, bawicie w stolicy.

— Denuncyacya? z prowincyi?

— Tak. Nie wiedzą tylko na czyje imię masz paszport, jak również ów pan, Laskonogim zwany. O jednym tylko wachmistrzu Burczymusze wiedzą, że ma paszport na imię Sebastyana Almeidy. Ale wszystkich was rysopis posiadają jak najdokładniejszy. Przyszedłem więc ostrzedz cię byś się miał na baczności, jaknajmniej wychodził na ulicę, bo całą sforę psów gończych rozpuszczono po mieście, by was szukali.

— Wszystko to jest piękne, ale ty skąd wiesz o tem?

— Zapomniałeś już, że ja służę w policyi, w ich policyi?

— Prawda, przypominam sobie. A skąd dowiedziałeś się, że ja tu mieszkam?

— Powiedziano mi o tem... ale po co to mam ukrywać przed tobą, powiedzieli mi agenci Zezowatego.

— A! pana Zezowatego agenci! Widocznie nie umieją trzymać języka za zębami.

— Jak kiedy. W tym razie, gdyby go trzymali za zębami, nie mógłbym cię ostrzedz. Ale tu o to nie idzie. Uprzedzam cię, że niebezpieczeństwo jest poważne i że szukać was będą z zapamiętałością szczególną.

— Dlaczegoż z szczególną zapamiętałością?

— Bo... ale ty musisz sam najlepiej wiedzieć, że między tobą a kapitanem Rosotemplo jest jakaś osobista sprawa...

— Jaka? nie znam wcale tego Rosotempla. Widziałem go w życiu raz jedem, wtedy... w chacie przemytnika Huana... wiesz kiedy...

— Tak... wiem... chciałeś mię powiesić...

— Prosta omyłka... przeprosiłem cię przecie...

— Nie mam do ciebie o to pretensyi. Ale mylisz się, prócz tego widziałeś jeszcze raz Rosotempla.

— Nie przypominam sobie.

— Na kolei... w pociągu... gdy chciałeś oswobodzić panią Teresę.

— Prawda! prawda! zapomniałem o tem. Cóż się dzieje z tą szczególną kobietą?

— Dlaczego szczególną? — zapytał Sylwester-Wiktor, a przenikliwe jego oczy z jakimś dziwnym blaskiem spoczęły na mnie.

— Tak... całe jej postępowanie było zawsze dziwne... Kto ona jest? bo przecież nie mogę uwierzyć, żeby ona miała być żoną przemytnika Huana.

— Nie jest też nią.

— Wszystko to bardzo dziwne. Cóż się z nią dzieje?

— Siedzi jeszcze w więzieniu, lecz mam nadzieję, że wkrótce będzie wolną. Ale ja nie mam czasu dłużej u ciebie bawić. Muszę iść. I tak dostałem się tutaj z niemałym niebezpieczeństwem.

— Z jakiem niebezpieczeństwem? — spytałem niedowierzająco.

Sylwester spojrzał na mnie tym swoim wzrokiem, który zdaje się do głębi duszy sięgał i rzekł głosem stłumionym ale poważnym:

— Każdy mój krok agenci Rosotempla śledzą. Od owej sceny w chacie Huana, Rosotemplo ma mię w podejrzeniu i śledzi z nieprzebłaganą zaciętością.

— Jeżeli tak, to nie trzeba tu było przychodzić — odparłem — i zwracać tego łotra uwagę na ten dom.

— Zdaje mi się, że tym razem zdołałem szpiegom się wymknąć, a przytem nie mogłem zwlekać — uwiadomić cię nie miałem przez kogo, a ty tymczasem mogłeś wyjść na ulicę...

— Widzisz, że niedawno wróciłem. Chodziłem nawet dość daleko i nic mi się nie stało.

— Nie należy drugi raz robić tak niebezpiecznej próby. Rosotemplo ma twój rysopis i nawet zna cię osobiście... Powiada, że byłeś jednym z tych, którzy mię otaczali tam... w chacie przemytnika. Łotr ma doskonałą pamięć fizyognomii. Potem twierdzi, że nikt inny, tylko ty chciałeś oswobodzić panią Teresę na kolei. W tem wszystkiem leży poważne nie-

bezpieczeństwo i dla mnie i dla pani Teresy. Rosotemplo wie doskonale, że właśnie wtedy, gdy nas napadł w chacie przemytnika, generał Casobi przeprawiał się przez rzekę... Ma mię więc w silnem podejrzeniu, ale nie ma dowodów. Gdyby cię schwytał, dowód taki dostałby do ręki. Szczególnie zawzięty jest na ciebie i na Burczymuchę, na tego ostatniego oczywiście za to, że go tam kiedyś poturbował w hotelu. Co do ciebie... nie wiem... ale zdaje mi się, że wchodzi tu w grę jakaś kobieta...

— Na czemże opierasz to przypuszczenie?

— Na znajomości serca ludzkiego. Ale nie pytam cię o to. Tego rodzaju rzeczy winny leżeć pogrzebane jak najgłębiej. Strzeż się więc Valery, strzeż! nie wychodź nigdzie i miej się na baczności. Ja już iść muszę.

— Dziękuję ci za ostrzeżenie, ale powiedz mi gdzie mieszkasz? może się zdarzyć potrzeba...

Zatrzymał się i rzekł surowo:

— Pod żadnym pozorem nie waż się do mnie przychodzić. Mieszkam na ulicy »di Rana« pod numerem 2, w dziedzińcu. Ale powtarzam, osobiście nie waż się przychodzić. Gdybyś miał do mnie jaki interes, przyślij kogo, a najlepiej kobietę... panią Franciszkę lub kogo innego. Zdaje mi się, że są tu jakieś panny... a teraz do widzenia. Pozdrowienie i braterstwo!

Podał mi rękę i wysunął się z mieszkania. W kuchni rzekł kilka słów do pani Franciszki i widziałem jak szedł przez dziedziniec krokiem wolnym i poważnym. W bramie zatrzymał się na chwilę, spojrzał na prawo i na lewo i znikł.

## XIII.

Nazajutrz dość późno, za pośrednictwem panny Adolfiny, otrzymałem maleńki, pachnący, różowy liścik od mojej najdroższej. List tak samo jak pierwszy, skreślony był tym niepewnym, drżącym, wahającym charakterem, zawierał zda-

nia urywane, przekonywujące w jak śmiertelnej obawie były na papier przenoszone. Poświęciwszy kilka gorących słów naszej miłości, donosiła mi Józefina, o czem już od Sylwestra-Wiktora wiedziałem, że z prowincyi nadeszła denuncyacya, że ja porucznik Valery, z dwoma towarzyszami, zostałem wysłany do Bilbao, w jakichś mocno podejrzanych celach, że posiadamy paszporta na obce nazwiska, niewiadomo tylko na jakie, prócz jednego, które brzmi Sebastyan Almeida.

— » . . . Jeżeli więc, ubóstwiany mój kochanku (pisała swym egzaltowanym stylem Józefina), posiadasz paszport na imię Almeidy i pod tym nazwiskiem zostałeś zameldowany, to natychmiast paszport ten zniszcz, a sam zmieniwszy nazwisko, przenieś się gdzieindziej«.

Na szczęście nie potrzebowałem, jak wiadomo, słuchać tej rady, z prawdziwie kobiecą nieznajomością stosunków podanej, gdyż nie ja nosiłem nazwisko Almeidy i zresztą nazwisko to w tej chwili już nie istniało, gdyż Burczymucha zwał się teraz Ignacy. Pod tym względem więc byłem spokojny i policya mogła sobie rok i sześć niedziel szukać Almeidy i nie znaleźć go wcale. — W dalszym ciągu Józefina donosiła mi, że w owej denuncyacyi z prowincyi nadesłano bardzo szczegółowo skreślone nasze rysopisy, to jest mój, Burczymuchy i Laskonogiego, o czem także już wiedziałem od Sylwestra-Wiktora, ale czego nie wiedziałem to, że rysopisy te były tak dokładne, iż z nich Rosotemplo poznał mnie i Burczymuchę. Co gorsza, z wybuchem nadzwyczajnego uniesienia, z wyrazem niepohamowanej nienawiści wołał do żony:

— A więc ten gach, o którego istnieniu wiem oddawna, a którego poznać nie mogłem, ten gach z którym spotkałaś się przed paru tygodniami na ulicy, a którego wypuścił ten osioł Merinos, to pan Valery, to porucznik karlistów Valery! O! znam ja go... dwa razy go już widziałam i teraz zwłaszcza, wśród tysiąca innych, poznam. Bądź pani spokojna, znajdę go, choćby pod ziemią się schował i jak psa powieszę i ciebie na to widowisko zaprowadzę...

Józefina komunikując mi te słowa, przejęte źle hamowanym gniewem, dodawała, że ma mi jeszcze więcej do powiedzenia, ale boi się tego powierzać papierowi, ale ponieważ rzeczy są zbyt wielkiej wagi, by nie miała mię o nich uwiadomić, więc zgadza się na schadzkę ze mną, ale tylko na jedną, gdyż rzecz to połączona jest z nadzwyczajnem niebezpieczeństwem. Czekać mię będzie dnia następnego o samej północy w ogrodzie, w altance, mieszczącej się na końcu głównej alei, pod posągiem kamiennym Niobe płaczącej. Zalecała mi jak największą ostrożność, jakkolwiek bowiem o tej porze Rosotempla nie będzie w domu, gdyż wyrusza ze zbirami na jakąś wyprawę nocną do miasta, wszelako ostrożność jest konieczną, bo z pewnością, któryś ze szpiegów zostanie, by ją śledził i czuwał nad nią. List kończył się wyrazami gorącej miłości i zaklęć, bym się miał na baczności, gdyż życie moje wisi na włosku.

Nie wątpiłem o tem teraz ani na chwilę i list ten nic nowego mi nie powiedział. Nie bardzo obawiałem się gróźb pana Rosotemplo; od dwóch lat życie moje co chwila było narażone na śmierć i przywykłem do tego tak, że zdawało mi się, iż jest to stan normalny. Nie myślałem też wcale o niebezpieczeństwie, na jakie narazić mię może schadzka z Józefiną w ogrodzie jej męża, ale wyłącznie zajęty byłem tem, że nakoniec zobaczę kobietę ukochaną. Na cóż bym się dla takiego celu nie naraził? czegobym nie uczynił?

Panna Adolfina, która mi ten liścik oddała i czekała aż go przeczytam, z ciekawością śledząc wrażenia na mej twarzy przy jego odczytywaniu, gdym skończył, zapytała ukazując szereg swych białych ząbków:

— Cóż, zadowolony pan jesteś? czy dobrzem się spisała? Bela mi powiedziała przytem, że ten łotr kapitan Rosotemplo zamyka na klucz swą żonę, że strasznie jest zły, że wczoraj zbił pyski za coś temu łajdakowi Merinosowi... Wszyscy w domu drżą ze strachu, bo jeszcze nigdy nie widzieli kapitana takim złym. Podobno zbiry jego latają po mie-

ście jak oparzeni, myszkują na wszystkie strony i trzeba być, proszę pana, bardzo ostrożnym. Niech pan nigdzie nie wychodzi, a jeżeli ma pan jakiś interes na mieście, niech go pan mnie powierzy, a ja lub Julka załatwimy go z pewnością.

— Dziękuję ci bardzo, panno Adolfino. W rzeczy samej mam taki interes, ale boję się ciebie narażać.

— Głupstwo! na co się może narazić taka jak ja dziewczyna? Może pan myśli, że ja się ich boję? Drwię sobie z kapitana Rosotemplo i jego zbirów. Niechno mię który zaczepi, pazurami mu ślepie wydrę. Proszę pana, niech pan powie o co idzie, a rzecz będzie zrobiona.

Opowiedziałem jej tedy, że potrzebuję list przesłać do Burczymuchy, którego nazwisko przybrane jej wymieniłem, oraz miejsce zamieszkania:

— Ulica »d'Industria« — zawołała Adolfina — znam ją dobrze. Niech pan tylko list przygotuje, a już z pewnością dziś jeszcze odbierze go ten pan Ignacy. Myślałam, że co ważniejszego chce mi pan powierzyć, ale list... to bagatela. Sama wręczę go temu panu, tak że nikt nie będzie wiedział. Niech pan będzie spokojny.

Przyszła potem na stół kwestya klucza do furtki ogrodu kapitana Rosotemplo.

— Klucz ma mi dać dziś wieczorem Bela — mówiła panna Adolfina. — Przyrzekła mi to, a jest to dziewczyna, która zawsze dotrzymuje słowa. Czy pan da mi dziś jaki liścik do pani Rosotemplo?

— Dam.

— To dobrze. Wszystko będzie zrobione jak należy. Niech pan przygotuje oba listy, a już ja rzecz załatwię tak, że pan będzie zadowolony.

— Uśmiechała się, stojąc ciągle przy drzwiach i obrzucając mię wzrokiem palącym i gorączkowym.

— Wczoraj — mówiła — byłam bardzo niespokojna o pana, gdy przyszedł ten jakiś jegomość. Ręczę, że on należy do policyi, znam go z widzenia. Kiedyś nawet, będzie

temu ze trzy dni, widziałam go jak szedł przez ulicę z jakąś prześliczną, ale strasznie poważną kobietą.

— Z kobietą szedł? — zapytałem zaciekawiony.

— Tak... bardzo ładną, tylko niemodnie ubraną. Dziwię się, że taka piękna kobieta, tak brzydko się ubiera.

Zaciekawiony tem nadzwyczajnie, począłem wypytywać się Adolfiny, jak wygląda ta kobieta. Zrazu, nie spuszczając ze mnie ani na chwilę oka, odpowiadała mi dość niechętnie i ogólnikowo.

— A cóż? — mówiła — zwyczajnie ładna kobieta. Blondynka, okazała. Myślałam, że pana prócz pani Rosotemplo inne kobiety nie obchodzą, ale widzę, że jest inaczej. Wszyscy mężczyźni są jednakowi i każdy z nich łasy jest na pierwszą lepszą ładną twarzyczkę.

— Mylisz się, panno Adolfino — odrzekłem obojętnie — kobieta ta wcale mnie nie obchodzi i jeżeli się pytam o nią, to przez prostą ciekawość. Ale skoro nie chcesz odpowiadać, mniejsza o to.

Przypatrywała mi się ciekawie, jakby chciała przeniknąć do głębi mej duszy i przekonać się czy prawdę mówię, wreszcie rzekła:

— Czy ten pan, to jest pański przyjaciel?

— Przyjaciel, nie! ale należy on do naszych. Wczoraj był tu dlatego tylko, żeby mi dać pewne ostrzeżenie.

— Hm! może być, ale jabym mu nie wierzyła. Strasznie mu źle z oczów patrzy. A przytem, pewna jestem, że on należy do policyi.

— Znowu się mylisz, panno Adolfino.

— No! no! ja się wywiem i niech pan będzie z tym panem ostrożny.

Wyrzekłszy to zakręciła się w koło i uśmiechając się zalotnie, rzekła:

— Więc czekam na listy, a teraz do widzenia!

Niby to chciała wyjść, ale zatrzymała się przy drzwiach i tyłem do mnie stojąc z głośnym śmiechem spytała:

— No i cóż? czy pan mię nawet za to, com dla pana zrobiła, nie pocałuje ani razu?

Zrobiła minkę tak zalotną, tak wdzięcznie pochyliła główkę w tył, gotowa do uścisku, że mimowoli skoczyłem, objąłem ją w pół i ucałowałem w same usta. Pocałunek ten oddała mi i cała zarumieniona, jak róża, szybko wybiegła z mej izdebki. Długo nie mogłem się uspokoić myśląc o tej dziwnej i z gruntu dobrej i poczciwej dziewczynie, ale trzeba było zabrać się do listów. Wygotowałem obydwa, jeden do Burczymuchy, drugi do Józefiny. Nie taiłem tego przed sobą, że zamiar mój widzenia się z moją ukochaną w ogrodzie jej męża i do tego naczelnika wrogiej nam policyi, nosił na sobie nieomal wszystkie cechy szaleństwa, ale pomijając już tęsknotę, jaka mię ciągnęła do tej ubóstwianej kobiety, trzeba się było koniecznie dowiedzieć o owej tajemnicy, której papierowi, jak pisała, powierzyć nie mogła. Wreszcie, przyznaję się, uważałem to za pewien rodzaj rycerskiej brawury dostać się do gniazda żmij grożących nam swym jadem: sama ta myśl sprawiała mi niewysłowioną satysfakcyę.

Przed wieczorem panna Adolfina zjawiła się wystrojona, wymalowana, śmiejąca się głośno, jak gdyby chciała postępowaniem swem obecnem zatrzeć mi w pamięci wspomnienie tej chwili, gdym ją pocałował w usta. Oba listy wzięła i szeleszcząc wykrochmalonemi spodniczkami, kręcąc się niespokojnie na wszystkie strony, rzucając na mnie zalotnemi oczami, wybiegła, zapewniając najuroczyściej, że oba listy dziś jeszcze dostaną się do rąk właściwych.

Widziałem jak potem razem szły z siostrą, panną Julią, obie jaskrawo ubrane, głośne, napełniając ciszę tej zamiejskiej nieomal siedziby, gwarem swego głosu i wonią ordynaryjnych perfum, któremi się zlewały. Wieczór niebawem zapadł i ja siedząc w oknie, dumałem o dziwnych kolejach moich i tej sprawy świętej, której życie poświęciłem...

## XIV.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwałem wieczoru i wiadomości, które mi miała przynieść panna Adolfina. Zjawiła się bardzo późno w swym krzyczącym stroju, zarumieniona, nie wiem, czy od szybkiego biegu, czy od różu, i najprzód poczęła mi zdawać relacyę ze swego poselstwa do Burczymuchy.

— Ależ to niedźwiedź jakiś! — wołała zirytowana panna Adolfina — czego panna chcesz? co panna jesteś za jedna? widzicie go! nawet nie wstał ze swego tapczana. Gbur i koniec. Dałam mu kartkę, czytać to widzę nie umie, bo długo sylabizował, i w końcu rzekł: powiedz panna panu porucznikowi... ach, prawda! to pan jest porucznikiem? nie wiedziałam o tem — winszuję.

Rzekłszy to, dygnęła przedemną i ciągnęła dalej:

— Ładny stopień, ale nie wiem czy wyższy od kapitana. Niech mi pan powie, czy pan jesteś wyższy od tego zbója Rosotempla?

— Służymy w dwóch przeciwnych obozach, panno Adolfino. Ale cóż? widziałaś się z twoją siostrą Belą?

— Z Belą? a jakże! ale najprzód muszę panu powiedzieć o tym gburze z ulicy »d'Industria«. Nadął się jak niedźwiedź (tu panna Adolfina zaczęła dość zręcznie naśladować minę i ruchy Burczymuchy) i mruczy: powiedz panna porucznikowi, że dobrze i że ja dziś idę na rekonesans. Co to ma znaczyć, nie wiem.

Nie wiedziałem i ja i zresztą nie wiele mię obchodziło, co powiedział Burczymucha. Byłem pewny, że spełni moje polecenie i dlatego nie byłem ciekawy jego słów. Mnie przedewszystkiem szło o wiadomość od Józefiny.

— Mniejsza z tem — rzekłem — ale co powiedziała panna Bela?

— Bela! źle proszę pana... dała mi tę oto karteczkę...

— A klucz?

— Niemam klucza, bo pani Rosotemplo zabroniła dawać klucza. Dlaczego? nie wiem. Zapewne jest o tem coś napisane w karteczce. Musi ona być od pani Rosotemplo, bo pachnie fiołkami. Śliczne perfumy, ja je bardzo lubię, cóż kiedy strasznie drogie.

Nie słuchałem już uwag Adolfiny o piękności zapachu fiołkowych perfum, tylko pełen niepokoju rozerwałem wręczony mi liścik. W rzeczy samej był on od Józefiny. Pisała tylko te słowa:

»Nie przychodź jutro. Dam znać kiedy możemy się zobaczyć. Bądź ostrożny! Twoja do śmierci

Józefina«.

Słowa te, jak zwykle skreślone szybko, gwałtownie, zaniepokoiły mię mocno, zwłaszcza, że nie dawały żadnych objaśnień. Świadczyły tylko, że się stało coś bardzo ważnego, skoro Józefina odłożyła umówioną schadzkę na później.

— Czy Bela nic pannie nie powiedziała?

— Nie. Widziałyśmy się bardzo krótko, była przelękniona i oglądała się ciągle. Tyle tylko, że mi oddała tę kartkę, a gdym ją spytała o klucz, odpowiedziała: »nie mam klucza, pani wzbroniła go dawać« i uciekła.

Wyrzekłszy to, widocznie dostrzegła na mej twarzy silne wzburzenie i żal zawiedzionej nadziei, bo zbliżyła się do mnie i błagalnym tonem, pół szeptem poczęła mówić:

— Ale niech się pan nie martwi. Wszystko będzie dobrze. Ja będę jutro i pojutrze, choćby cały tydzień czekała na Belę, jak pies będę wartowała, a nawet gotowa jestem pójść do niej i o wszystkiem się wywiem, wszystko urządzę jak należy. Mój Boże! czego pan taki smutny? gdy sobie pomyślę, że są kobiety na świecie tak kochane przez mężczyzn, jak pani Rasotemplo, to mi się bardzo przykro, bardzo żałośliwie robi i coś mię ściska koło serca. No! niechno się pan rozweseli i po dawnemu spojrzy na mnie. Co zmartwienie pomoże? gdybym ja się chciała martwić, tobym już dawno umarła, choć możeby to było lepiej.

W rzeczy samej dziewczyna ta miała racyę. Cóż za radę mogło mi dać zmartwienie? i czy w istocie był jaki poważny powód do zmartwienia? Wszak w takiem życiu, jakie się wtedy pędziło, tysiące mogło być powodów, bardzo może zwykłych, bardzo błahych, które zmuszały Józefinę do odłożenia schadzki na później.

Zdobyłem się więc na rezygnacyę i nie wychodząc nigdzie, przez parę dni z rzędu siedziałem w domu, zajęty pomaganiem zecerom, którzy drukowali tajne pismo powstańcze pod tytułem *L' independenza*. Odczytywałem w niem dekreta junty narodowej, która dziwną w owe czasy zdradzała energię; pilnie studyowałem raporta z placu boju, świadczące, że walka wre dalej, walka zacięta i krwawa na całym obszarze mej kochanej, mej nieszczęśliwej Hiszpanii, i w ten sposób zabijałem dłużący mi się nieskończenie czas. Prócz tego każdego rana pani Franciszka wraz z kawą przynosiła mi regularnie numer urzędowego dziennika, pod tytułem *Gazeta Universale*, w którym także mnóstwo było wiadomości o tem co się działo w Bilbao i w kraju, oczywiście podlanych odpowiednim sosem, pełnych wymyślań, szyderstw i potępiań dla karlistów.

Co wieczór zjawiała się panna Adolfina i zawsze przynosiła mi smutną wiadomość, że jeszcze nic niema od Józefiny. Gryzłem się tem i niepokoiłem, ale uzbroiwszy się w cierpliwość czekałem. Życie w ogóle pędziłem wtedy bardzo smutne, bardzo ponure i bezczynne.

Ale pewnego poranku, coś na czwarty dzień po chybionej schadzce z Józefiną, pijąc kawę pani Franciszki, zainteresowałem się mocno wiadomością podaną przez dziennik urzędowy. W nagłówku, drobnem pismem wydrukowano co następuje:

»Od kilku dni, w dzielnicy około ulicy »Mareschalchi« poczęły obiegać wieści, że w ogrodzie, należącym do pałacyku, zamieszkałego przez czcigodnego i walecznego kapitana karabinierów królewskich, pana Teobalda Rosotempla, pojawia się

jakieś ponure widmo. Zwłaszcza wśród służby żeńskiej pałacyku, pogłoski te zrazu szeptem podawane z ust do ust, przybrały wkrótce tak szerokie rozmiary, wywołały tak ogólny popłoch, że zwróciło to nakoniec uwagę kapitana. Z uwagi, że dla partyi bezrządu, działalność i energia pana Rosotemplo oddawna jest solą w oku, i jak władza miała sposobność się przekonać dowodnie, banda rozbójników przybierająca tytuł junty narodowej, wydała wyrok śmierci na tego dzielnego oficera, przypuszczać należało, że może jaki zuchwały skrytobójca potrafił się w przebraniu przedostać do ogrodu, w celu dokonania owego niecnego rozkazu rzekomej junty narodowej. Śledztwo, przeprowadzone w domu przez kapitana Rosotemplo, wykryło to tylko, że widmo owe zjawia się zwykle koło północy, że jest olbrzymiego wzrostu, przybrane w zielony, długi płaszcz, że z ust mu ogień bucha, a oczy z pod wysokiego kapturu świecą się jak dwie gwiazdy. Zwykle wysuwa się ono z najbardziej zarosłej części ogrodu, przechodzi przez aleję główną, koło altany i posągu kamiennego Nioby płaczącej, i znika w zaroślach tego starego parku. Wieść o widmie przedostała się z pałacu na zewnątrz i cała tutejsza dzielnica, o niczem innem od kilku dni nie mówi«.

»Wszystko to, zmusiło kapitana Rosotempla do zajęcia się tą sprawą, tem więcej, że przekonany był, iż jest to nowa jakaś haniebna sztuka łotrów, mieniących się partyą narodową. W tym celu, zamierzał on pierwotnie sam, uzbrojony należycie, udać się której nocy do ogrodu i owe widmo zdemaskować. Niestety! nie mógł tego dokonać, gdyż ważne sprawy zmusiły go z rozkazu władzy wyższej wydalić się na parę dni na prowincyę. Wobec tego powierzył on zbadanie sprawy tajemniczego widma, jednemu ze swych podwładnych, nazwiskiem Pedro Tuhan Merinos, człowiekowi obdarzonemu wielką siłą, odwagą i niepospolitą zręcznością. Jednakże kapitan Rosotemplo wyjeżdżając zalecił Merinosowi, ażeby sam w nocy nie chodził do ogrodu, ale obstawił go wokoło zbrojnymi karabinierami. Tymczasem Merinos dla powodów nieznanych,

a najprawdopodobniej licząc wyłącznie na swoją siłę i odwagę, nie posłuchał rozkazu swego zwierzchnika i nocy onegdajszej, sam jeden, wprawdzie uzbrojony w rewolwer, udał się do parku pałacowego«.

»Co się tam stało w nocy, nie wiadomo, dość, że wczoraj rano znaleziono w gąszczu ogrodu zwłoki skostniałe nieszczęśliwego Merinosa. Leżał on rzucony między krzaki, i jak ślady na szyi pokazują, uduszony i do tego rękami, gdyż wyraźnie palce się odcisły.

»Najenergiczniejsze śledztwo w tej tajemniczej sprawie się prowadzi. Kapitan Rosotemplo powrócił dziś ze swej misyi i sam kieruje poszukiwaniami. Mamy nadzieję, że wkrótce niecny dusiciel dostanie się w ręce sprawiedliwości i poniesie zasłużoną karę. Skrytobójstwo to świadczy najmocniej do jak haniebnych i krwawych środków ucieka się partya bezrządu. Obudzić ona koniecznie musi wstręt do siebie we wszystkich ludziach honoru i sumienia«.

Na tem skończył się ten interesujący komunikat rządowy, który nadzwyczajnie mię zainteresował i tysiące najrozmaitszych przypuszczeń we mnie wywołał. Pierwszą myślą moją było, że owem widmem, tajemniczo błądzącem po ogrodzie kapitana Rosotemplo, był nie kto inny, tylko mój Burczymucha. Naprowadzały mię na to fakta następujące: wysoki wzrost i szalona siła fizyczna, skoro takiego opasłego kloca, jakim był Merinos, widmo owe mogło zdusić rękami. Następnie przypomniałem sobie, że panna Adolfina, zdając mi przed kilku dniami relacyę ze swych odwiedzin u wachmistrza, zakomunikowała mi jego słowa, że »idzie na rekonesans«. Wówczas zajęty jedynie Józefiną i jej odłożeniem schadzki, nie zwracałem uwagi na te wyrazy, nie rozumiałem ich poprostu, ale dziś stawały się one dla mnie straszliwie jasnymi. Burczymucha niewątpliwie wyobraził sobie, że przed pójściem mojem do ogrodu Rosotempla, jego, wachmistrza, jest obowiązkiem wprzódy zbadać grunt, zrobić rekonesans, jak się wyraził po wojskowemu. Zasmakowawszy raz w tej wycieczce,

a może łudząc się nadzieją spotkania gdzie Rosotempla samego, powtarzał ją odtąd co noc, aż spotkał się z Merinosem i załatwił się z nim po swojemu.

Ale skąd, do dość tępej głowy Burczymuchy, przyszła myśl odgrywania roli widma?

I na to pytanie odpowiedź jest łatwą. Gdym był w mieszkaniu wachmistrza na ulicy »d'Industria« zastałem go, na wielkie moje zdziwienie, zajętego czytaniem okropnego romansu pana d'Arlincourt pod tytułem »Zielony płaszcz«. Jego prosty, niewykształcony, niewyrobiony książkowo umysł, uderzony był straszliwemi historyami, zawartemi w tej książce, i wtedy już opowiadał mi o jakiemś widmie, w płaszcz zielony przybranem. Otóż pomysł odegrania roli takiego widma w ogrodzie Rosotempla, mój Burczymucha zaczerpnął z tej książki, tak dalece, że jak relacya urzędowa opowiada, widmo w parku kapitana karabinierów także przyodziane było w zielony płaszcz. Na kupno tego płaszcza i zapewne innych przynależytości, potrzebnych mu do wykonania tego pomysłu, zażądał odemnie czterdziestu reali, które ja, niebaczny, nie pytając się na co mu taka wielka suma jest potrzebną, natychmiast dałem.

Cóż teraz pozostawało mi przedsięwziąć? Jeżeli moje przypuszczenia są prawdziwemi, to czyn szalony Burczymuchy może mieć bardzo złe następstwa tak dla mnie, jak i w ogóle dla sprawy naszej. Dla mnie z tego względu, że teraz jest rzeczą wprost niemożliwą, by moja schadzka z Józefiną w ogrodzie na ulicy »Mareschalchi« mogła przyjść do skutku. Ogród ten zapewne teraz jest dzień i noc pilnie strzeżony, tak, że mysz się nie przemknie, by jej szpiedzy nie dostrzegli. Co zaś do złych następstw dla sprawy ogólnej, to morderstwo Merinosa wywoła zapewne szereg nadzwyczajnych środków ze strony tak zwanego »prawego rządu«, rozbudzi zaciekłość w kapitanie Rosotemplo, który zapewne szaleje z gniewu, że w jego własnym domu »stronnictwo bezrządu«, jak nas nazywał dziennik urzędowy, działalność swoją tak

krwawo zaznacza. Wszystko to utrudni i tak już trudne bardzo nasze położenie.

Cóż więc robić? Przedewszystkiem należy się porozumieć z Burczymuchą. Najlepiej byłoby, gdybym sam mógł do niego pójść, ale ze względu, że policya rządowa ma mój rysopis, było to narażać niepotrzebnie swą głowę. Nic nie pozostawało, jak uciec się do pomocy poczciwej panny Adolfiny. Nie zwlekając więc, bo czas naglił, napisałem krótki rozkaz do Burczymuchy:

»Nie waż się dziś chodzić do wiadomego ogrodu. Opowiedz wszystko oddawczyni tego rozkazu«.

Z tą kartką zeszedłem na dół do mieszkania praczki. Byłem tu po raz pierwszy. Matka i córki zajmowały dwa maleńkie pokoiki, wilgotne, ciemne, niskie, nędznemi sprzętami zastawione. Gdym wszedł, panna Adolfina stała na środku pokoju, w zupełnym negliżu, z włosami rozczochranemi, blada, mizerna, zmęczona, z sinemi obwódkami pod oczami. Gdy mię spostrzegła, krzyknęła, zasłoniła rękami swe biedne piersi i uciekła do drugiej izby, wołając:

— Pan Valery! pan Valery!

— Panno Adolfino — rzekłem — mam ważny interes do panny. Może przyjdziesz na górę?

— Czy zaraz? — ozwał się głosik za przymkniętemi drzwiami.

— Jeżeli łaska, to zaraz. Rzecz bardzo ważna.

— Dobrze... niech pan idzie, zaraz przychodę. Czy mam gdzie iść! czy potrzeba się ubrać?

— Tak, tylko spiesznie.

— Za pięć minut będę u pana.

Jakoż w kilka minut zjawiła się u mnie, ubrana w salopę i kapelusz, zmęczona, oddychając ciężko, ale zawsze zalotnie uśmiechnięta, wpatrzona we mnie, chwytająca każde słowo z mych ust, jak gdyby ono wychodziło z ust świętego. Opowiedziałem jej o co idzie, zaleciłem by pilnie wysłuchała i zapamiętała to co jej powie »pan Ignacy«: dałem kartkę

i wyprawiłem na ulicę »d'Industria«. Pobiegła natychmiast, zapewniając, że sprawi się jak najlepiej.

Nic mi teraz nie pozostawało, jak uzbroiwszy się w cierpliwość, czekać na jej powrót. Ale dzień ten miał być dla mnie dniem niespodzianek i nadzwyczajnych wrażeń.

KONIEC CZĘŚCI I.

WYŻSZA SZ A
PEDAGOGICZNA W K ELCACH
BIBLIOTEKA
122515

Biblioteka WSP Kielce
0153552